

Zaskakująca historia niechcianej miłości

Mija Kabat

Kontrakt
panny
Brandt

Świat Książki

Mija Kabat

Kontrakt panny Brandt

Ten pierwszy ułamek sekundy, kiedy człowiek budzi się i jeszcze nie wie, co go czeka w rzeczywistym świecie...

1

Anna miewała okropne sny, a najgorsze w nich było to, że koszmar, który paraliżował ją od chwili przebudzenia, nie znikał ani na moment, kiedy ponownie zapadała w sen. Warkot silników, od którego serce zamierało ze strachu, ujadanie psów, obezwładniający wrzask żołnierzy w czarnych mundurach, rozbiegane w panice spojrzenia ludzi i nieznośna woń strachu, przepelniająca ulice miasta nawet w najpiękniejsze majowe dni - to wszystko wdzierało się pod powieki Anny, ilekroć próbowała uciec, przytulając głowę do poduszki. Kiedyś po przebudzeniu odczuwała ulgę, bo uświadamiała sobie, że to wszystko przed chwilą nie było prawdziwe. Właśnie w tym pierwszym ułamku sekundy Anna znów miała nadzieję, że zaraz odczuje ulgę. Ale nic z tego. Już wiedziała. Jest wtorek, maj 1942 roku. Warszawa pod niemiecką okupacją.

W pierwszych dniach września 1939 roku, w Starym Oleksíncu koło Krzemieńca, wojna ciągle była bardziej dalekim pomrukiem grozy niż realnym niebezpieczeństwem.

Odległość dzieląca niemieckie oddziały od wschodnich rubieży Polski, deklaracja Anglii i Francji oraz przeświadczenie, że skoro wszyscy uciekają na wschód, to nie ma po co się stąd ruszać powodowały, iż przez pierwsze dwa tygodnie wojny ludzie zastygli w

bezwolnym oczekiwaniu. W rodzinie Lubienieckich wszystko zmieniło się nad ranem 17 września. Wtedy Anna miała pierwszy raz ten dziwny sen. Czarno-biały obraz, jak z kinematografu... Otaczali ją szarzy mężczyźni o wychudzonych twarzach, a pomiędzy nimi ona - w malinowej sukience. Nie ma pojęcia, co się dzieje. Nie wie, gdzie jest. Czuje tylko potężny, dojmujący wstyd...

Wtedy obudziło ją głośnie stukanie do okna. Dochodziło od strony sypialni rodziców. „Andrzej!” - pomyślała natychmiast o bracie, który służył w artylerii i o którym nie wiedzieli nic od ponad dwóch tygodni. W chwilę potem usłyszała głos jakiegoś mężczyzny i nerwowy szept ojca. Wyrwana ze snu Anna prawie niczego nie rozumiała, na końcu dotarło do niej jedynie urwane „...ocalicie, co weźmiecie, niech się pan spieszy, panie Lubieniecki...”. Nie chodziło o Andrzeja. Nim nastał świt, cały dom był już na nogach. Ojciec powiedział, że Armia Czerwona zaatakowała Polskę od wschodu i że niezwłocznie muszą uciekać.

Matka próbowała protestować. Mówiła, że i tak nie ma gdzie uciekać, że może bolszewicy zostaną pokonani, jak w 1920, ale w głębi serca sama w to nie wierzyła. Dla mieszkańców Wołynia to, co działo się na włączonej do Związku Radzieckiego Ukrainie, nie było tajemnicą... Ludzie tacy jak Lubienieccy nie mieli tam żadnych szans.

Przez następne trzy dni trwało potworne zamieszanie, ojciec zniknął na całe dni i próbował zlikwidować swoje

interesy i spieniężyć, co się da. W majątku trwała nerwowa szamotanina, pakowano wszystko na furmanki i ciężarówką zabraną przez ojca z tartaku.

Czwartego dnia Anna z całą rodziną znalazła się na szosie w kierunku Warszawy, wypełnionej, jak okiem sięgnąć, rzeką uciekających przed „czerwoną zarazą”.

Do Warszawy dotarli w pierwszych dniach października, już po kapitulacji stolicy. Z zabranego dobytku zostało jedynie to, co zdołali zmieścić na furmance powożonej przez ojca. Dwóch wynajętych chłopów uciekło dwa dni po wyjeździe, od trzeciego ojciec odkupił konia i wóz. Ciężarówką zarekwirowali Niemcy na rogatkach Warszawy, ale na szczęście pozwolili na wjazd do miasta. Zresztą kosztowało to ojca sporą część pieniędzy wywiezionych ze Starego Olksieńca. Zatrzymali się w mieszkaniu siostry Anny, Heleny, kupionym dla niej w prezencie ślubnym. Tu dotarła do nich wiadomość o śmierci Andrzeja. Przez kolejne lata w warszawskim mieszkaniu Lubienieckich panowało kamienne milczenie w tej sprawie.

Tego majowego dnia Anna jak zwykle wstała pierwsza. Musiała przejść przez dwa pokoje, aby dotrzeć do łazienki. Lubienieccy mieszkali w typowej warszawskiej kamienicy, z wysokimi sufitami, z czterema dużymi pokojami w amfiladzie. Z braku pieniędzy jeden pokój wynajmowali.

Większość okien mieszkania wychodziła na niedostępne dla słońca podwórze i o świcie było tu

szarawo. Ale Anna nie lubiła rano zapalać światła. Twarze przodków z wiszących na ścianach portretów zamazywały się w półmroku. W największym pokoju pełniącym funkcję salonu widać było zarysy starych mebli, które rodzicom Anny udało się uratować z poprzedniego domu.

Rodzice jeszcze spali. Helena i Jaś także. Ale z pokoju Jasia słyhać było duszący kaszel.

- Dzisiaj koniecznie trzeba iść do Martynowicza mruknęła pod nosem Anna.

Martynowicz, stary doświadczony lekarz, był od lat zaprzyjaźniony z Lubienieckimi.

Anna poszła do kuchni. Pijąc lurowatą kawę zbożową, myślała o tym, że dziś po południu ma znów przenieść jakieś materiały i broń. Nie było to wyjątkowo trudne zadanie. Wymagało raczej opanowania, wyobraźni i mocnych nerwów. Przez pierwsze miesiące, wykonując podobne rozkazy, szła ulicą z walącym sercem, mokra, niemal pewna, że wszyscy wiedzą, co niesie. Po jakimś czasie wielkie emocje ją opuściły, pozostał dyżurny strach, wewnętrzny radar, jakby inny rodzaj węchu, którym starała się wyczuć zagrożenie. Szła ulicą lub jechała tramwajem z niewielką torbą, jak zawsze. Różnica polegała na tym, że zamiast zwykłych rzeczy miała przy sobie kilka granatów, kilka pistoletów czy konspiracyjny biuletyn. Łapanka, przypadkowa kontrola albo wsypa oznaczała katastrofę. Najpierw czekała ją kaźń na Szucha, może Pawiak, a potem, jeśliby cudem przeżyła przesłuchania, dół w Palmirach albo gdzieś w Puszczy

Kampinoskiej. Tak jak wielu przed nią...

Zastanawiała się nieraz, co zrobiłaby w sytuacji o wiele bardziej dramatycznej. „Pewnie to samo, co lord Jim w pierwszej życiowej próbie” - ta myśl nie opuszczała jej od czasu śmierci Marty, łączniczki z oddziału, która z koszykiem pełnym granatów weszła do mieszkania, gdzie był kocioł. Nikt nie wie, co tam się stało. Wiadomo tylko, że kilka sekund później potężna eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Zginęli wszyscy - i gestapowcy, i akowcy.

Anna przygotowała śniadanie. Skromne, chleb i biały ser. ale i tak mieli szczęście. Na razie jedli do syta. Ojciec jak zwykle mówił, że nie ma na świecie nic lepszego od świeżego białego sera. To dzięki jego zaradności i umiejętnie nawiązanym kontaktom na wsi mieli dostęp do takich frykasów.

Do kuchni powoli zaczęli schodzić się domownicy. Najpierw mama nucąca pod nosem znane szlagiery. Już odświeżona i uczesana, pełna energii. Potem pojawiła się reszta.

- Słuchaj, z Jasiem koniecznie trzeba pójść do Martynowicza. Ten kaszel może być naprawdę groźny - powiedziała Anna do Heleny.

- Dobrze, pójdziemy zaraz po śniadaniu. Choć nie wiem, co biedak może jeszcze poradzić, skoro nie ma lekarstw - westchnęła Helena.

- Najważniejsze, żeby osłuchał małego, sprawdził, czy płuca są w porządku - dodała mama. - Jeśli trzeba będzie, zdobędziemy leki choćby spod ziemi.

Obie siostry wyszły z domu kilka minut po dziesiątej. Helena ciągnęła za sobą Jasia, który bez przerwy oglądał się albo wyrywał, by obejrzeć coś, co go zainteresowało. Ranek był rześki i świeciło słońce.

W pewnej chwili Anna usłyszała tupot nóg. Zza rogu wybiegła kobieta.

- Łapanka! - krzyknęła.

Dziewczyna rzuciła się w stronę najbliższej bramy, popychając przed sobą Helenę i Jasia. Zamknięta. Niemcy wyrosli jak spod ziemi. Właściwie nie pamiętała, co działo się dalej. Znalazła się w samochodzie, ściskając ręce siostry i Jasia. Potem stali na dziedzińcu otoczonym murem, a hitlerowcy sprawdzali kenkarty.

2

Przed więzienny gmach przy ulicy Pawiej podjechał elegancki czarny daimler-benz. Szofer otworzył drzwiczki samochodu, z którego wysiadł niemiecki oficer. Wysoki, o jasnej cerze i ciemnych blond włosach. W sposobie poruszania się i gestykulacji można było dostrzec nonszalancję typową dla znudzonych życiem młodzieńców z wyższych sfer.

Major Franz von Steinberg, idąc w stronę wejścia, pomyślał: „Konrad ma pecha”. Franz dziękował losowi, że nie musi służyć w okupowanej Warszawie, zwalczać ruchu oporu i użerać się z tymi „obłąkańcami z gestapo”. Tak zawsze nazywał w myślach swoich rodaków w czarnych mundurach.

Sam był komendantem obozu Oflag II D Gross Bont. Ten cichy kąt, który umożliwiał przetrwanie wojny w spokoju, załatwił mu stryj, mający w Berlinie znajomości.

Franz uważał wojnę za idiotyzm, ale absolutnie nie zamierzał bohatersko poświęcać życia walce z NSDAP. Dzień, w którym dowiedział się, że armia go wzywa, uznał za najgorszy w życiu. Ale nie było wyjścia. Szczęściem, nadzorowanie produkcji fałszywych dokumentów w sekcji IG I wydziału Abwehry niosło za sobą jedynie ryzyko śmierci z nudów, co dla sybaryty Franza było i tak upiornym zagrożeniem. Niestety, inwazja na Związek Radziecki, przed niespełna rokiem,

czyniła bardzo prawdopodobnym przeniesienie dobrze wykształconego światowca Franza do innego wydziału i oddelegowanie do zadań, które dla ostatniego z rodu Steinbergów mogły już nie być tak bezpieczne. Z tego też względu ustosunkowany stryj podjął działania prewencyjne i Franzowi powierzono dowództwo obozu dla jeńców wojennych. Propozycję „przyjął z najwyższym obrzydzeniem”, ale zakomunikował to jedynie stryjowi, dla którego estetyczno-moralne skrupuły zblazowanego bratanka nie były godną uwagi przeszkodą w misji podtrzymania nazwiska i rodu.

Posada komendanta oflagu była nudna. Dużo papierkowej roboty, brak towarzystwa na poziomie. Wokół sami żołdacy. Najbliższy w okolicy burdel - nieciekawcy. Franz często zastanawiał się, czy istnieje jakikolwiek sposób na ubarwienie sobie życia w Gross Born. Uważał, że po trzydziestu latach całkiem przyjemnego, wygodnego życia spotkała go niezasłużona kara. Bo dotąd rzeczywiście wiodło mu się całkiem nieźle: był zamożny, wykształcony. Interesy, które prowadził, szły dobrze. Na powodzenie u kobiet nie mógł narzekać. A przede wszystkim miał bardzo dobre zdanie o samym sobie.

- Ktoś taki jak ja zupełnie nie nadaje się na wojnę - powtarzał bliskim znajomym. - Jestem bezideowy.

Ucieszyła go wiadomość, że stryj wzywa go na spotkanie do Warszawy. Każda odmiana była atrakcją. Tym bardziej że tu właśnie pełnił służbę jego przyjaciel

Konrad Fischer.

Z Konradem poznali się prawie dziesięć lat temu w czasie szkolnego rejsu dookoła świata krążownikiem Karlsruhe, niemal żelaznego punktu szkolenia młodych niemieckich oficerów. Wydawałoby się, że trudno o mniej prawdopodobną przyjaźń niż „paniska” Steinberga z synem dorobkiewicza, fabrykanta kabli dla niemieckiej armii, Ottona Fischera. A jednak Konrad miał jedną zaletę - odziedziczoną po ojcu umiejętność karierowiczów z nizin. Świadom wpływów starszego von Steinberga przez cały rejs zaspokajał zachcianki Franza, a rok później uratował go w wielce osobliwy sposób z miłosnej afery, w którą ten wplątał się, obiecując nierozważnie małżeństwo córce dyrektora stoczni w Hamburgu, Amalii Schellenberg. Konrad po prostu zaoferował jej ojcu siebie zamiast Franza i został przyjęty. Zyskał wdzięczność przyjaciela, protekcję jego stryja, majątek teścia i ładną żonę.

Steinberg wszedł do szarego gmachu. Wewnątrz było czysto, porządnie i ponuro. Idąc korytarzem, odruchowo spojrzął przez okno na dziedziniec. Stali tam jacyś przerażeni ludzie i słychać było pokrzykiwania żandarmów. Zatrzymał się, bo jego uwagę przykuła kobieta w jasnym płaszczu.

- Niech pan go zostawi, nie ma pan serca, czego pan chce od dziecka? - mówiła podniesionym głosem po niemiecku, łapiąc za rękę żołnierza, który próbował oderwać chłopca od stojącej obok drugiej kobiety.

W końcu Niemiec uderzył tę w jasnym płaszczu, a ona upadła na ziemię. Dziecko zostawił jednak w spokoju. Franz w pierwszym odruchu chciał zareagować, ale zaraz potem uznał, że to nie ma sensu. Oszołomiona ciosem dziewczyna wstała dopiero po dobrej chwili.

Była ładna, choć nie oszałamiająco piękna. Ciemna blondynka, długie, lekko falujące włosy. Wzrost średni. Oczy? Trudno było dojrzeć z tej odległości. Raczej szare albo zielone. Może miała odrobinę zbyt pucułowatą twarz. Franz zastanawiał się, dlaczego jakoś dziwnie go pociąga. Widział, jak nerwowo zaciskała palce. W jej oczach dostrzegł strach. Ale był to dziwny rodzaj strachu: nie taki zwierzęcy, wypływający z instynktu samozachowawczego. To było coś innego determinacja.

A może zatrzymał się przy oknie, bo głos dziewczyny wzbudził w nim jakieś ciepłe uczucia? Może kogoś mu przypominał? Sam już nie wiedział... „Verena! - dotarło nagle - Verena! Co za podobieństwo!”. Przed oczami stanęła mu daleka kuzynka, z którą bawił się w dzieciństwie. Verena w wieku trzynastu lat wyjechała z rodzicami do Ameryki Łacińskiej i nigdy jej już nie zobaczył.

Stał dalej przy oknie i obserwował kobietę na dziedzińcu. Ona, czując czyjś wzrok, odwróciła głowę w stronę okna. I wtedy Franzowi przyszedł do głowy pomysł.

- Konrad, mam do ciebie prośbę - powiedział, wchodząc do gabinetu przyjaciela.

- Może byś się najpierw przywitał - mruknął Konrad, nie podnosząc głowy znad papierów.

Stanowisko zrobiło swoje. Fischer zmienił się, nie przypominał już dawnego usłużnego faceta.

- Sprawa jest pilna. Tam na dziedzińcu stoi kobieta. Czy nie mógłbyś jej wezwać tutaj na przesłuchanie? - zapytał Franz.

- Jaka kobieta? Po co mam kogoś wzywać na przesłuchanie? - Zdumiony Konrad dopiero teraz spojrzał na przyjaciela.

- Proszę cię, wezwij ją. Później wszystko ci wytłumaczę. Chodź. - Franz wyszedł na korytarz. Widząc, że Konrad nie rusza się z miejsca, wrócił i zaczął go ponaglać: No chodź, przecież to żaden problem dla ciebie.

Kiedy Fischer, ociągając się, wyszedł z gabinetu, Franz wskazał mu ręką:

- O ta, w jasnym płaszczu, czwarta od lewej. Każ ją przyprowadzić.

- Franz, nie wiem, o co ci chodzi, ale nie rób żadnych głupich kawałów...

- Dobrze, dobrze...

Konrad kazał żołnierzowi przyprowadzić dziewczynę do pokoju obok.

- Coś ty wymyślił? - zapytał Franza.

- W Gross Born potwornie się nudzę. Z nikim nie da się tam pogadać. Chcę zobaczyć, kim jest ta dziewczyna, może mnie zainteresuje? Może wezmę ją na osobistą sekretarkę i damę do towarzystwa? Będzie czymś w

rodzaju więźniarki, tyle że w luksusowych warunkach. Po prostu będzie do mojej dyspozycji.

- Oszalałeś. I ty sobie wyobrażasz, że ja to załatwię?

- Potem o tym pogadamy. Może się okazać, że nie jest warta zachodu - odparł Franz.

On - inaczej niż Fisher - w ogóle nie przejmował się konsekwencjami swoich decyzji i nie czuł strachu przed przełożonymi. Być może wynikało to z jego charakteru, a może z przekonania, że stryj zawsze uchroni go przed kłopotami. Dla niego wyciągnięcie więźnia z aresztu nie mogło stanowić żadnego problemu.

Gdy żandarm wyczytał jej nazwisko, Anna poczuła ucisk w gardle. „Przesłuchanie” - pomyślała przerażona.

Została przyprowadzona do małego pomieszczenia, w którym był tylko stół i dwa krzesła. Białe ściany przybrudzone, poczerniała podłoga lekko skrzypiała. Gdyby nie słońce wpadające przez okno do środka, pokój byłby przygnębiająco ponury. Ale Anna nie zwracała uwagi na słońce.

Obezwładniające przerażenie - to jedyne, co czuła w tym momencie. Sądziła, że Niemcy już odkryli jej działalność w podziemiu. Najpierw zaczną zadawać pytania, a potem będą tortury. Wspomnienia opowieści o tym, jak gestapo wyciągało informacje od złapanych członków podziemia, mroziły jej krew w żyłach. A ona nie wytrzyma bólu, zacznie mówić. Wie niewiele, ale jednak może komuś zaszkodzić.

- Guten Tag - powiedział grzecznie niemiecki oficer, który właśnie wszedł do pokoju. Ruchem ręki odesłał żołnierza. Sam rozsiadł się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę. - Proszę usiąść. Jak się pani nazywa i ile ma pani lat? - zapytał, gdy już byli sami.

Anna przez pewien czas nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czowała, że zaschło jej w gardle. Nadal więc stała nieporuszona. Siedzący przed nią mężczyzna patrzył na nią przyjaźnie.

- Niech pani siądzie - powtórzył z naciskiem.

Usiadła.

- Zadałem pani pytanie...

- Nazywam się Anna Lubieniecka. Mam dwadzieścia sześć lat.

- Jest pani zamężna? Ma pani dzieci?

- Nie.

- Gdzie pani pracuje?

- W szpitalu Przemienienia Pańskiego jako pielęgniarka.

- Ma pani wykształcenie pielęgniarskie?

- Nie, skończyłam wydział prawa. Studiowałam też filozofię i germanistykę.

- Zna pani coś z Goethego na pamięć?

Anna otworzyła szeroko oczy.

- Słucham?

- No, czy może pani wyrecytować jakiś fragment na przykład z Fausta - wyjaśnił oficer.

Była kompletnie dezorientowana. Myślała cały czas

o tym, że w bucie ma pastylkę z trucizną i że w odpowiednim momencie musi ją stamtąd wydobyć. Na wszelki wypadek lepiej mieć ją pod ręką. Przyjaciele trochę się naśmiewali z tej jej zapobiegliwości - w końcu nie odgrywała w konspiracji zbyt dużej roli. Ale ona się uparła.

Tabletka w równym stopniu uspokajała i dodawała odwagi, co przerażała. Czy odważy się po nią sięgnąć? Ciągle o tym myślała, ale ostatecznie prosty gest połknięcia trucizny wydawał się jej bardziej prawdopodobny niż przetrwanie długich tygodni tortur. Nigdy nie sądziła, że ta chwila tak będzie wyglądać. Przerazenie dodawało siły i chciała tylko jednego: sięgnąć po pastylkę. I koniec.

A teraz, gdy myślała o tym, ten oficer nagle wyskoczył z Gothem. Zaczęła recytować fragment Fausta.

Mężczyzna wstał i podszedł do okna. Ponieważ był do niej odwrócony tyłem, Anna postanowiła skorzystać z okazji i zaczęła manipulować przy bucie. Wtedy on gwałtownie się obrócił i chwycił ją mocno za rękę. Pastylka upadła na podłogę.

Oboje zastygli w bezruchu, patrząc sobie w oczy. To był ich pierwszy bliski kontakt. Wtedy dotarło do niej, że to ten sam oficer, którego widziała w oknie.

Niemiec podniósł tabletkę, obejrzał ją, potem powąchał.

- Trucizna, nieprawdaż? - mogło się wydawać, że

pyta sam siebie. - Ach tak! - zaśmiał się. - Pani jest pewnie w jakiejś organizacji podziemnej - stwierdził. - Nie można powiedzieć, żeby była pani dobrą konspiratorką. Zdradzić się w tak głupi sposób... - zauważył z przekąsem.

Anna zmartwiała.

- Może od razu wyjaśnię, że mnie nie interesuje pani działalność konspiracyjna. Proszę się nie martwić. Nie oddam pani w ręce gestapo zapewnił.

Kompletny mętlik w głowie. Pomyślała, że oficer bawi się z nią jak kot z myszą. Ale jednocześnie czuła, że między nią a tym Niemcem dzieje się coś dziwnego.

- Ma pani niezły akcent. Mieszkała pani w Niemczech?

W pierwszej chwili nie była w stanie odpowiedzieć. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Miałam bonę Niemkę i spędziłam trochę czasu w Berlinie na studiach.

- Czy zna pani jeszcze jakieś obce języki? - zapytał.

- Angielski - powiedziała.

- Z jakiej rodziny pani pochodzi?

- Ziemiańskiej.

- Niech pani nie wbija tak paznokci w kolana, bo może się pani poranić.

Nie odpowiedziała.

- Mam dla pani dość nietypową ofertę, która zresztą może się okazać niemożliwa do zrealizowania. Zanim zacznę cokolwiek robić w tej sprawie, muszę wiedzieć, co

pani sędzi na ten temat. Otóż - o ile wiem - trafi pani do obozu pracy. Nie jest to zachwycająca perspektywa. Proponuję, aby pojechała pani ze mną. Potrzebuję nazwijmy to - damy do towarzystwa, która ma dość szeroki zakres obowiązków. Bardzo szeroki. Będzie pani więźniem, ale jest szansa na przeżycie w godziwych warunkach. Będzie pani całkowicie zależna ode mnie. Może się zdarzyć, że mi się pani znudzi...Wtedy panią odeślę i nie umiem powiedzieć, co będzie dalej. Ale moja propozycja na pewno jest lepsza niż obóz.

Anna nie wierzyła własnym uszom. Nadal sądziła, że to jakaś gra. Nic docierało do niej, o co tak naprawdę chodzi, ale na tyle otrząsnęła się z pierwszego szoku, że mogła spróbować ocenić swoje położenie.

- Zastanawiam się, po co się pan tak nade mną znęca? Znajduje pan w tym przyjemność? - zapytała i natychmiast zrozumiała, że prowokuje tego dziwnego Niemca.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się z wyższością, ale łagodnie:

- Nie, ja naprawdę proponuję pani układ. Oczywiście musiałyby się pani trochę starać, aby umilić mi czas.

Ostatnie zdanie wypowiedział innym tonem, przeciągając samogłoski. Wreszcie zaczęło coś do niej docierać, ale ta myśl wciąż wydawała się jej absurdalna.

- No więc? Chyba nie ma się nad czym zastanawiać?

Patrzył na nią spokojnie, pewny siebie i pewny tego, co mówi. Anna pomyślała, że nie wolno mu wierzyć.

- Musi pan wiedzieć, że moje życie nie jest dla mnie aż tak ważne - zaczęła odważnie i nagle przestraszyła się, że kusi los. Kiedy jednak podniosła wzrok na Franza, poczuła, że to zdanie zabrzmiało pretensjonalnie. Mimo to ciągnęła: - Nie wiem, czy jestem w stanie spełnić pańskie warunki. Posada... - szukała właściwego słowa - ...kurtyzany nigdy nie była moim marzeniem. - Mimo woli oblała się rumieńcem. Tak ją to zezłościło, że dodała natychmiast: Ale jest coś dla mnie ważniejszego. Gdyby pan się na to zgodził, zrobię wszystko. Nigdy pan nie będzie żałował zawarcia naszej umowy. Chodzi o to, że... To znaczy, po prostu... Tam jest moja siostra i jej syn. To znaczy, stoją na dziedzińcu. Niech pan załatwi, aby ich zwolniono.

- Pani chyba nie rozumie swojej sytuacji. - Zdumiony oficer uniósł brwi. - Pani stawia warunki? To po prostu niewiarygodne. Proponuję pani prosty wybór: albo obóz, albo spokojne życie. Tu nic ma już większego pola manewru. Powinna pani być mi wdzięczna, że nie wydałem pani gestapo.

Wyczuła delikatną nutę uznania w jego głosie i zaświtała jej nadzieja, że może jednak coś utarguje:

- Zdaję sobie sprawę ze swojej sytuacji i jestem... panu wdzięczna, ale powtarzam jeszcze raz: moje życie nie ma tu znaczenia. Jeżeli się pan nie zgodzi, wybieram obóz, bo muszę się opiekować siostrą i jej dzieckiem. Rzeszy nic się nie stanie, jeżeli dwie osoby z łapanki po prostu wyjdą na wolność. To tak jakby w danej chwili nie

było ich na tej ulicy! - wymówiła to wszystko jednym tchem, po czym zacisnęła zęby, by nie zobaczył, jak bardzo trzęsie się jej broda.

Oficer bez słowa wyszedł z pokoju, zostawiając ją pod nadzorem żołnierza. A ona uznała, że jest już przegrana. W chwilach największego strachu śpiewała zawsze jakąś piosenkę. Tym razem nuciła w duchu „Umówiłem się z nią na dziewiątą...”. Na okrągło, bezmyślnie, nie zastanawiając się nad znaczeniem słów szlagieru. Starła się opanować drżenie. Zawsze kiedy była zdenerwowana, zaczynała się trząść jakby z zimna. I było jej zimno, choć w pomieszczeniu panowała raczej duchota.

Tymczasem Franz wrócił do Konrada, który nie przestawał pisać coś przy biurku.

- Słuchaj, skończę to szybko, pójdziemy gdzieś na obiad i spokojnie porozmawiamy - zaproponował Konrad, nie podnosząc głowy.

- Tak, ale musisz mi najpierw dać tę dziewczynę i zwolnić jej siostrę z dzieckiem - powiedział Franz.

- Chyba oszalałeś?! - Gdyby nie wrodzona służalczość, Konrad wyskoczyłby zza biurka, a tak jedynie podniósł głos i głowę znad papierów. - Mogę spełniać twoje zachcianki, ale tu już przesadziłeś. Jak to sobie wyobrażasz? Przecież wszyscy więźniowie są rejestrowani.

- Nic wyobrażam sobie. To ty wiesz, jak to zrobić rzucił Franz z tą swoją rozbrajającą, wielkopańską

beztroską. - Zresztą oni chyba dopiero co zostali przywiezieni z ulicy. Każdy wpis do papierów można jeszcze anulować - dodał.

- Nie, nie... - Fischer opierał się dla zasady, przecież nie mógł nadskakiwać mu jak dawniej. Stanowisko jednak zobowiązuje!

- Konrad, nie bądź taki nieugięty!

„Nieugięty”? Steinberg rozgryzł go błyskawicznie. „Nowemu” Fischerowi należało schlebiać.

- Czy musiałeś się uprzeć akurat na jakąś dziewczynę stąd? Mam teraz o wiele ważniejsze sprawy na głowie - marudził jeszcze, ale było jasne, że zrobi, co trzeba.

- Bez przesady, nic nie ryzykujesz. Przecież to da się załatwić. Ta dziewczyna akurat mi odpowiada... - Franz założył ręce za głowę.

Konrad milczał przez chwilę, po czym rzekł z ociąganiem:

- Dooobra. Zobaczą, czy to w ogóle jest możliwe.

Następnie wezwał do gabinetu dwóch żołnierzy i kazał przynieść rejestr nowych więźniów. Po chwili żołnierz przyprowadził Annę.

- Proszę wskazać, która z tych osób to pani siostra i niech pani wskaże też siebie - powiedział Franz, pokazując jej listę.

Anna przejechała palcem po nazwiskach. Żołnierz znów wyprowadził ją do pokoju obok.

- Któredy wypuszczą tę kobietę z dzieckiem? - zapytał Franz.

- Zaraz, zaraz, jeszcze nic nie załatwiłem - odparł Konrad i wyszedł z pokoju. Wrócił po piętnastu minutach.

- No to którądy ich wypuszczą? - powtórzył Steinberg.

- Nie wiem, Franz, ja się nie zajmuję takimi sprawami. I tak cud, że udało mi się to załatwić. - Konrad udawał rozdrażnionego, ale wezwał żołnierza i kazał mu się dowiedzieć.

- Boczna bramą od południowej strony. Pan major przejdzie ten korytarz i skręci w prawo. Dojdzie pan do okna, przez które widać bramę - poinformował żandarm.

Franz wyszedł z pokoju. Zabrał Annę w asyście żołnierza, aby pokazać Helenę i Jasia, opuszczających więzienne podwórko.

- Proszę tu poczekać. Za chwilę pani zobaczy, jak wychodzą na wolność - powiedział i odszedł w stronę gabinetu Konrada.

Nie wierzyła jeszcze, że to stało się naprawdę. Kiedy zobaczyła wylęknioną Helenę ciągnącą Jasia w stronę bramy, nie wiedziała, czy szaleć z radości, czy podejrzewać niemieckiego oficera o wyrafinowane tortury. „Za chwilę się okaże - myślała - że za bramą czekają żołnierze, by zabrać ich z powrotem. A może wypuścili Helenę, by zaprowadziła ich do Stacha, który ukrywał się od dłuższego czasu?”. Annę oblał zimny pot. A może jednak ten dziwaczny Niemiec mówi prawdę? Gdyby chcieli dotrzeć do informacji o podziemiu, dawno wzięliby ją na ostre przesłuchanie i niezależnie od tego

uwolnili Helenę, by ją śledzić.

Żołnierz zaprowadził ją znów do pokoju, w którym przebywała wcześniej. Młody oficer już nie wrócił. Siedziała sama, mając mętlik w głowic. Czas dłużył się niesamowicie. Po trzech kwadransach była już przekonana, że niemiecki oficer po prostu sobie z niej zakpił.

- Czy długo będę tu siedzieć? - spytała żandarma.

- Ruhe - usłyszała w odpowiedzi.

- Mogę pochodzić po pokoju?

Annie zdrętwiały już nogi od siedzenia na niewygodnym krześle.

- Nein.

Po godzinie do pokoju wszedł młody podoficer, który oznajmił przyjaźnie:

- Nazywam się Helmut Knopfe. Pan major Franz von Steinberg polecił mi asystować pani w drodze do hotelu, gdzie będzie pani mogła przygotować się do podróży.

Anna w asyście adiutanta wyszła z budynku i wsiadła do limuzyny, która zawiozła ją do hotelu Bristol.

W eleganckim hotelowym apartamencie stały trzy uprzejmie uśmiechnięte kobiety.

- Pan major kazał mi pomóc w przygotowaniach. Czekają na panią modystka, fryzjerka i makijażystka. Mają o panią zadbać. Są na pani rozkazy. Proszę skompletować garderobę, obuwie oraz biżuterię. Tu stoi zestaw waliz dla pani. Pan major prosił, aby była pani gotowa o godzinie dwudziestej. O tej porze będzie czekał

w holu i razem pójdą państwo na kolację - uprzejmie recytował Knopfe.

- Mogłabym się czegoś napić? - zapytała Anna.

- Oczywiście, zaraz wydam stosowne polecenia. Zostanie dostarczony także obiad. O pani bezpieczeństwo dba trzech żołnierzy. Pragnę przypomnieć, że w żadnym wypadku nie wolno pani opuszczać tego pomieszczenia. Dodam jeszcze, że stojące tu panie są Niemkami oddanymi Führerowi. Mam nadzieję, że nie będzie pani próbowała czegoś, co nie zostało uzgodnione z panem majorem. Knopfe delectował się swoim eleganckim stylem wypowiedzi. Po chwili wyszedł.

Anna chciała płakać, ale nie mogła. Nie była w stanie już od 1939 roku, gdy przyszła wiadomość o Andrzeju, który zginął w kampanii wrześniowej. Usiadła bez sił na skraju wielkiego łóżka i natychmiast się poderwała. Teraz nawet ten mebel napełniał ją wstrętem.

„Zostałam damą do wszystkiego Niemca, nazisty, zbrodniarza” - rozpacziała w duchu, patrząc na nakryte haftowaną kapą łóżce. Potem zaczęło dręczyć ją pytanie, jak upewnić się, że Helena jest bezpieczna. Z zamyślenia wyrwały ją przymilnie uśmiechnięte Niemki.

- Jaką fryzurę pani lubi? Co z garderoby? Mamy kostiumy i sukienki. A jaki kapelusz?

- Kapelusz z bardzo gęstą woalką - odpowiedziała Anna.

*

- Wiesz, Franz, twoje pomysły są zdumiewające - powiedział Konrad, przeglądając kartę w restauracji.

Steinberg patrzył na mieniące się kryształowe żyrandole.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Jest inteligenta, ładna i wykształcona. Ma to coś. Będzie mi mogła czytać Szekspira w oryginale. Wydymał usta w wymuszonym uśmiechu. Potem spojrzał na Konrada i dodał: - W czasie pokoju masz do wyboru: albo przygłupie szansonistki, albo kobiety niezależne, które nawet są na jakimś poziomie, ale życie z nimi jest ciężkie. Mają migreny, fochy, a po trzech miesiącach znajomości pytają, kiedy się oświadczę. Bo mama im powiedziała, że już czas. Albo babcia. Nie, nic, to koszmar - uśmiechnął się Franz. - A tu masz kobietę, która coś sobą reprezentuje i na dodatek nie będzie domagać się ślubu. Zrozum, ja tam umieram z nudów.

- I co? Od razu się zgodziła?

- Miała do wyboru obóz.

- Akurat ci jadą do pracy w Rzeszy...

- Co za różnica...

- W końcu nic ma nic złego w wysyłaniu ludzi do pracy... Konrad wzruszył ramionami. Nie zauważyłeś, że jest wojna? Że są sprawy ważniejsze od pańienek?

- Może są ważniejsze sprawy. - Franz nad przemianą przyjaciela przeszedł do porządku dziennego. - Ale na pewno nie jest nią wojna. Na dodatek głupia i prowadzona

przez szaleńców. Ten świat jest w ogóle szalony, więc pewnie nie da się z tym nic zrobić.

- Jak zwykle jesteś bardzo afektowany. Mam nadzieję, że nie głosisz tych poglądów w szerszym gronie? - Konrad pokręcił głową i dyskretnie rozejrzał się po sali.

Restauracja była jednak pustawa. Gdzieś w drugim kącie siedziało kilka osób. Reszta stolików, połyskujących kieliszkami, była wolna. Kelnerzy w czarnych kamizelkach i długich fartuchach stali przy bufecie.

Franz pomyślał, że tak naprawdę nie wie, co Konrad sądzi o tym wszystkim. Wydawało mu się, że pilnie wypełnia rozkazy swoich dowódców i jeżeli nawet ma jakieś wątpliwości, to jednak zwycięża w nim cnota posłuszeństwa i wrodzona służalczość. Franz miał ochotę zapytać, jak się czuje jako człowiek, który łapie cywilów na ulicy i wysyła do obozów. Bo tego, że ludzi wysyłano nie tylko do pracy w Rzeszy, był pewien. Ale nie zadał tego pytania. Fischerowi nie należało takich pytań zadawać.

Przy obiedzie rozmawiali jeszcze przez chwilę o tym, co dzieje się teraz w Berlinie, o starych znajomych. Wyszedł z restauracji z przeświadczeniem, że mimo wszystko Konrad to jego najbliższy przyjaciel, i tak już pozostanie.

*

Franz miał przed sobą jeszcze spotkanie ze stryjem, który przyjechał załatwiać w Warszawie swoje sprawy. Ulrich von Steinberg jak zwykle wygłosił typowe dla siebie kazanie.

- Franz, jesteś ostatni z rodu, po wojnie musisz natychmiast się ożenić i spłodzić męskiego potomka - mówił. Tak, tak, wiem, już o tym rozmawialiśmy...

Ojciec Franza nie żył od kilkunastu lat. Zmarł na gruźlicę, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o Hitlerze, a zblazowany gimnazjalista Franz nie myślał o karierze wojskowego. Był za młody, by prowadzić z ojcem poważne rozmowy i dość słabo znał jego poglądy, ale nieraz odnosił wrażenie, że konformizm stryja ojcu by się jednak nie podobał.

Ulrich von Steinberg bardzo szybko wyczuł kierunek zmian w Niemczech początku lat trzydziestych i zagrożenie dla wszystkich tych, którzy nie zechcą płynąć z prądem historii. Był człowiekiem zbyt inteligentnym, by nie rozumieć, w czym tak naprawdę bierze udział, i zbyt doświadczonym żołnierzem, by nie uświadamiać sobie, czym to wszystko może się skończyć.

Franz podejrzewał, że jego troska o ród von Steinbergów była tyleż autentyczna, co stanowiła znakomity pretekst, by przed samym sobą wytłumaczyć się z udziału w czymś, co podjęło się nie z przekonania, tylko ze strachu. W końcu sam zachowywał się podobnie... Stryj konsekwentnie realizował postulat zabezpieczenia losów bratanka. Dawał do zrozumienia, że

służba dla Rzeszy jest ważna, ale jeszcze ważniejsze są losy rodu Steinbergów.

- Twoja matka kazała ci powtórzyć, że czas zakończyć okres lekkomyślnych związków z kobietami. Zobowiązała mnie do tego, bo ostatnio doszły ją słuchy o pannie...

- Jeżeli to był najpoważniejszy powód, dla którego mieliśmy się spotkać, to naprawdę szkoda czasu. Nie ma o czym mówić. Niech stryj się nie martwi, wszystko będzie w porządku - przerwał mu Franz.

Stryj zabrał go jeszcze na spotkanie z wysokimi dygnitarzami, którym pragnął przedstawić bratanka. Franz starał się być uprzejmy i unikał mówienia złośliwości, ale chciał jak najszybciej uciec z tego spotkania. Niestety, musiał wytrzymać tam aż dwie godziny. Odczuł ulgę, gdy wizyta dobiegła końca. Potem jeździł po mieście, załatwiając swoje sprawy. Zaopatrzył się w ulubione cygara. Zmęczony wrócił do hotelu, by chwilę odpocząć. Po jakimś czasie do drzwi zapukał Knopfe.

- Fraulein Lubieniecka będzie gotowa za piętnaście minut - zameldował.

- Poczekam w holu. Każ przynieść mi gazety i kawę.

- Tak jest, panie majorze.

Franz zaczął przeglądać czasopisma, ale zaraz je odłożył. Tych propagandowych bzdur nie dało się czytać. Rozsiadł się w fotelu i oddał swemu ulubionemu zajęciu: przyglądaniu się osobom przechodzącym przez hol. Tym razem nie było to jednak aż tak zajmujące: pojawiali się

głównie niemieccy oficerowie. Kobiety, niestety, sporadycznie. Po chwili zobaczył, że od strony hotelowych pokoi idzie w jego stronę kobieta w kapeluszu z woalką. Franz przyglądał się jej z uznaniem. Za plecami kobiety widać było trzech żołnierzy, a obok pojawił się po chwili czujny Knopfe.

Gdy Anna podeszła do niego, bezceremonialnie podniósł woalkę, żeby się jej przyjrzeć. Gdyby nie te wykrzywione grymasem usta, można by powiedzieć, że wygląda czarująco.

- Przed kimś się kryjesz? - zapytał ironicznie, ale nie spodziewał się odpowiedzi.

Podał jej ramię. Anna się zawahała.

- Kontrakt to kontrakt - powiedział z bezczelnym uśmiechem.

Przez całą podróż do restauracji ona siedziała ze spuszczoną głową, mimo że przecież i tak nikt by jej nie rozpoznał w tej niemieckiej limuzynie. Czowała potworny wstyd.

Na drzwiach lokalu był oczywiście napis *Nur für Deutsche*. W szatni Franz pomógł jej zdjąć płaszcz. Anna miała niebieską, wciętą w pasie sukienkę. Rozejrzała się po sali. Pachniało tu dostatkiem, a tego zapachu Anna już dawno nie czuła. Przypominał jej stare dobre czasy.

Na każdym stoliku stała niewielka lampka z abażurem, rzucająca ciepłe światło na syte twarze gości. Sporą część z nich stanowili niemieccy oficerowie.

Towarzyszące im kobiety miały wieczorowe kreacje. Tu i ówdzie błyskały brylantowe kolczyki lub kolie. Orkiestra przygrywała niezbyt głośno. Między stolikami płynęła śpiewaczka w obcisłej sukni.

Steinberg sam wybrał dania dla nich obojga. Słyszając kolejne nazwy wykwinionych potraw, Anna przypomniała sobie, co jadła przez ostatnie półtora roku. Zdobycie mięsa graniczyło z cudem. Masło pozostawało najczęściej w sferze marzeń. Trudno było nawet o warzywa, a smaku prawdziwej kawy już dawno zapomniała.

- Nie możesz tak ciągle milczeć. Do twoich obowiązków należy zabawianie mnie rozmową - powiedział Franz, gdy kelner przyjął już zamówienie.

„Rozmową? O czym? O obozach czy o rozstrzeliwaniu ludzi? Bardzo dobry temat! Pasuje do tych wysublimowanych wnętrza” pomyślała Anna, ale nie odważyła się tego powiedzieć na głos.

- Jestem zmęczona...

To niezbyt pasjonujący temat rozmowy zakpił. Opowiedz mi o swojej rodzinie. Co robi... a raczej robił przed wojną twój ojciec?

- Miał fabrykę skór, miał też majątek ziemski i udziały w różnych spółkach.

- Dalej, opowiadaj dalej - polecił.

- W naszej rodzinie przyjęto zasadę, że to nie najstarszy syn dziedziczy najwięcej, lecz najmłodszy. A mój ojciec był najstarszy. Dostał spory kawałek lasu. Zbudował tartak. Pieniądze ze sprzedaży drzewa

zainwestował w różne przedsięwzięcia. To, co miał, zawdzięczał sobie.

- A matka?

- Mama pochodzi z arystokratycznej i bogatej rodziny. Dziadek dał moim rodzicom na dobry początek pałacyk. Gdy ojciec zarobił wystarczająco dużo, aby wybudować własny dom, wyprowadził się stamtąd.

- To musi być bardzo dumny człowiek.

- Owszem. Mój ojciec odebrał bardzo staranne wykształcenie. Wiele umie. W naszej rodzinie z dziada pradziada zawsze hołdowano zasadzie, że wykształcenie, niezależnie od płci dzieci, jest bardzo istotne. - Anna sama sobie się dziwiła, że opowiada takie rzeczy Niemcowi.

- Zabawny jest twój niemiecki, taki oficjalny i elegancki - zauważył Franz, lecz zaraz wrócił do historii rodziny. - Ale nie mieszkaliście teraz w domu, który zbudował twój ojciec?

- Nie, musieliśmy uciekać, bo te tereny zajęli bolszewicy.

- Rodzeństwo?

- Mój brat Andrzej nie żyje... A Helena... Nie chcę o tym mówić.

- Boisz się, że te informacje są mi do czegoś potrzebne? Dobrze, dajmy temu spokój.

Anna zjadła niewiele. Nie tylko dlatego, że nie była w stanie myśleć o jedzeniu. Trzęsły się jej ręce. Ledwo mogła utrzymać sztućce. Po chwili spostrzegła, że cała się trzęsie, choć na sali było dość ciepło. Próbowwała

opanować drzenie, sięgając po kieliszek, ale to się jej nie udało.

- Chciałabym zapalić.

- Nie znoszę kobiet palących papierosy - Franz skrzywił się z niesmakiem.

- Tylko jednego...

W chwilach największego napięcia papieros jakoś ją uspokajał, choć paliła niezwykle rzadko. Tym razem, kiedy się zaciągnęła, poczuła skurcz w żołądku i zrobiło się jej niedobrze. Teraz już musiała coś zjeść. Kawałek pasztetu, który wzięła, rozpląwał się w ustach.

- Masz narzeczonego? - spytał bez ogródek.

- Słucham? - Anna była tak zdumiona, że omal nie zadławiła się kolejnym kęsem.

- Czy kogoś miałaś w Warszawie? - powtórzył jakby nigdy nic, patrząc jej w oczy.

- Czy nie uważa pan, że takie pytanie jest bezczelne?

- Anna - wyszczerzył zęby w nieco pogardliwym uśmiechu - ty ciągle zapominasz o swojej sytuacji. To oczywiste, że muszę wszystko wiedzieć.

- To nie jest oczywiste i nic panu do tego - odcięła się.

- Dobrze, sam sprawdzę.

- Niech pan już nic nie sprawdza - powiedziała szybko. - Nic mam narzeczonego.

- Ale miałaś już w życiu mężczyznę?

- Boże, niech pan to powie dwa razy głośniej, aby wszyscy na pewno usłyszeli...

Zaczerwieniła się, a Franz się roześmiał.

- To bardzo przyjemne wprawiać cię w zakłopotanie. I przestań się tak bać. Wszystko jest w porządku. Twoja siostra jest na wolności, ciebie czeka przyjemne życie... A ja nie jestem jakimś potworem. Uspokój się.

- Czy wie pan, co oznacza słowo hańba? - spytała.

Teraz, gdy trochę ochłonęła ze strachu, a pasztet z zająca dodał sił, poczuła się pewniej.

- Uspokój się - powtórzył. - Nie dramatyzuj tak. Jest wojna. Przestaniesz być taka świętoszkowata, i dobrze ci to zrobi.

- Nie boi się pan, że zabiję pana we śnie? - traciła panowanie nad sobą.

- Nie wierzę, że mogłabyś to zrobić. Ale od razu ci powiem, że mój przyjaciel Konrad zajmie się twoją rodziną w Warszawie, gdyby... no, wiesz... coś było nie tak...

- Jest pan bezwzględny...

- Nie, nie jestem. To tylko moje zabezpieczenie.

Anna wracała do hotelu pod eskortą. Sama, bez Franza, który pojechał jeszcze do klubu na spotkanie z Konradem i innymi oficerami.

Chwila samotności i posiłek, tak dobry, że już nie pamiętała, kiedy coś podobnego jadła, sprawiły, że napięcie nieco opadło. Teraz mogła ocenić swoją sytuację, ale kilka oczywistych faktów sprowadzało tę ocenę do jednego określenia: beznadziejna. Była pilnowana przez

żołnierzy. Knopfe wyglądał na bardzo czujnego strażnika, a na dodatek Franz von Steinberg trzymał ją w szachu z pomocą wszechwładnego kolegi. Nic z wyjątkiem straceńczego aktu desperacji nie wchodziło w grę. Skoro tak, próbowała choć przez chwilę nie myśleć o obecnym położeniu. Ale natychmiast wracały myśli o Helenie i Jasiu. Najróżniejsze scenariusze układały się same w głowie i były coraz straszniejsze. Potem znów pomyślała, że zaraz po wyjściu z samochodu powinna spróbować uciec. Jednak dwaj żołnierze asystowali jej w drodze do drzwi hotelowych.

W końcu została sama w pokoju i chyba przez godzinę siedziała nieruchomo na krześle. W sąsiednim pomieszczeniu przy uchylonych drzwiach krzątał się czujny Knopfe.

W pewnej chwili poczuła, że cała drętwieje. Wstała. Obejrzała wszystkie okna. Było zbyt wysoko, aby myśleć o ucieczce tą drogą. Gdyby popełniła samobójstwo, to mogłoby ściągnąć nieszczęście na głowę najbliższych. Potem po raz pierwszy od chwili, kiedy Steinberg złożył jej propozycję, przyszło jej do głowy, że zawarta z nim umowa gwarantuje bezpieczeństwo rodzinie. Tylko czy on dotrzyma słowa? Był panem sytuacji, a ona o losie Lubienieckich nigdy się nie dowie, bo skąd. Znów powróciły samobójcze myśli, ale tym razem z upokarzającym do granic wytrzymałości odkryciem: „Nie zrobię tego, bo chcę żyć”. Wtedy uświadomiła sobie jeszcze jedną rzecz, że przecież będzie musiała iść z nim

do łóżka, z mężczyzną, którego nie знаła, a jedyne uczucie, jakie w niej wyzwał, to strach. Przeraziło ją, że Steinberg może okazać się wynaturzonym potworem. I czuła wstyd.

Weszła do eleganckiej łazienki. Rozebrała się i włożyła szlafrok. Odkręciła kran przy wannie. Szum wody trochę ją uspokoił. Zbliżyła twarz do lustra i chuchnęła na .nie kilka razy. Potem napisała na zaparowanej powierzchni: „Hańba”. Odsunęła się, przekrzywiła trochę głowę i przyglądała napisowi z założonymi rękami. Potem wzięła szminkę i powyżej napisała nią to samo słowo. Znow się odsunęła i przyglądała się swemu dziełu z dalszej odległości.

Zaczęła zdejmować szlafrok, aby wejść do wanny. Chciała go położyć na fotelu, gdy właśnie w tym momencie do łazienki wszedł Franz.

Nie słyszała, jak wchodził do ich apartamentu. Zdumiona stała nago na środku łazienki.

- Muszę cię obejrzeć. W końcu kupiłem coś w rodzaju kota w worku. Franz bezczelnie rozsiadł się w fotelu z tym swoim cynicznym uśmiechem i wyciągnął cygaro. - Nie przeszkadzaj sobie - dodał, taksując ją wzrokiem od piersi do kolan, więc weszła do wanny.

Był w białej, rozpiętej pod szyją koszuli, spodniach od munduru i oficerkach. Założył nogę na nogę i zapalił cygaro.

- Nie słyszałam, abyś pukał, i nie słyszałam siebie odpowiadającej „proszę”. Jak rozumiem, nie mam do

czynienia z dżentelmenem - wycedziła dobitnie, siedząc już w wannie z zamkniętymi oczami, niemal całkowicie zanurzona.

Te kilka godzin strachu i napięcia zupełnie ją wyczerpały, ale mimo to nagle poczuła jakiś nieuzasadniony przyływ odwagi, bo jako kobieta intuicyjnie wyczuła, że to, co teraz zajmuje myśli Steinberga, daje jej do ręki pewien atut, może nawet coś w rodzaju władzy.

- Nie pamiętam, abym ci pozwolił zwracać się do mnie na ty - odparł.

Próbował odzyskać przewagę, którą na moment stracił.

Anna milczała.

- Widzę, że nabrałaś animuszu. To dobrze. Choć wolę, żebyś nie przesadzała z odwagą powiedział z ostentacyjną pewnością siebie.

Serce zamarło jej z niepokoju.

- Czy już od dziś zaczynam pracę? - zapytała, wkładając szlafrok.

Starła się unikać jego wzroku. Ale w pewnej chwili zerknęła na mężczyznę. Wyczytała w oczach Franza wciąż dużą pewność siebie. Reszta była zagadką.

- Nie udawaj bohaterki, cała się trzęsiesz ze strachu. Lepiej idź już spać - odpowiedział.

Leżeli razem w jednym wielkim łóżu. Franz zasnął od razu, a ona nie mogła. Była zażenowana sytuacją i niemal odczuwała to fizycznie. Nie mogła jednak nie zauważyć,

że czarny scenariusz, który przewidywała przez cały dzień, na razie się nie spełnia. Zachowanie Franza przypominało raczej postępowanie cynicznego, zblazowanego kochanka niż seksualnego tyra. Spał obok niej w najlepsze. Nie tego się spodziewała. Jeszcze raz przeanalizowała zajście w łazience i doszła do wniosku, że jednak może mieć na swój los pewien wpływ. Skarciła nawet samą siebie, że ten kobiecy arsenał środków obronnych daje jej taką satysfakcję, podczas gdy los rodziny jest aż tak niepewny. Tak rozmyślając, w końcu zasnęła.

3

Rano nie było już tak źle. W czasie podróży do Gross Boni przyrzekła sobie, że nie pozwoli, by zwyciężył w niej strach przed ewentualnym odesłaniem do obozu.

Dopiero teraz, w pociągu, zaczęła się spokojnie przyglądać Franzowi. Wysoki, dobrze zbudowany. Kolor oczu - nieokreślony, chyba szary. Pewien rodzaj nieprzyjemnego grymasu na twarzy. Stwierdziła, że należy do tej kategorii mężczyzn, którzy ją drażnili. Bogaci, zarozumiali, mający powodzenie u kobiet i cyniczni. Zdaniem Anny większość tego typu mężczyzn była pretensjonalna, choć oni sami uważali, że „pretensjonalne” mogą być tylko kobiety.

- Nie bądź wciąż taka spięta... No, zdejmij już ten kapelusz z woalką. Musisz się nauczyć cieszyć życiem - powiedział Franz, gdy jedli śniadanie w wagonie restauracyjnym.

- Cieszyć życiem? - Anna chciała jeszcze coś dorzucić, ale się przestraszyła swojej śmiałości. Nie była pewna, na ile może sobie pozwolić w rozmowach z tym niemieckim oficerem.

- Jest wojna. Na pewne rzeczy nie mamy wpływu i trzeba się z tym pogodzić. W oflagu, do którego jedziemy, owszem, nie ma luksusowych warunków. Jest to normalny obóz jeniecki - wyjaśniał Franz. I nagle zorientował się, że się tłumaczy przed tą bezczelną panną.

Wyprowadziło go to z równowagi.

Wrócili do przedziału i przez resztę podróży już do siebie się nie odzywali. Każde coś czytało, uważając, by nie spojrzeć drugiemu w oczy. Na twarzy Franza widać było zniechęcenie.

Helena stała na dziedzińcu, mocno trzymając syna za rękę. Była szczęśliwa, ale i bardzo zaskoczona, że Jasia przyprowadzono do niej z powrotem. Annę gdzieś wcześniej zabrano. Może na przesłuchanie...

Kiedy żandarm wyczytał ich nazwiska, potwornie się przeraziła. Spodziewała się najgorszego. Kazali jej iść na drugą stronę dziedzińca. Gdy usiłowała zapytać prowadzącego ją żołnierza, gdzie jest siostra, ten popchnął ją tylko w stronę bramy, krzyząc:

- Schnell, schnell.

Otworzył furtkę i Helena znalazła się wraz z Jasiem na ulicy. Nie wiedziała, co się dzieje. Co robić? Wrzeszczeć, żeby wypuścili Annę, uciekać? Po chwili uspokoiła się, zaczęła trzeźwo myśleć. Przypomniała sobie, że niedaleko mieszka ciotka Melania. Ścisnęła syna mocniej za rękę i pobiegła w tę stronę. Ale potem pomyślała, że to niebezpieczne iść do kogoś znajomego, zresztą po co. Lepiej zadzwonić z kawiarni.

- Chciałam zatelefonować - powiedziała drżącym głosem do barmana. Wykręciła numer Jadzi, koleżanki Anny. - Jadzia, słuchaj, słuchaj, bo... bo... Annę zabrali. No, właściwie obie wpadłyśmy w łapance... tak, tak...

tylko mnie z Jasiem... tak, mnie puścili, a ona tam została. Nie wiem, nie wiem, dlaczego ją zostawili... nie wiem. Wiesz, co masz zrobić na wszelki wypadek?... Tak. tak. Dobrze. Pa.

Helena wykręciła numer swoich rodziców.

- Tata? Anna jest aresztowana. Mogą przyjść zrobić rewizję... Jestem w kawiarni, pojedę do ciotki Melanii. Albo nie, będę gdzie indziej. Zawiadomcie Stasia, żeby nie zaglądał do domu. Sami wyjedźcie na wieś. Ja sobie poradzę. Niech Staś zadzwoni do Królowej Wiktorii. Tam zostawię wiadomość... Tato, tłumaczę ci, że lepiej będzie, jak wyjedziesz... Nie, sam nic nie zrobisz. Inni mogą coś wymyślić. Dobrze, dobrze, nie krzycz... nie, teraz ci nie powiem, nie wiem, muszę iść... pa, tato, odezwę się.

Odłożyła słuchawkę.

- Gdzie jest toaleta? - zapytała barmana.

- Mamo, ja nie chodzę do damskich toalet. - Jaś wyszarpnął rękę z jej dłoni. Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem. - Dobrze, już dobrze - mruknął.

Okno toalety wychodziło na podwórze. Widziała na filmie, jak ktoś umknął w ten sposób przed policją.

- Wychodzimy tędy. Nie wiadomo, czy nas nie śledzą - szepnęła. Wydostali się na zewnątrz. Helena podarła płaszcz.

- Psiakrew... - zaklęła, patrząc na zniszczoną garderobę.

Pobiegli w stronę tramwaju, by pojechać do jednej z przyjaciółek mieszkających pod Warszawą.

Alarm Heleny postawił wszystkich na nogi. Każdy, kogo Anna знаła i kto działał w podziemiu, zmieniał adres. Przeniesiono drukarnię. Zmieniono wszystko, co Anna mogła zdradzić Niemcom. Jedyne, co się nie zmieniło, to to, że Lubienieccy, mimo namów Heleny, nie wyprowadzili się z mieszkania.

Kilka dni później granatowy policjant, który bywał na Pawiaku, miał Annie przekazać wiadomość, że może sypać do woli.

- Owszem, owszem, powtórzyłbym, ale tam nie ma żadnej Anny Lubienieckiej - powiedział Stachowi policjant. - Nikt taki nie został też wysłany do obozu ani na roboty - dodał.

Nie było żadnych rewizji w domu Lubienieckich. Nic się nie działo.

- Nie wiem, o co tu chodzi - zastanawiał się Stach. Nie rozumiem też, dlaczego ciebie wypuścili. Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?

- Jestem pewna, ale to już nawet nie o to chodzi. Pytanie, gdzie jest Anula? - Helena spojrzała na męża. Czy ta wasza wtyczka nie może dowiedzieć się czegoś więcej? Przecież wiadomo, że brali ją na przesłuchanie. Ktoś musiał ją widzieć. Może przewieziona została do innego więzienia?

- Dobrze, możemy jeszcze raz wszystko sprawdzić zgodził się Stach.

Dzięki swoim kontaktom znów poprosił pracujących

dla podziemia ludzi, by szukali jakichkolwiek śladów Anny. Sprawdzali, czy przypadkiem z łapanki nie wyłowiło jej gestapo, i prześledzili losy tych, którzy tego samego dnia wpadli. Helena ze strachem przeglądała niemieckie obwieszczenia z nazwiskami rozstrzelanych. Przez kilka tygodni razem z mamą chodziła ze zdjęciem siostry wzdłuż trasy, którą przebyły z miejsca łapanki na Szucha. Pytała riksarzy, sprzedawców, kelnerki w kawiarniach.

Stach sądził, że takie poszukiwania są bez sensu. W głębi duszy uważał, że Annę zabito i nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić jej tożsamość. Dlatego nazwiska nie było na obwieszczeniach. Ale nie mówił tego na głos, bo wiedział, że żona w to nie uwierzy. Helena nie mogła się pogodzić ze zniknięciem siostry. Jej dociekliwość została jednak nagrodzona. Pewnego dnia, gdy w kolejnej kawiarni wypytywała ludzi i pokazywała wciąż to samo zdjęcie, jedna z kobiet wzięła fotografię, by lepiej się przyjrzeć.

- Chyba widziałam tę kobietę... - rzekła powoli.

- Boże, naprawdę? Gdzie? Kiedy? - Helena była bardzo podniecona.

- Nie wiem, może jakiś miesiąc temu, może więcej. W Bristolu. Ja tam pracuję w recepcji. Prowadził ją jakiś hitlerowiec. Miała taki jasny płaszcz. I zaczerwienione oczy... od płaczu.

- W Bristolu? Ale co ona mogła robić w Bristolu?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Poszli do pokoju.

Potem już jej nigdy nie widziałam. Ale mogłam też nie zauważyć, jak wychodziła, albo może już kończyłam pracę? Nie pamiętam.

Helena kilka razy przepytывała ją w tej sprawie. Pytała ludzi pracujących w Bristolu. Ale po Annie ślad zagał. Nikt nic nie wiedział.

Droga do Gross Born trwała prawie dobę, choć z Warszawy do samego serca Pomorza Zachodniego nie było więcej niż 400 kilometrów. Rzeczywiście, większą część drogi przebyli szybko. Jednak potem przesiedli się do innego pociągu, który boczną linią kolejową wiozł ich w sam środek umocnień Wału Pomorskiego. Zatrzymywał się przy tym na każdej stacji, by przepuszczać wojskowe transporty z uzbrojeniem, jeńcami wojennymi czy żołnierzami jadącymi na front. Wtedy do Anny dotarło, że znalazła się w samym środku gigantycznej twierdzy, w której absolutnie wszystko było podporządkowane wojskowemu reżimowi.

W końcu dotarli do Gross Born. Na stacji czekał na nich samochód, który po kilku kilometrach jazdy dobrą szosą zjechał na wybrukowaną drogę wiodącą przez las. Potem wyjechał wprost na wielkie koszary Wehrmachtu. W większości były to długie, kryte czerwoną dachówką, trzypiętrowe budynki, do których nieco na uboczu przylegało osiedle oficerskie. W najdalszym punkcie osiedla stała otoczona dużym ogrodem siedziba komendanta.

Dom znajdował się w odległości pół kilometra od samego obozu. Ogród, a właściwie park, otoczony był murem i drutem kolczastym. W kilku punktach rozstawiono budki strażnicze. Osiedle powstało przed kilku laty, kiedy Niemcy zaczęli budowę Wału Pomorskiego, ale nikt o nie nie dbał. Niektóre domy już nadawały się do remontu. Budynki miały bezduszny pruski styl, a coś, co miało być ogrodem wokół domu komendanta, było kawałkiem ziemi, czekającym na łaskawą rękę ogrodnika. Gdyby nie zostawiono kilkunastu starych drzew, brzydota budynku byłaby jeszcze bardziej wyeksponowana i wszystko wyglądałoby fatalnie. Nic w tym domu nic przypominało rodzinnej siedziby Anny...

Większość pokoi była niechlujnie urządzona, jakby przewidziano, że nikt nie zagrzeje tu miejsca dłużej. Wszędzie było brudno. Sprzątnięto tylko zachodnią część budynku. Tam od kilku miesięcy mieszkał Franz.

- Masz wolną rękę, jeżeli chodzi o urządzenie domu. Do twojej dyspozycji jest służba, można też wziąć robotników. Nie wolno ci samej opuszczać posiadłości. Jeżeli zechcesz coś kupować, Knopfe sprowadzi ci tutaj dostawców - zapowiedział tonem służbowego polecenia.

„Urządzać dom”? „Dostawcy”? Anna pomyślała, że nie obchodzi ją ani dom, ani służba, ani dostawcy.

- Po co kupować? Niech przywiozą zrabowane rzeczy z Generalnej Guberni - uśmiechnęła się krzywo.

- Nie warto, to zwykły szajs - odparł, patrząc jej prosto w oczy. Po czym wyszedł z domu.

Przeraziła się swoich słów. Jest zdana na łaskę i niełaskę tego człowieka i zamiast milczeć albo odpowiadać spokojnie na pytania, wciąż kusi los opryskliwymi uwagami.

Przywitała się ze służbą. Wcześniej Franz powiedział, że występuje tu jako Niemka i jego osobista sekretarka: Fraulein Anna Brandt. Tak też się przedstawiła. Potem zamknęła się w swoim pokoju. Resztę dnia przeleżała w łóżku, patrząc w sufit.

Franz wrócił dopiero wieczorem, gdy ona już siedziała przy kolacji. Był rozdrażniony. Warczał na służbę, a ją traktował jak powietrze. W czasie kolacji prawie w ogóle się nie odzywał.

Obserwując go, czuła się dużo bardziej samotna niż przez ostatnich kilka godzin spędzonych w pokoju. Gdy Steinberg rozmawiał z nią, przynajmniej można było się pokłócić. W potyczkach słownych zdarzało się, że zapominała o beznadziejnym położeniu. Kiedy milczał i nie zwracał na nią uwagi, było o wiele gorzej. Czuła się obco i źle. Dom wydawał się bardziej ponury, służba - odpychająca i wroga.

I jeszcze miała iść do łóżka z tym... Niemcem. Na samą myśl o tym sztywniała, i to do tego stopnia, że wykonanie najprostszej czynności, jak choćby podniesienie widelca do ust, było trudne.

Po kolacji Franz zaprowadził Annę na górę.

- Będiesz miała dużą sypialnię, ja będę się tu pojawiał, gdy przyjdzie mi na to ochota - powiedział. - Do

mojego pokoju nie masz wstępu - zaznaczył.

Przyjęła te zalecenia milcząco. Po chwili zamknęła się w łazience i siedziała tam długo. Rozczesywała włosy. Gdy w końcu wyszła, Franz siedział w fotelu i przeglądał jakieś papiery. Odłożył je i podszedł. Zaczął zdejmować jej szlafrok i całować szyję. Skrzywiła się mimowolnie, a potem gwałtownie skuliła.

- Muszę iść do łazienki - wyjęczała zduszonym głosem i zamknęła za sobą drzwi.

Zdumiony Franz stanął pod drzwiami i zaczął dopytywać się, co się stało. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była czerwona ze wstydu.

- Mam kłopoty z żołądkiem - krzyknęła w końcu.

Do Franza w końcu dotarło, jaka jest przyczyna jej zniknięcia. Dostał ataku śmiechu. Śmiał się tak, że aż łzy stanęły mu w oczach. Oto dziewczyna, z którą miał uprawiać miłość, na samą myśl o tym dostała biegunki. Pierwszy raz spotkało go coś takiego. A ona siedziała w łazience, czuła bezsilną wściekłość i przejmujący ból brzucha.

Po pięciu minutach wszystko wróciło do normy. Napuściła gorącej wody do wanny i siedziała tam dosyć długo, licząc po cichu, że Niemiec znudzi się czekaniem.

Kiedy wreszcie opuściła łazienkę, Franz zdążył zasnąć w ich wspólnym łóżku.

Rano obudził się w świetnym humorze. Anna już nie spała, porządkowała swoje rzeczy. Podszedł i zaczął ją

rozbierać. Robił to bardzo powoli, jakby sprawdzał, jak silny stawi mu opór. Przy każdym dotyku, gdy poczuł, że Anna sztywnieje, przestawał. Czekał, aż napięcie minie, i znów ją dotykał.

Samotność, poczucie wyobcowania i jego milczenie przy kolacji osiągnęły skutek, jakiego Anna się nie spodziewała. Wewnątrz cały czas buntowała się przeciwko swojemu „wrogowi”, ale jej ciało i emocje domagały się czułego kontaktu z drugim człowiekiem. A Franz był czuły, bardzo czuły... W pozornie niewidoczny na zewnątrz sposób Anna usiłowała walczyć ze sobą, kruszyć swój sztywny pancerz, który do tej pory skutecznie odstręczał Steinberga, ale miała na to coraz mniej siły. Natrętna myśl, że szarpanie się z nim nic nie da, że to i tak musi się stać, coraz bardziej neutralizowała chęć ucieczki. „Ale dokąd?” Z każdym kolejnym dotykiem robiła się bardziej bezwolna, aż w końcu pozwoliła się łagodnie położyć na łóżku. Potem poczuła, że spada w otchłań.

Story były jeszcze zaciągnięte. Przez małe szparki usiłowało się wcisnąć słońce. Franz siedział oparty o poduszki z zamkniętymi oczami i rękami założonymi za głowę. Starła się leżeć bez ruchu, by nie zwracać na siebie uwagi. Bała się, że gdy się poruszy, on przypomni sobie o niej, odezwie się jak gdyby nigdy nic, a ona będzie musiała odpowiedzieć. Jakby to było dobrze, gdyby mogła zniknąć, rozplynać się. Wszystko, czego się po sobie spodziewała, rozpadło się w tej chwili jak domek

z kart.

Franz wstał, założył szlafrok. Zadzwoił na służbę, kazał przynieść do pokoju śniadanie dla obojga.

- Pierwsza z brzegu berlińska szansonistka wykazuje więcej zaangażowania w łóżku niż ty - stwierdził kąśliwie chwilę potem.

Ona odwróciła się do niego plecami, zwinęła w kłębek i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie, nie obraził jej... Zranił.

Franz spojrział na nią i jakby się zawahał. Już wyciągnął rękę, aby ją pogłaskać, ale zrezygnował.

Przez następne dni Anna nie robiła nic. Po prostu snuła się po domu, przysiadła to tu, to tam. Franz wyjechał, jak łaskawie oświadczył, „na kilka dni”. Z rozmaitych półsłówek i strzępków usłyszanych rozmów domyśliła się, że jego wyjazd wiąże się z jakąś większą operacją, którą mu zlecono na początek czerwca. Chodziła po ogrodzie jak otumaniona. Miała wrażenie, że są w niej dwie Anny. Jedna, łączniczka, konspiratorka, patriotka próbowała oceniać tę drugą - młodą, samotną, wystraszoną kobietę zdaną na łaskę i niełaskę „oprawcy” o czułym dotyku, wyniośle pewnym siebie i... dobrze znającym kobiety. Ta pierwsza nie mogła wybaczyć zdrady tej drugiej. Żądała, jeżeli nie samobójstwa, to przynajmniej zadośćuczynienia. Jeśli już nie zdołała zostać Wandą, co nie chciała Niemca, mogła jeszcze uratować swój honor jako Judyta mordująca po spełnieniu

miłosnego aktu śpiącego Holofernesa. Co by to dało? Gdyby w ogóle potrafiła zabić człowieka z zimną krwią, to w najlepszym razie sama poniosłaby śmierć, a w najgorszym Niemcy zmiotliby z powierzchni ziemi całą jej rodzinę. Więc może jednak samobójstwo... Te kilka dni były nie do zniesienia, ale w końcu... Franz wrócił. W jej odczuciu to był już inny Franz, to był mężczyzna, z którym spędziła noc i może dlatego już nie bała się go tak jak na początku.

- Mogłabyś zacząć coś robić, jest wiele rzeczy w domu, które warto by zmienić - powiedział któregoś dnia przy śniadaniu.

- Ożeń się, jeśli chcesz mieć kogoś do urządzania domu - odpaliła i pomyślała, że bierność, nierobienie niczego to dobry sposób, by zrobić mu na złość.

- Po tak krótkiej znajomości chcesz wyjść za mnie za mąż? - śmiał się Franz.

Zaczerwieniła się. Była wściekła, że posunęła się tak daleko, jak nigdy dotąd.

- Pominąwszy to, że jesteś hitlerowcem, co jest równoznaczne z byciem zbrodniarzem, jesteś za mało inteligentny i za mało przystojny jak na kandydata na mojego męża - wycedziła i zamarła w oczekiwaniu na grom.

- Od początku wiedziałem, że mogę liczyć na twoją sympatię, i nie zawiodłem się. - Franz nie przestawał się uśmiechać.

Ten jego absolutny spokój jakoś ją rozbrajał. Mogła mówić dowolnie obraźliwe słowa, a on przyjmował to ze spokojem. Z jednej strony doprowadzało to Annę do szału, z drugiej dawało poczucie bezpieczeństwa. „On nie jest idiotą, a tym bardziej sadystą. Jest po prostu rozpieszczonym, znudzonym niemieckim arystokratą niepozbawionym poczucia humoru” myślała. I w pewnym sensie dbał o nią. W nocy stawał się czuły, delikatny, nie zmuszał do niczego. Któregoś dnia stwierdziła, że nie jest w stanie czuć do niego nienawiści.

Trudno nienawidzić kogoś, z kim żyje się pod jednym dachem, z kim się je śniadanie, spędza czas przy kominku, rozmawia.

Bunt, polegający na kompletnej bezczynności, zaczął jej ciążyć. Po miesiącu bezcelowego krążenia po domostwie zaczęła myśleć o jakimś zajęciu.

Pewnego dnia wezwała Knopfego.

- Proszę sprowadzić służbę do salonu. Chciałabym ze wszystkimi porozmawiać - powiedziała.

Już wkrótce stanęli przed nią w pełnym składzie: trzy pokojówki, kucharz i ogrodnik.

- Czeka nas dużo pracy - zaczęła. - Dom trzeba odnowić i urządzić. Liczę na waszą pomoc.

- Nie damy rady sami - odezwała się nieśmiało jedna z pokojówek.

- Oczywiście. Sprowadzimy ludzi do pracy. O to zatroszczy się Knopfe. W pierwszej kolejności trzeba pomalować salon i jadalnię.

Fraulein Brandt obeszała cały dom, robiąc notatki, co trzeba zmienić i kupić. Prace miały się zacząć już nazajutrz.

Odnawianie i porządkowanie domu pochłoneło ją do tego stopnia, że sama ubrała się w strój roboczy i wzięła do pracy. Franzowi nie bardzo się to podobało, ale też nie protestował. Był zadowolony, że Anna coś robi. Zresztą teraz całe dnie nie było go w domu, pochłonięty organizacją zarządzania obozem. Miał nadzieję tak wszystko ustawić, by potem sprawy toczyły się według określonych procedur, a on miałby już spokój.

Anna zajmowała się też ogrodem. Pomagała ogrodnikowi przy zwykłych pracach. Ku swemu zdumieniu nawet się z nim zaprzyjaźniła. Hans był pięćdziesięcioletnim niewysokim mężczyzną. Trochę się jąkał. Bardzo lubił swoją pracę. Zadowolony był też z towarzystwa Anny. Ale im dłużej z nią przebywał, tym więcej pytań przychodziło mu do głowy.

Zastanawiał się, dlaczego Anna sama nie może opuścić domu. Kochanka i sekretarka majora, a jest tak pilnie strzeżona, jakby ktoś myślał, że ucieknie.

„Zresztą jak tu uciekać, wokół tylko wojskowe tereny” - myślał. Ale nigdy nie odważył się na jakikolwiek komentarz na ten temat. Tymczasem Anna zaczęła delikatnie wypytywać go o obóz. Ogródnik opowiadał chętnie wszystko, co wiedział.

- Jeszcze miesiąc temu byli tam sami francuscy oficerowie i ich ordynansi, ale wszystkich wywieziono.

Teraz zwożą Polaków. Siedzą i wyczekują listów albo paczek. Niektórzy zakładają jakieś kółka teatralne czy literackie. I pewnie myślą o ucieczce, ale nie ma na to żadnych szans, odkąd jest nowy komendant. Dawniej były, ale już nie pamiętam, kiedy ostatni raz...

Poczuła ukłucie w sercu. Gdyby jeńcami byli wyłącznie Francuzi, może łatwiej byłoby się z tym pogodzić, ale teraz... Bała się zapytać, jakimi metodami Steinberg ukrócił ucieczki.

- Tu wcześniej był inny komendant, major Klopffe, ale go odwołali. Zastępca został ten sam, kapitan Helmut Kruger. Poznała go pani?

- Nie.

- Bardzo oddany Rzeszy. Trzymał obóz żelazną ręką.

- Co to znaczy?

- No, jak to zwykle... karcery, apele całonocne, ale jak pan major przyjechał, to się podobno skończyło.

- Skończyło...?

- A pani nie była tu wcześniej? - Hans chyba przeraził się, że za dużo gada. - No, same koszary i koszary, poligon, kasyno oficerskie, jest też bardzo elegancka siedziba generała Guderiana. Przed wojną to nawet sam Hitler podobnie tu był. Może jeszcze przyjedzie...

Anna milczała.

Hans powiedział też, że jego córka. Berta, jest pielęgniarką w obozowym szpitalu. Był dumny, że córka ma taką trudną pracę. Często o niej opowiadał.

- Ona się bardzo poświęca swojej pracy, dużo się

uczy i tak naprawdę to mogłaby być nawet doktorem. Czasami musi sama wykonywać zabiegi, bo lekarzy jest za mało - tłumaczył.

- Aż tylu chorych jest w szpitalu? - pytała Anna.

- Jak ma nie być, skoro część z nich już przywieziono z jakimiś ranami z frontu, a reszta bardzo kiepsko je, choróbska się szerzą rozmaite, bo te chłopcy na kupie siedzą, a tam bród i smród. Lekarstw nie ma, bo kto by dawał lekarstwa dla jeńców, skoro dla naszych ledwie starcza - mówił.

Anna sama sobie się dziwiła, jak może tak spokojnie rozmawiać z tym Niemcem. W końcu to przecież... Niemiec. Próbowwała delikatnie go sprowokować do wynurzeń o wojnie i Hitlerze. Ale Hans zbywał ją półsłówkami. Raz odburknął:

- Berta powiedziała, żebym za dużo nie gadał i nic mieszał się do tych spraw, bo to nie na moją głowę. I ma rację.

Anna doszła do wniosku, że przynajmniej nie jest zagorzałym faszystą.

Potem rozmawiali jeszcze o swoim życiu przed wojną. Tu musiała porządnie nazmyślać. Na szczęście spędziła trochę czasu w Niemczech przed okupacją i tamte doświadczenia okazały się pomocne. Jej historia nie wzbudziła podejrzeń Hansa.

- Byłam nauczycielką w małej szkole koło Frankfurtu, nic nadzwyczajnego, po prostu uczyłam dzieci. Mieszkałam z siostrą - mówiła.

Ale o majorze nie chciała rozmawiać, zmieniała temat, gdy Hans usiłował trochę ją podpytać. On sam opowiadał jej sporo o swojej nieżyjącej żonie, a Anna była cierpliwym słuchaczem.

- Gertrude była wspaniałą kobietą, najlepszą pod słońcem matką. Wszystko potrafiła, w ogrodzie była lepsza ode mnie. Gotowała tak, że wszystko rozpływało się w ustach - rozrzewniał się. - W każdej sprawie umiała poradzić. Ludzie schodzili się do niej z całej okolicy, żeby pogadać, spytać o radę. Oboje z Bertą bardzo za nią tęsknimy. Rozchorowała się kilka lat temu. Doktorzy nie potrafili pomóc. Teraz jestem najczęściej sam, bo Berta jest zajęta, a ja tu siedzę w ogrodzie.

Anna kiwała głową. W kwestii samotności miała co nieco do powiedzenia. Samotności, którą nawet czasem ukrywała sama przed sobą. W dzień zagłuszała ją urządzaniem domu i rozmowami z Hansem, a nocą przykrywała się kołdrą wraz z głową, kiedy już było po wszystkim...

*

Pewnego dnia zobaczyła w holu niemieckiego oficera. Miał może czterdzieści kilka lat, lekko siwiejące włosy.

- Anno, pozwól, że ci przedstawię, kapitan Helmut Kruger. Mój zastępca - powiedział Franz.

- Heil Hitler! - krzyknął kapitan i Annę przeszedł

dreszcz.

Uświadomiła sobie, że nie widziała jeszcze Franza „heilującego”. Spojrzała na niego, ale on tylko zdjął czapkę i położył na stoliku.

- To Anna Brandt, moja sekretarka - przedstawił ją swemu zastępcy.

- Witam - powiedziała i czym prędzej oddaliła się w stronę jadalni.

Obaj panowie poszli do gabinetu Franza.

- Panie majorze, podobno wydał pan rozkaz wypuszczenia z karceru tych kilku jeńców - zaczął Kruger.

- Owszem - odparł Franz, siadając za biurkiem.

- Pozwolę sobie zauważyć, że karcer w ich przypadku był niezbędny...

- Dziękuję za informację. Już podjąłem decyzję.

- Panie majorze, melduję, że w obozie jeńcy zawiązali spisek, w związku z tym przed pana przyjazdem przekazałem kilku z nich gestapo. Tych też powinniśmy...

- Dopiero teraz pan mnie o tym informuje?! - Franz podniósł głos.

- Wcześniej pan się tym nie interesował.

- Nie życzę sobie, aby pan podejmował decyzje o przekazywaniu kogokolwiek gestapo bez mojej wiedzy - powiedział ostro Franz.

- Ale oni zawiązali spisek! To polskie ordynarne świnie. Polewaliśmy ich lodowatą wodą na betonie, nie dawaliśmy im spać, ale nic nie chcieli mówić. Musieliśmy

ich wydać...

- Powtarzam, wszelkie tego typu informacje proszę mi natychmiast przekazywać. I nie podejmować żadnych decyzji bez moich instrukcji!

- Tak jest.

- I jeszcze jedno, meldunki od pana będę odbierał w biurze przy obozie, nie tutaj.

- Tak jest.

- To wszystko, może pan odejść.

Kruger zasalutował i wyszedł z wściekłą miną. Franz pocierał rękami skronie. Jego marzenia o wygodnej posiadce legły w gruzach. Sadystyczny służbista Kruger zmusił go do bardziej baczniejszego przyglądania się temu, co działo się w obozie.

Kapitan już więcej nie pojawiał się w domu komendanta.

4

Pod koniec października skończyło się odnawianie domu, w parku poza grabieniem liści było coraz mniej pracy. Zresztą zbliżała się zima. Anna chciała, by Hans mimo to pojawiał się w siedzibie komendanta, więc wymyślała mu różne obowiązki. A ogrodnik był zadowolony, bo miał okazję więcej zarobić.

Ona tymczasem gorączkowo zastanawiała się, czym by się tu teraz zająć. „Inaczej zwariuję” - myślała. Zabrała się do porządkowania biblioteki. Zrobiła katalog biblioteczny, segregowała książki i zamawiała następne pozycje. Knopfe notował jej polecenia i sprowadzał kolejne dzieła klasyków.

Steinberg czasami zaglądał do tych zamówień.

- Za dużo literatury francuskiej i całego tego naturalizmu - krzywił się.

- Co masz przeciwko naturalistom? - pytała.

- Nic, męczy mnie ten Zola i cała reszta, epatowanie nędzą i nieszczęściem. I wałkowanie dziewiętnastowiecznych problemów. Mamy już wiek dwudziesty. Pomyśl więc o czymś bardziej świeżym.

- Co byś chciał mieć w swojej bibliotece?

- Nie wiem, może pomyśl trochę o filozofach, socjologach, na przykład o Maksie Weberze albo Martinie Heideggerze. Zamów Bycie i czas chociażby, a w przypadku Webera może tę pozycję o etyce protestanckiej

i coś tam jeszcze było w tytule, ale nie pamiętam co.

- ...i duch kapitalizmu.

- Chodzi mi o to, żeby wyjść poza ckliwe opowieści o ludzkim losie - dodał.

- Rozumiem, że interesują cię tylko niemieccy filozofowie?

- Nie, niekoniecznie...

- Swoją drogą to niesamowite - ciągnęła, nie zwracając uwagi na Franza - jak wielkie indywidualności mają Niemcy, jak wspaniałą kulturę, muzykę, literaturę i jak to możliwe, że taki naród robi to, co robi. Mój profesor z uniwersytetu, wybitny germanista, kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, uspokajał nas, że nic strasznego nie może się wydarzyć, bo to cywilizowany naród Goethego i Schillera. Gdy przyszli po niego, podobno wciąż powtarzał swoje: że to pomyłka, że Niemcy takich rzeczy nie robią. Ciekawe, czy idąc na rozstrzelanie w Palmirach, zaczął zmieniać zdanie? Jak myślisz? - Teraz dopiero spojrzała na Franza.

On odwrócił się i wyszedł z biblioteki.

I tak działo się bardzo często. Zaczynali rozmawiać na - wydawałoby się - neutralny temat, a potem konwersacja zbaczała na te same tory.

Wieczorami Franz lubił siadywać przy kominku z kieliszkiem koniaku, prosząc Annę, by przeczytała coś na głos.

- Przeczytaj dzisiaj coś, co bardzo lubisz - powiedział któregoś wieczoru.

Anna podeszła do półek z książkami. Chwilę się zastanawiała.

*Słońce niesforne, bezmyślny staruchu, Czemu, natręcie,
Przez kotary i szyby budzisz nas zawzięcie?
Cóż obchodzą kochanków prawa twego ruchu?
Wścibski pedancie, idź lepiej strofować
Zaspanych uczniów, złych terminatorów,
Idź, powiedz dworskim łowczym, że król chce polować.
I wiejskie mrówki pogoń, niech spieszą do zbiorów;
Miłość, co kalendarza nie zna ni atlasu,
Zwie chwile, dni, miesiące łachmanami czasu.
Myślisz, że jaki gwałt zadają oku Twoje promienie?
Starczy mi, by je zaćmić, powiek jedno mgnienie,
Lecz nie chcę na tak długo tracić jej widoku;
Jeśli Cię oczy jej jasne, choć senne,
Nie oślepiły, spójrz na świat przytomnie
I powiedz, czy wonności i skarby bezcenne
Są jeszcze w Indiach czy też leżą tu koło mnie.
O wszystkich królów, jacy pod słońcem istnieli.
Pytaj - usłyszysz, że są tu, w mojej pościeli.
W niej Księstwa, we mnie zaś Książęta drzemią:
Cóż trzeba więcej?
Przy tej miłości bardziej niż władza książęcej,
Wszelki honor jest fałszem, wszelki skarb - alchemią.
Tyś Słońce, takiej nie zaznało łaski
Jak my: w nas bowiem świat zawarł się cały.
Więc spocznij, stare Słońce, bo skoro twe blaski
Miały świat ogrzać - dość, że nas dwoje ogrzały.
Świeć tylko nam obojgu, a znajdziesz się wszędzie:
Twoją sferą te ściany, centrum - łóżko będzie.*

John Donne Wschód słońcu

Skończyła i zaczęła się wpatrywać w ogień na kominku. Franz wstał i podszedł do okna. Uśmiechał się. Patrzył na ogród.

Anna odłożyła książkę na półkę.

- Dobranoc, Franz. Jestem zmęczona powiedziała i wyszła z biblioteki.

Następnego dnia Franza nie było aż do północy. Anna jadła śniadanie sama, rozmyślając jeszcze o wierszu, który wczoraj przeczytała na głos. Dziwiła się sama sobie. Po co to zrobiła?

Miała takie uczucie, jakby za bardzo odkryła się przed Franzem. Zdradziła mu swoje marzenia. Brakowało jej bliskości, brakowało męskiego zachwyty, radości. Franz, choć przyjazny na co dzień, był wrogiem. A poza tym był jednak na swój sposób nieprzenikniony. Zasłaniał się nonszalancją i ironią.

I może właśnie z powodu tęsknoty za bliskością coraz bardziej przyzwyczajała się do niego. Czuła się coraz pewniej, ale jednocześnie coraz bardziej martwiła się, że ów niemiecki oficer nie budzi w niej wrogości.

Z drugiej strony złapała się na tym, że minęło ledwie kilka miesięcy i już jej pierwszą myślą nie jest to, jak unicestwić swego wroga, ale jak zdobyć jego względy. W pierwszym odruchu chciała znów surowo się oskarżyć,

wzbudzić złość, która towarzyszyła jej jeszcze nie tak dawno. Ale te uczucia były teraz tak daleko, że czułaby się jak kiepska aktorka odgrywająca łzawą komedię. Musiała w końcu przyznać, że pogodziła się z losem.

„Nie ma co dzielić włosa na czworo, kiedyś ta wojna się skończy i wszystko trzeba będzie wymazać z pamięci” - pomyślała i ruszyła do ogrodu, by pogadać z Hansem.

Ogrodnik znów opowiadał o swojej córce. Berta ponoć niezwykle przeżywała fakt, że wielu chorych umiera z braku lekarstw.

- Owszem, jeńcy to nasi wrogowie, ale Berta mówi, że na łózkach szpitalnych leżą przede wszystkim chorzy, a nie żołnierze wrogich armii - relacjonował Hans.

Te jego opowieści podsunęły Annie pewną myśl. Gdy skończył pracę, dokładnie przejrzała domową apteczkę. Była wyjątkowo dobrze zaopatrzona, i to w lekarstwa, których ani Franz, ani ona nigdy nie potrzebowali. Znajdowało się tam także mnóstwo środków opatrunkowych. Anna wyciągnęła z apteczki część zapasów i zapakowała w torby po nasionach, następnie zaniósła do komórki ogrodnika. Czy podkradanie lekarstw wiązało się z jakimś ryzykiem? Pewnie tak, ale Anna - nie wiedzieć czemu uważała, że Franz by jej za to nie ukarał. Czy Hans jest godny zaufania? Tego nie była pewna do końca, ale uznała, że trzeba zaryzykować.

- Ale jak to, wziąć lekarstwa? Skąd? - Hans trochę się przestraszył, gdy mu to zaproponowała.

- Lekarstwa są nasze, z domu komendanta. Nie ma się

czego obawiać.

- Nie, nie. Tak nie można. No chyba że sam komendant wydałby takie polecenie.

- Ale on się nie zajmuje takimi drobiazgami - zaśmiała się. - Te sprawy pozostawia mnie.

Hans nie czuł się jednak przekonany. Jego podejrzenia wzbudził fakt, że Anna schowała lekarstwa do toreb po nasionach.

Po prostu te torby miałam pod ręką, ale to nie znaczy, że ty masz w ten sposób wynosić leki. Zresztą nie mam ich tak wiele. Mógłbyś je zmieścić w kieszeni - odpowiedziała, próbując go uspokoić.

Bąknął, że zapyta Berty.

Gdy zjawił się następnego dnia, Anna bała się, że odmówi ostatecznie. Ale jednocześnie miała nadzieję, że Berta - oczko w głowie taty - jest w stanie namówić ojca do najróżniejszych rzeczy. A Bercie na lekarstwach zależało. Przewidywania Anny się sprawdziły.

- Dobrze, wezmę te lekarstwa - rzekł Hans.

Od tamtej pory ogrodnik regularnie zabierał małe porcje leków i środków opatrunkowych, które ona mu szykowała. Jednocześnie, przygotowując zamówienia tego, co potrzebne w domu, wpisywała na listę kolejne medykamenty, aby uzupełnić apteczkę.

To był piękny dzień. Cały ogród zaśnieżony. Świeciło słońce. Anna wstała wcześnie. Siedziała przy toalecie i rozczesywała włosy.

- Do diabła, gdzie jest mój zegarek. - Franz niecierpliwie kręcił się po pokoju.

- Leżał tam na stoliku - powiedziała.

- Nie ma go - stwierdził, przerzucając leżące gazety.

- Jest na pewno, po prostu źle szukasz. - Anna nie przestała rozczesywać włosów.

- Nie wmawiaj, że coś leży na stoliku, skoro nie leży.

- Owszem, leży.

- Nie.

Anna wstała, podeszła do stolika. Przy przetrząsaniu gazet wypadł z nich zegarek. Bez słowa podała go Franzowi, patrząc mu wymownie w oczy. Odłożył zegarek, chwycił ją za nadgarstki i przyciągając do siebie, powiedział z udawaną powagą:

- Kobiście nie wolno upokarzać mężczyzny, udowadniać, że jest lepsza. Popełniłaś wielki błąd. Byłoby lepiej dla ciebie, gdyby zegarek w ogóle się nie znalazł. I teraz musisz ponieść karę...

- Jaką?

- Taką samą, jak wczoraj wieczorem.

- Nie zgadzam się. - Anna nie była pewna, czy to z jej strony zabawa, czy mała próba sił.

- Nie masz nic do gadania. Tego nie można tak zostawić. Mężczyzna rozkazuje i rządzi, i jest mądrzejszy.

- Franz uśmiechał się, nie wypuszczając z rąk jej nadgarstków...

- Idź do wszystkich diabłów. Może jesteś silniejszy i co z tego? No i co z tego? Nic będziesz w stanie

kontrolować wszystkiego. Każda kobieta kryje w sobie sferę, do której nigdy nic będziesz miał dostępu, chyba że sama ci na to pozwoli... Dla mnie będzie to terytorium buntu, którego nigdy nie uda ci się zdławić. Chcesz czegoś więcej niż uległości? W ten sposób nigdy tego nie dostaniesz. Coraz bardziej będzie ci zależało na czymś, co będzie coraz bardziej nieosiągalne! - Anna miała wypieki na twarzy.

- Nie sądziłem, że jesteś tak egzaltowana. - Uśmiechnął się. Nagle spoważniał, popatrzył jej prosto w oczy i powiedział: - Naprawdę to tylko uległość? Nie jest ci dobrze ze mną w łóżku?

Odwróciła wzrok. Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Zapytałem cię o coś! - podniósł głos.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Dlaczego? Boisz się do czegoś przyznać?

- Do czego miałabym się przyznawać?

- Rzeczywiście, nie musisz. Zawsze masz wtedy zamknięte oczy, bo boisz się, żebym czegoś w nich nie zobaczył... - Pociągnął ją za rękę w stronę łóżka.

Po śniadaniu pobiegła do biblioteki, by dalej porządkować zbiory. Bardzo ją to wciągnęło. I kiedy brała do ręki kolejną książkę, wróciło do niej to wszystko, co towarzyszyło jej na samym początku. Pomyślała, że lekarstwami dla więźniów uspokoiła swoje sumienie, że żyje całkiem normalnie, że życie z Franzem stało się wręcz przyjemne. Tak, miał rację, było jej z nim dobrze w

łóżku. Choć pierwsze noce wydawały się koszmarem, później powoli oswajała się, poznawali się wzajemnie przez dotyk i uczucie obcości i zażenowania stopniowo znikało.

I znów przyszły te same myśli. Franz niby był kimś obcym, ale przecież żyła z nim. Codziennie jadła z nim śniadanie i codziennie zasypiała obok niego. Był cały czas. Czy można więc szczerze nienawidzić człowieka, który jest wciąż tak blisko? I który w gruncie rzeczy w jej obecności nic strasznego nie robi, tyle tylko że jest oportunistą? Nie jest nudny, jest pociągającym mężczyzną.

„A może ja już straciłam umiejętność odczuwania czegokolwiek? Jestem kompletnie pozbawiona emocji? Co ja właściwie o nim myślę? Patriotycznie myślę, że to drań. Ale czy tylko tyle?“. Odłożyła książkę i siadła przy oknie. „Może od zawsze byłam jakoś zimna emocjonalnie? Nie umiem ani nienawidzić, ani kochać“.

Zaczęła robić małe podsumowanie swoich sercowych kłopotów. Rzeczywiście w tej sferze nie mogła pochwalić się sukcesami. Najpierw ulokowała swoje uczucia w Jasiu, studencie filozofii. Niewysoki, okulary, twarz zadumana. Anna sądziła, że nawet jeśli on nie odwzajemnia uczucia, to nic nie szkodzi. Wychodziła z założenia, że tacy jak on nie mają powodzenia u kobiet i nawet na to nie liczą. Niech więc Jaś ma świadomość, że jednak ktoś się w nim kocha. Dlatego też nie kryła swoich uczuć. Zatańczyli razem, pocałowali się, trochę

rozmawiali, spędzili razem noc. Anna nie dostrzegła żadnego problemu w ich wzajemnych relacjach. Ale wkrótce okazało się, że Jasia to męczy. A znajomi Anny zaczęli się z niej trochę podśmiewać. Była zaskoczona, że jej uczucie może być dla kogoś ciężarem. I szybko się wyleczyła z miłości do zamkniętego w sobie filozofa.

Kolejna historia sercowa: to już czas okupacji. Stefan był przystojny, szalały za nim kobiety, pełnił wysokie funkcje w podziemiu. Dlatego Annie w pierwszej chwili pochlebiało, że zainteresował się właśnie nią. Jednak owo zainteresowanie okazało się dość powierzchowne. Sprowadziło się do tego, że Stefan dwukrotnie usiłował zaciągnąć ją do łóżka, ale mu się to nie udało.

Opierała się nie z powodu nadmiernej cnotliwości (choć on tak uważał), ale dlatego, że coś ją powstrzymywało. Nie miała nastroju, owszem, był atrakcyjny, bawiło ją flirtowanie z nim, ale gdy usiłował ją pocałować, nie czuła nic. Żadnych emocji. Może to intuicja? Może do siebie nie pasowali i dlatego nie zaiskrzyło? Najbardziej rozdrażniła ją, ale także rozśmieszyła, jedna rozmowa ze Stefanem. Ze zblazowaną miną przekonywał, że nigdy się nie ożeni, bo nie stać go na wierność. Przecież tyle atrakcyjnych kobiet chodzi po świecie, tyle wrażeń. On więc nigdy na taki krok się nie zdecyduje. „Do diabła, on uważa, że ja zaraz będę go ciągnęła przed ołtarz. Idiota” - tak wtedy pomyślała. Następnego dnia była dla Stefana wyjątkowo oschła, a on bez żalu wycofał się z zalotów.

Owszem, pojawiali się inni mężczyźni, ale żaden nie wydawał się Annie dostatecznie atrakcyjny. Właściwie uważała, że któregoś dnia po prostu zobaczy tego jedyne i od razu będzie wiedziała, że to on, a przynajmniej poczuje jakieś ukłucie. Wierzyła w to nadal. Opowieści, że ktoś w kimś zakochał się dopiero po iluś tam latach znajomości, wydawały się niewiarygodne. Sądziła, że takie uczucie musi być wymuszone, na przykład przez strach przed staropanieństwem.

Kiedy wieczorem usłyszała odgłos warczącego silnika, wiedziała, że Franz wrócił do domu. Gdy tylko go zobaczyła, natychmiast wpadła w wojowniczy nastrój.

Przez te wszystkie samotne godziny tak bardzo się nakręciła, że przy kolacji nic mogła powstrzymać się od „samobójczego” pytania:

- Jak tam wam idzie mordowanie bezbronnych ludzi?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Śmiesz mnie twoja naiwność - powiedział. - Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepsza tylko dlatego, że uważasz się za ofiarę. Nic bardziej mylnego.

- A tobie się wydaje, że skoro nie ty pociągasz za spust, to nie jesteś niczemu winny. Wygodnie sobie żyjesz, a co się dzieje na świecie, nic cię nie obchodzi - rzuciła.

Franz machnął lekceważąco ręką.

- Czy ty miewasz jakieś ludzkie uczucia?

- A gdzie ty byłaś, gdy przed wojną w Afryce setki ludzi ginęły z głodu? Gdy na innych kontynentach działały

się tragedie, szalały wojny? Widzieliście ją... moralistkę... żyłaś sobie, studiowałaś, miałaś majątek. Pojechałaś do Afryki, by realizować swoje szlachetne idee? Nie, to cię nic nie obchodziło, bo nie działało się obok. Nie musiałaś na to patrzeć. Dopiero gdy okropności zbliżyły się do ciebie, uświadomiłaś sobie, że istnieją. O Boże, to ludzie się zabijają?! To dopiero odkrycie. Nie jesteś wcale lepsza ode mnie...

- Moje wyrzuty sumienia zostaw mnie. Pomyśl lepiej o sobie. Jesteś członkiem zbrodniczej, oszalałej z nienawiści formacji. Należąc do niej, odpowiadasz za wszystko, co oni robią. Ale oczywiście nie wypowiesz słowa protestu, bo przecież nie będziesz się narażał. Bo przecież nie zrezygnujesz z dobrych cygar! - Anna już prawie krzyczała.

- Do cholery, czy ty nie zauważyłaś, że na świecie ciągle są wojny? Ten świat po prostu taki jest. Do władzy dochodzą wariaci. Naprawdę nic się nie zmieniło. Ty masz takie naiwne przekonanie, że świat powinien się stawać lepszy, a ludzie szlachetniejsi. Nie, tego typu postęp nie istnieje. Ty akurat jesteś po tej stronie barykady, gdzie są ci słabsi. Ale to tylko kwestia przypadku. Być może, gdybyś urodziła się Niemką, zaczęłabyś głośno protestować. Zginęłabyś szybko w obozie pracy i tyle by było z twojego protestu. Nikt by nawet o tobie nie pamiętał. - Mimo obojętnego tonu, na jaki się silił, w głosie Franza słychać już było irytację.

- Wariaci dochodzą do władzy, bo inni im na to

pozwalają. Tacy jak ty. A co warte jest twoje służalcze życie? Czy ty w ogóle cokolwiek czujesz?

- Co jest warte moje życie, to będzie można powiedzieć, gdy będę umierał. Nie tobie to oceniać. A czego ty dokonałaś w życiu? Możesz sobie powtarzać, że uratowałaś życie siostrze. Ale tu także chodziło tylko o ciebie. Po prostu źle byś się czuła, gdyby ona cierpiała. Nami wszystkimi rządzi egoizm w takiej czy innej odmianie. Jeżeli czynimy dobro, to dlatego, że cierpienia innych są dla nas nieprzyjemne. Naprawdę nie ma powodu, byś uważała się za kogoś lepszego. Coś takiego jak altruizm nie istnieje.

- Masz mnóstwo chwytliwych sztuczek, żeby uwolnić się od odpowiedzialności, ale fakty są nieubłagane. Bierzesz udział w zbiorowej zbrodni, więc sam jesteś zbrodniarzem.

- Licz się ze słowami. Jeżeli chcesz opuścić ten dom i wylądować w obozie, to droga otwarta. - Teraz naprawdę Franz był wściekły.

- Dobrze, proszę bardzo, to jedyne, na co cię stać, twój główny argument: nieograniczona władza nade mną.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Anna siedziała za stołem zeszywniała, ale nie żałowała swoich słów. Znow była pewna, że i tak Franz nie zrealizuje swojej groźby. Bo w ten sposób przyznałby się do porażki. Siedząc wciąż w jadalni, usłyszała, że jego samochód wyjeżdża z posiadłości.

Kilka godzin później leżała cicho w łóżku, gdy on wszedł do sypialni. Położył się obok. Zobaczyła na jego uchu ślad szminki. I wtedy wstąpił w nią diabeł.

- Dziwki nie mówią niewygodnych rzeczy, więc lepiej pójść do burdelu - powiedziała głośno.

Ku jej zdumieniu Franz się roześmiał:

- Wiesz, Ana, w gruncie rzeczy te kłótnie mnie bawią.
- I spróbował ją przyciągnąć do siebie.

- Nie dotykaj mnie! Jeżeli się czujesz niezaspokojony, to wracaj do burdelu - warknęła.

- Jesteś zazdrosna? - Wydawał się w coraz lepszym humorze.

Wstała, ściągnęła z łóżka koc. Owinęła się nim i siadła w fotelu, oświadczając, że tu właśnie spędzi noc.

- Dobrze - usłyszała.

Gdy przysnęła, Franz wziął ją na ręce i przeniósł do łóżka. Zaczął ją głaskać po twarzy i całować. I kochali się jednak tej nocy, a Annie zaświtała w głowie myśl, że mężczyzna po trzech godzinach spędzonych w burdelu zazwyczaj nie jest tak namiętny. Ale potem uznała, że niewiele może na ten temat wiedzieć. Czowała się upokorzona.

Ponadto stwierdziła ze wstydem, że znów było jej dobrze tej nocy.

Rano Franz przeciągnął się, ziewnął, patrzył na nią chwilę w milczeniu, a potem powiedział:

Grałem w klubie w pokera. I nawet ograłem paru

oficerów. Jedna z zaproszonych pań po prostu mnie pocałowała. To wszystko. Ale pochlebia mi to, że aż tak się rozżłościłaś.

- W ogóle się nic rozżłościłam, nie ma dla mnie żadnego znaczenia, gdzie chodzisz i z kim spędzasz czas powiedziała, nie patrząc na niego. Sięgnęła po szlafrok i poszła do łazienki.

Franz siedział spokojnie z założonym za głowę rękami i się uśmiechał.

Czas płynął dość monotennie. Anna, zamknięta w domu, bardzo dużo czytała, bo i nie miała nic lepszego do roboty. Wykonywała też drobne prace sekretarskie; w końcu formalnie była sekretarką komendanta. Prowadziła wieczorem rozmowy z Franzem. Jak zwykle czytała mu na głos, kłóciła się z nim, te kłótnie stały się już rutyną. Bywały też dni, kiedy rozmawiali całkiem spokojnie. Franz zaczynał opowiadać o swoich pasjach, na przykład o starych pałacach w zachodnich Niemczech albo o najnowszych osiągnięciach fizyki. I to lubiła.

- Słyszałaś o Einsteinie? On zupełnie inaczej zaczął myśleć o energii, prawie zakwestionował prawo grawitacji. Jego teoria względności to prawdziwa rewolucja. Ciekawe, co z tego wyniknie.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to. że przed wojną został zmuszony do opuszczenia Niemiec...

- Błagam, nie... - Franz podniósł ręce.

Tym razem Anna dała spokój.

Wieczory spędzali tylko we dwójkę. Nikt ich nie

odwiedzał. Steinberg nie utrzymywał żadnych stosunków towarzyskich z innymi oficerami. Czasami spotykał się z nimi poza domem.

Także święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc spędzali sam. Szczególnie w takie dni Anna czuła się samotna, myślała o rodzicach, Helenie, Stachu. Siedziała ponura, Franz obserwował ją dyskretnie, ale nie próbował w żaden sposób pocieszać, domyślając się powodów, dla których była w tak fatalnym nastroju. Dla niego święta nie były tak istotnym wydarzeniem, z ulgą myślał o tym, że nie musi ich spędzać z matką i stryjem. Zwłaszcza Boże Narodzenie było dla niego męczące, także dlatego, że należało pomyśleć o prezentach. A to wydawało się Franzowi zajęciem niezwykle jałowym. Lecz szukanie prezentu dla Anny było przyjemnością. Podarował jej sznur pereł, za który zapłacił majątek. Jednak powiedział, że to niewiele warta imitacja. Kupował jej kosztowną biżuterię przy innych okazjach, za każdym razem powtarzając, że to tylko błyskotki.

Anna nie dawała mu żadnych prezentów. Nie miała szans na kupienie czegokolwiek, ale nawet gdyby mogła, nie zrobiłaby tego. Nie chciała, aby jej pobyt w Gross Born przypominał małżeńską sielankę. Jednak te bożonarodzeniowe, podrabiane perły sprawiły jej przyjemność. Stwierdziła, że to całkiem niezła imitacja. Lecz starała się nie okazywać swojego zadowolenia. Na prezent zareagowała suchym „dziękuję”.

Święta wielkanocne nie miały dla niej takiego

znaczenia. Franz nie pozwalał jej chodzić do kościoła. Ani w niedziele, ani w święta. Modliła się w swoim pokoju, przede wszystkim za rodzinę. Wierzyła w Boga i uważała, że absolutnie nie ma co tej wiary analizować, by jej nie stracić. Modliła się, choć uważała proszenie Boga o cokolwiek za akt irracjonalny, nawet przy założeniu, że On istnieje. Modlitwa przynosiła ukojenie, szczególnie w chwilach, gdy czuła się bardzo samotna. A nie było komu się wyzalić.

- Wiem, że nie zapewniam ci żadnych atrakcji, ale chyba nie byłabyś zainteresowana odwiedzinami innych oficerów? Albo Ewy Braun? - powiedział kiedyś.

- A skąd ci przyszła do głowy Ewa Braun?

- Niedaleko stąd jest willa, którą Führer kazał zbudować specjalnie dla niej. Może tu w każdej chwili przyjechać...

- No nie! Anna się przeraziła.

- Żartuję. Raczej się nie zjawi, ale kiedyś była tu z wizytą. I willa jest bardzo ładna.

W lipcu Franz zapowiedział, że wkrótce do Gross Born przyjedzie jego przyjaciel Konrad Fischer. Anna zdrętwiała na myśl, że ma się spotkać z człowiekiem, w którego rękach był los jej najbliższych i od którego wszystko się zaczęło... Ale potem doszła do wniosku, że teraz nic już jej nie grozi, może nawet będzie mogła czegoś się dowiedzieć o losie Heleny i Jasia, a sama wizyta będzie odmianą w monotonnym życiu.

- Dobrze, nic będę wychodziła ze swojego pokoju powiedziała.

- Nie, przeciwnie, zjemy kolację we trójkę. Nie widzę powodu, dla którego miałabyś się ukrywać.

- Jeden niemiecki oficer w pobliżu to już jest męka. Dwóch to piekło - odpowiedziała.

- Trudno, jakoś to zniesiesz.

Gdy Konrad zjawiał się w Gross Born, Anna siedziała zamknięta w swoim pokoju. Obydwaj oficerowie wyjechali do koszar. Wrócili dopiero na kolację. Siedzieli już przy stole, a pokojówka Rita nalewała zupę do talerzy, gdy weszła Anna. Wyglądała pięknie. Miała na sobie suknię w kolorze burgunda. Konrad był zdumiony, jakby spodziewał się zupełnie kogoś innego. Widział ją w Warszawie tylko chwilę. W jego pamięci pozostała zalekniona dziewczyna wskazująca palcem nazwisko swojej siostry. A teraz ujrzał pewną siebie szykowną kobietę.

- Chyba nic muszę was sobie przedstawiać - powiedział Franz.

- Owszem, przypominam sobie nasze spotkanie, choć nie jest to miłe wspomnienie - zauważyła Anna z grymasem na twarzy.

- Miło mi panią widzieć odpowiedział Konrad uprzejmie.

- A mnie... Anna nie dokończyła, bo Franz wszedł jej w słowo.

- Wspaniały krem szparagowy - rzucił.

- Tak, rzeczywiście - stwierdził Fischer.

- Jak myślisz, Franz, czy ludzie w obozach pracy też jadają taki krem szparagowy? Ja myślę, że tak. A w każdym razie na pewno wyżywienie jest tam na poziomie, bo Niemcy to przecież cywilizowany naród. - Uśmiech Anny przypominał raczej teatralny grymas.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Słyszeć było tylko brzęk sztućców. Świece postawione w jadalni przez Ritę paliły się równo. Płomieni nie poruszył nawet najlżejszy powiew wiatru.

- Co słyszeć w Berlinie? - Franz zwrócił się do Konrada.

- Nic nadzwyczajnego. Byłem u rodziców, są zdrowi - odparł.

- Ciekawe, czy zdrowi są ci ludzie, którzy wtedy stali na dziedzińcu. Pamięta pan? - spytała Anna i kątem oka zerknęła na Franza. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego...

Franz miał minę chłopaka, któremu udał się dobry kawał. Przewidywał, że Anna nic przepuści okazji, aby powiedzieć parę ostrych słów. Był ciekaw reakcji Konrada.

- Nie przypominam sobie.

- To w ogóle pan nie wie, co się dzieje z ludźmi, którzy trafiają na ten dziedziniec, w pobliżu pańskiego gabinetu? A ja myślę, że są wysyłani do obozów, torturowani i mordowani.

- Doprawdy, nie wiem, o co pani chodzi.

Rzeczywiście, w Generalnej Guberni zaprowadzamy porządek, zwalczając bandytów napadających na Niemców. To wszystko.

- Ach, to są bandyci, a wie pan, nie przyszło mi to do głowy. - Anna zaśmiała się jakoś sztucznie.

- Myślę, że są lepsze tematy do rozmowy przy tak wspaniałej kolacji - stwierdził sztywno Fischer.

- Są lepsze, oczywiście: ładna pogoda, ciekawy krajobraz, wydarzenia kulturalne. Ale czasami ludzie rozmawiają też o swojej pracy. A ja byłam ciekawa, czy pan swoją lubi.

- Lepiej niech się pani zamknie, bo chyba pani nie wie, co wygaduje! - Konrad przestał udawać uprzejmego.

- Franz, do diabła, ty na to pozwalasz? Oszalałeś?

Zapadła cisza.

Franz jak gdyby nigdy nic znów powrócił do tematu Berlina, i zaczął wypytywać Konrada o wspólnych znajomych. Anna już do końca kolacji milczała. Po deserze powiedziała:

- Pozwolą panowie, że ich opuszczę.

I znikła za drzwiami.

Obaj oficerowie przeszli do biblioteki.

- Na dużo jej pozwalasz - stwierdził z przekąsem Konrad, gdy przyjaciel nalewał mu koniak.

- Przynajmniej jest ciekawie - odparł Steinberg. Jeżeli ona wyraża swoje poglądy w obecności niemieckich oficerów, to ta zachcianka może cię dużo kosztować...

- Tu nikt nie bywa. Anna widuje tylko służbę, a w ich

obecności nie wygłasza podobnych opinii. Jesteś pierwszym niemieckim oficerem poza mną, którego ogląda w Gross Born. Ona ma niezły instynkt samozachowawczy i odważyła się na to tylko dlatego, że wie, iż jesteś moim przyjacielem - wyjaśnił Steinberg.

Konrad, wchodząc do biblioteki, zostawił uchylone drzwi. W tym czasie Anna postanowiła wrócić do kuchni po coś do picia. Przechodząc korytarzem, usłyszała głosy obu mężczyzn i mimo woli się zatrzymała. Ich rozmowę słyszeć było bardzo wyraźnie.

- Nie rozumiem cię. Na co ci ta Polka? Co ci strzeliło do głowy, żeby wyciągać dziewczynę z transportu?

- Szczerze mówiąc... - Franz wychylił się w stronę stolika i wziął kieliszek do ręki - ...sam nie wiem.

- Relacje między wami są dość dziwne, delikatnie mówiąc. Ona w ogóle się ciebie nie boi. Traktuje z wyższością, a nawet z pogardą. Mnie zresztą też tak potraktowała. Nie przypomina bynajmniej więźniarki!

- A owszem! Z tym się zgadzam. Gdy weszła, odebrało ci mowę. Od razu ostrzegam: ja jej nie wypożyczam.

- No nie. Ty chyba jesteś zazdrosny! A może się zakochałeś? Uważaj, napytasz sobie biedy. Ja coś o tym wiem...

- Oj, Konrad, zawsze miałeś miękkie serce i romantyczne usposobienie. - Kiedy Steinberg brał Fischera pod włos, zawsze zaczynał od tego typu stwierdzeń. - Ja tylko mam silne poczucie własności, i

tyle. Panna jak panna, nic nadzwyczajnego. Skończy się wojna, skończy się też Gross Born i wszystko wróci na swoje miejsce. Nie można jednej kobiety trzymać zbyt długo przy sobie. To niezdrowe - odparł Franz.

Anna poczuła ukłucie w sercu. Na twarzy pojawiły się wypieki. Nie chciała tego dalej słuchać.

Tymczasem Konrad pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Zawsze miałeś skłonność do ryzyka. Choćby ratowanie Bernsteinów, istne szaleństwo!

Gdy Fischer to powiedział, natychmiast lękliwie rozejrzał się po bibliotece.

- Jesteś pewny swojej służby? - zapytał Franza.

- Konrad, uspokój się. - Steinberg się zaśmiał.

- Chodźmy do ogrodu, chciałem porozmawiać o pewnej sprawie i będzie mi łatwiej, gdy wyjdziemy na powietrze - powiedział Fischer, odstawiając kieliszek.

Franz spojrział ze zdziwieniem, ale podążył za przyjacielem na dwór.

Anna wróciła do pokoju, oparła się o parapet, bezmyślnie patrząc przez okno. Zastanawiała się, dlaczego to, co powiedział Franz, tak ją dotknęło. „Czego się spodziewałam? - myślała. Że jest zdolny do jakichś ludzkich uczuć? Przecież wiedziałam, że to się kiedyś skończy. Wszystko to się kiedyś skończy, i dobrze. Oby jak najszybciej. Więc dlaczego tak się tym przejęłam? Uraził moją dumę, mówił o mnie z takim lekceważeniem, jakbym była przedmiotem. Ale dlaczego miałabym

spodziewać się po nim czegoś innego?".

Położyła się spać z wielką zadrą w sercu, choć cały czas usiłowała sama sobie wytłumaczyć, że to, co mówi lub myśli Franz, nic ma dla niej żadnego znaczenia. A nawet uznała, że dobrze się stało, iż podsłuchiwała rozmowę w bibliotece. bo to ją otrzeźwiło, uświadomiło jeszcze raz, że żyje pod jednym dachem z wrogiem.

Następnego dnia Franz zniknął gdzieś na cały dzień. Nic było go nawet na kolacji.

- Nie byłeś zbyt uprzejma dla Konrada powiedział wieczorem w łóżku.

- Najgorsze jest to, że ciebie tego typu rozmowy nawet nie wściekają. Tak bardzo jesteś cyniczny, że można ci powiedzieć wszystko.

- Powinnaś przygotować jakiś nowy zestaw oskarżeń, bo twój stały repertuar już mnie nuży.

- To wprost niewiarygodne, jak jesteś bezczelny.

Anna wstała z łóżka i włożyła szlafrok.

Dla ciebie to tylko żarty. Dla mnie nie. Zawsze będziemy sobie kompletnie obcy, choćbyśmy spali ze sobą codziennie. Zawsze będziesz tylko hitlerowcem, który zmusił mnie do bycia tym, kim teraz jestem: zwykłą...

Nie dokończyła. Zacisnęła zęby. Franz wyszedł z pokoju i tej nocy już nie wrócił.

Przez kilka dni prawie się do niej nie odzywał i spał osobno.

„I bardzo dobrze” - uznała, ale tak naprawdę czuła się

źle, o wiele gorzej, niż kiedy rozmawiali ze sobą w miarę spokojnie. Nie próbowała jednak wykonać jakiegokolwiek pojednawczego gestu. Piątego dnia rano Franz zszedł na śniadanie w dobrym humorze.

- Tak, tak, to zdecydowanie o mnie źle świadczy - rozpoczął niespodziewanie.

Spojrzała z zainteresowaniem.

- Źle świadczy, że taka pannica z Polski potrafiła mnie wyprowadzić z równowagi. Obrażać się można na kogoś poważnego.

- Ja też tak uważam. Gdybyś mnie zapytał, czy się na ciebie obraziłam, spytałabym, czy można się obrażać na kogoś, kto cię na przykład opluł? Nie, to nie ta kategoria uczuć. Taka osoba nie zasługuje, by się na nią obrażać. I tak właśnie do tego podchodzę. To wspaniale, że myślimy niemal tak samo - powiedziała spokojnie.

- Dobrze, dobrze, wracasz do formy - uśmiechnął się. A teraz weźmiesz się do roboty, muszę podyktować kilka listów.

Gdy byli już w gabinecie, Franz zamknął drzwi na klucz.

- Co ty robisz? - spytała zdumiona.

- Przed listami są jeszcze inne sprawy do załatwienia...

- Nie...

- A dlaczego nie...?

5

Na kilka miesięcy zapanował względny spokój, także dlatego, że Franz częściej wyjeżdżał, nie tylko do Berlina. A Anna, siedząc sama w domu, nudziła się potwornie. Więc cieszyła się z jego powrotów.

Jednak któregoś zimowego wieczoru kłótnia wybuchła na nowo. Zaczęło się od obraźliwych uwag Franza pod adresem Polaków. Steinberg przeczytał krótką historię Polski i postanowił podzielić się z Anną swoimi refleksjami.

Większych nieudaczników, nierobów i pieniaczy chyba w Europie nie ma - przeszedł od razu do sedna.

Anna zatrzęsała się ze złości.

- Wracamy do ulubionej niemieckiej teorii o nadludziach i podludziach. Usiłujesz się kreować na kogoś stojącego z boku, ale w rzeczywistości niczym nic różnisz się od Hitlera.

- To już słyszałem. Nie stać cię na dyskusję o twojej Polsce. Wasze elity pozwoliły na to, aby sąsiedzi po kawałku rozebrali ją na części. Wcześniej nie byliście w stanie rządzić krajem, każdy wyrywał coś dla siebie. A i potem, gdy mieliście już swoje państwo, nie potrafiliście sobie poradzić. Są takie narody, one potrzebują... no, powiedzmy... pana, suwerena. I trzeba się z tym pogodzić.

- A ja się pogodziłam z tym, że jesteś idiotą.

- No właśnie, tylko tyle możesz powiedzieć. I ja też

nie znalazłbym dobrych argumentów na obronę twoich rodaków.

- Ty cholerny Szwabie, co ty możesz wiedzieć o Polsce?! - Anna zaczęła krzyczeć po polsku.

- Anna, nic nie rozumiem, nie krzycz po polsku, bo służba usłyszy.

- A co mnie to obchodzi? - powiedziała tym razem po niemiecku. - To państwo, które teraz znów zniszczyliście, ma tysiącletnią historię. Przez tysiąc lat broniło się przed pazernością i żądzą Niemców, którym nigdy dość. Okradliście Polskę z jej ziemi! Zastanów się raczej nad historią swojego narodu, popełnianie zbrodni macie w genach, niemal bez przerwy wszczynaliście wojny, mordowaliście, niszczyliście. To jest sens waszego życia. Ale Europa, a wkrótce cały świat zjednoczy się i was zniszczy! Do ostatniego człowieka, abyście już nigdy nie zagrażali ludzkości. Wierzę w to głęboko i mam nadzieję, że i ciebie nie oszczędzą.

- Co ty, kobiecino, wiesz o świecie? Myślisz, że tylko Niemcy wszczynali wojny?

- Wy przede wszystkim. I cóż się tak wywyższasz? Myślisz, że jesteś kimś lepszym od swoich rodaków czy ode mnie? Bogaty, zadowolony z siebie buc, który sądzi, że wszystko będzie miał na zawołanie. Że kobiety mdleją w jego ramionach z rozkoszy. Że intelektem przewyższa wszystkich dookoła. O Boże, trzymajcie mnie, bo umrę ze śmiechu... Jesteś zerem, Franz, tchórzliwym zerem zdolnym jedynie do wygadywania bzdur. Brzydzę się

tobą. czuję odrazę, jak mnie dotykasz, czuję wstyd i upokorzenie. Jesteś pusty w środku, nie potrafisz kobiecie dać niczego poza bólem i poczuciem zażenowania!

Franz znieruchomiał. Wstał i bez słowa wyszedł z biblioteki.

Anna siedziała nieporuszona. Nie miała pojęcia, dlaczego to wszystko powiedziała. Wiedziała natomiast, że przynajmniej część z tego, co wyrzuciła z siebie w napadzie wściekłości, nie była prawdą. Ale złość ogarnęła ją bez reszty, miała świadomość, że cokolwiek powie na temat Niemców, w najmniejszym stopniu go nie dotknie. I z każdą chwilą rosła w niej chęć, by go zranić tak mocno, jak tylko to możliwe. Dlatego złość niosła ją coraz dalej i dalej. Wiedziała, co może go poruszyć.

„Po co to wszystko, przecież to nie ma sensu. Nigdy taka nie byłam, nigdy do nikogo nie odzywałam się w ten sposób. Co się ze mną stało? Zdziczałam przez tę wojnę? Boże, Boże, ile we mnie nienawiści, zatraciłam miarę...”.

Szła zgnębiona w stronę swojego pokoju i łzy płynęły jej po policzkach. Pocierała ręką czoło i powtarzało cicho raz po raz: „Po co, po co to wszystko...”.

Nie wiedziała, że Franz stoi w korytarzu, ukryty w cieniu i ją obserwuje.

Długo nie mogła zasnąć. Dopiero około trzeciej na ranem zapadła w nerwowy sen.

Następnego dnia wszedł do jadalni, ale nawet nie siadł przy stole. Anna piła kawę i nie podnosiła wzroku.

Spakuj swoje rzeczy - powiedział i wyszedł.

Serce jej się ścisnęło. Wróciła do pokoju. Wyciągnęła z dna szafy starą sukienkę i płaszcz. Udało się jej zachować swoje ubrania z Warszawy. „Już prawie półtora roku tu siedzę” - przebiegło jej przez myśl. Przebrała się. Wzięła starą torebkę. Przez poręcz przewiesiła płaszcz. Siadła w fotelu i czekała. Minęła godzina. W domu panowała cisza. A ona wciąż siedziała. Nagle usłyszała kroki. Przeszedł ją dreszcz.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła pokojówka Edyta.

- Znowu chce się pani zabrać do pracy na strychu? - zdziwiła się na widok Anny ubranej w starą, dość zniszczoną sukienkę. - Przecież wszystko jest już od dawna zrobione. Pan major nie lubi, gdy pani nas wyręcza. Potem ma do nas pretensje. Niech pani już nic nie wymyśla. Bardzo proszę. - Edyta nie przestawała mówić.

Anna głęboko odetchnęła.

- Boże, Fraulein Ana, skąd pani wzięła taki płaszcz? Na dworze chciała pani coś porządkować? - Edyta dwoma palcami wzięła stary prochowiec.

Anna zauważyła wtedy polską metkę, wystraszyła się, że i Edyta ją zauważy. Wyrwała pokojówce płaszcz.

- Chciałam coś zrobić na dworze, ale już zrezygnowałam. Gdzie major Steinberg? zapytała.

- Wyszedł, ale podobno ma zaraz wrócić. Kazał przygotować swoje rzeczy do wyjazdu. Powiedział, że pani jedzie razem z nim. Macie państwo wyjechać przed

obiadem. Myślałam, że pani wie. Ale widzę, że pani w ogóle nie jest gotowa. Może pomogę się pakować?

- Nie, poradzą sobie. Czy major mówił, dokąd jedziemy?

- Nie. Myślałam, że pani wie.

- Tak, tak, wiem, ale zastanawiałam się, czy nic zmienił zdania. W porządku, Edyto, zostaw mnie samą. Dziękuję.

- Dobrze, Fraulein Ana.

„Zamierza sam mnie odtransportować do obozu, żeby zobaczyć, jak się boję? Nie, to jednak absurdalne. Cokolwiek by powiedziec o Franzu, to aż takim sadystą nie jest” - myślała. I czekała dalej. Po piętnastu minutach przyszedł.

- Prosiłem cię, żebyś się spakowała.

- Jestem gotowa, nic więcej ze sobą nie miałam - odpowiedziała.

Dopiero teraz zauważył, jak jest ubrana.

- Nie, nie, Ana, jeżeli pragniesz zostać męczennicą z powodu swojej krnąbrności, to jeszcze nie nadszedł ten czas. Ubierz się i spakuj rzeczy. Wyjeżdżamy do Berlina.

- Do Berlina? Ja? - Mogła mieć nadzieję, że Franz zmieni zdanie i nie wyśle jej do obozu koncentracyjnego. Ale że zamierza zabrać ją do Berlina?

- Owszem, pospiesz się. Mamy mało czasu.

- Oszalałeś. W żadnym razie tam nie pojedę.

Pojedziesz. Zawarliśmy pewien układ. Dałaś słowo, że będziesz go respektować. Wczoraj wieczorem złamałaś

zasady. Przekroczyłaś wszelkie granice. Mogę ci przypomnieć, co powiedziałaś w Warszawie. Że nigdy nie pożałuję, że uwolniłem twoją siostrę, że będziesz mi dotrzymywać towarzystwa bez względu na okoliczności i będziesz starać się umilić mi czas. Jak sądzisz, czy twoja wczorajsza wypowiedź mieści się w granicach naszej umowy? A może twoje słowo jest nic niewarte? Za piętnaście minut będę czekał w holu.

Steinberg wyszedł z pokoju. Anna wstała i zaczęła się przebierać. Zapakowała walizę. Uczesała się. Wolno schodziła po schodach. Karl, kierowca, wskoczył na schody i zabrał z jej rąk walizkę. Franz stał przy drzwiach. Nie patrzył na nią. Przepuścił w drzwiach.

Gdy znaleźli się już na tylnym siedzeniu samochodu, Franz zamknął okienko łączące ich z kabiną kierowcy. Rozsiadł się wygodnie. Anna zdjęła pantofle i skuliła się w rogu. Patrzyła przez okno. Zastanawiała się, po co zabierają do Berlina.

- Nie sądzisz, że to dość niebezpieczne? - spytała po godzinie jazdy w milczeniu.

- A zamierzasz wypowiadać swoje śmiałe i oryginalne sądy w towarzystwie?

- Po co mnie zabierasz?

- Masz dobry akcent, mocne papiery i nie jesteś tak głupia, aby wylewać swoją żółć przy innych. Zabieram cię, bo mam taki kaprys.

- Po co jedziemy do Berlina?

- Stryj mnie wezwał. O tej porze roku moja rodzina

urządza bal. Stryj uważa, że wojna nie może przeszkodzić w pielęgnowaniu tradycji. Generał von Moltke, któremu podlegam, pozwolił mi na trzydniowy wyjazd.

- Chyba nie zamierzasz ciągnąć mnie na ten bal?

- Owszem, zamierzam.

- Boże! Jako kto będę tam występować?

- Jako moja kochanka oczywiście.

- To wywoła skandal. Po co to robisz?

- Zawsze robiłem to, co chciałem, a konwenanse mam gdzieś. Zresztą moja matka i stryj już się do tego przyzwyczaili.

- Każdego roku na każdy bal przyprowadzasz nową kobietę?

- Niezupełnie, w zeszłym roku o tej porze byłem z tobą w Gross Born. Nie dostałem pozwolenia na wyjazd do Berlina.

- Franz, proszę, nie rób tego.

- Ty mnie o coś prosisz? To dopiero wydarzenie. Nie będziesz się czuć samotnie, bo będzie też Konrad.

Spojrzała na niego ze złością. Ale zaraz odwróciła wzrok w stronę okna.

Franz przysunął się bliżej. Ujął jej głowę w dłonie i próbował spojrzeć prosto w oczy. Anna uciekała od jego spojrzenia, aż w końcu zamknęła oczy. Pocałował ją w usta.

- Boisz się patrzeć mi w twarz? Bo zobaczę, jak bardzo żałujesz wczorajszych słów? Ja i tak wiem, że żałujesz.

Anna milczała. Po chwili powiedziała:

- Niczego nie żałuję.

Do Berlina dojechali w nocy. Ona spała, bezwiednie opierając się na jego ramieniu. Franz obudził ją, gdy stali już przed wielkim eleganckim domem. Był to właściwie niewielki pałacyk - berlińska siedziba rodu Steinbergów.

Służba nie okazała cienia zaskoczenia na widok majora Steinberga wchodzącego do holu z młodą, nieznaną kobietą.

- Przygotowaliście dwa pokoje obok siebie?

- Oczywiście, panie majorze - odrzekł stary lokaj Wolfgang. Dwaj młodszy lokaje już dźwigali walizy na górę.

Wnętrze pałacyku było bardzo piękne, a pokój Anny przytulny. Właściwie ich wspólny pokój, bo Franz bynajmniej nie zamierzał mieszkać osobno. Zasnęła jak kamień.

Gdy obudziła się, pokojówka właśnie wносиła śniadanie, a Franz wychodził z łazienki.

- Powiedz mojej matce, że za godzinę zejdziemy się z nią przywitać - powiedział.

Pokojówka skinęła głową, dygnęła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Jak ci się podoba? - zapytał. Trochę wygodniej i sympatyczniej niż w naszym obozie?

Annę to wszystko złościło. Ten przepych i to, że ona sama korzysta z tego bogactwa. To tak, jakby stawała się

jedną z nich.

- Chcesz mi zaimponować? Niemiecki oficer chce olśnić więźniarkę pozbawioną własnego nazwiska?

- O, zaczyna się zabawa. Ten twój napuszony styl mówienia... Nie możesz czasami spuścić z tonu?

- Franz, nie przywiozłeś tu narzeczonej, aby przedstawić ją rodzinie. Przywiozłeś Polkę.

- Mogę cię przedstawić jako narzeczoną, jeśli chcesz. Będzie wesoło. Stryj mało nie zemdleje z wrażenia. A mama dostanie histerii.

- Przestań...

- Może gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach - co nie byłoby niemożliwe, zważywszy na to, że sporo czasu spędzałaś w Berlinie - to na pewno chciałabyś wyjść za mnie za męża. Jestem dobrą partią.

- Twoje zarozumiałstwo odbiera mi mowę. - Anna naląła kawę do filiżanek. Nie wydaje ci się, że całe to otoczenie, ten pokój, my, nasze stroje i rozmowa, że to wszystko pasuje do sceny z kiepskiego francuskiego romansu? - zapytała.

- Życie jest pełne banału i kiczu. Nie widzę w tym nic dziwnego. A że nie tak wyobrażałaś sobie mężczyznę, z którym żyjesz. Trudno. Nie wszystkie nasze wyobrażenia stają się rzeczywistością. Ja też inaczej wyobrażałem sobie kogoś, z kim wytrzymam tak długo powiedział i się zakrztusił.

Anna spojrzała, marszcząc brwi. A on bardzo powoli odstawiał filiżankę z kawą. Patrzył przez okno na wróble

przeskakujące z gałęzi na gałąź.

Anna ubierała się i malowała. Franz czekał. Gdy była już gotowa, zeszli do salonu, gdzie siedziała w fotelu pani Eleonora von Steinberg. Wyciągnęła rękę w stronę Anny.

- Witam panią - odezwała się lodowatym tonem. Obejrzała gościa od stóp do głów, a na jej twarzy widać było źle skrywaną dezaprobatę.

- Anna Brandt. Dzień dobry. Jest mi niezmiernie miło panią poznać - powiedziała Anna spokojnie.

Pani Steinberg skinęła głową. Potem zwracała się już tylko do syna, jakby Anny w salonie w ogóle nie było. Najwyraźniej nie była dobrze nastawiona wobec kolejnych przyjaciółek swego jedynaka. Wkrótce zjawił się stryj.

- Witam was, kochani, tak się cieszę, że jesteście! - wolał od drzwi. - Musiałem włożyć wiele wysiłku w to, aby przekonać tego diabelskiego Moltke. W końcu uległ i pozwolił ci przyjechać.

- Fraulein Brandt, bardzo miło mi panią poznać - przywitał się Ulrich von Steinberg.

Był to starszy pan o sympatycznej powierzchowności. Wydawał się o wiele bardziej przyjaźnie nastawiony wobec kobiet Franza niż Frau Eleonora. Wypytywał Annę, skąd pochodzi, a ona opowiedziała ustaloną z Franzem historyjkę. Jest z Frankfurtu, pracowała tam jako nauczycielka w gimnazjum. Poznała Franza przypadkiem, a on poprosił ją, aby razem pojechali do Gross Born.

Niedługo potem Anna poszła do swojego pokoju.

Eleonora miała zaplanowane spotkanie. A stryj z bratankiem wyszli do ogrodu.

- Franz, ty nawet jak znajdziesz jakąś nauczycielkę z Frankfurtu, to jest to kobieta z klasą. Jak ona mówi, jak się rusza. Bardzo mi się podoba. Szkoda, że nie pochodzi z jakiejś dobrej rodziny. Może wreszcie byś się ustatkował, ożenił. - Ulrich był wyraźnie podniecony. - Ale z drugiej strony nie chciałbym, abyś popełnił mezalians. Ani mi się waży żenić z panną z innej sfery. Twój ojciec by mi tego nie wybaczył.

- Stryju, nie będzie mezaliansu. Na razie nie myślę o małżeństwie, a jak już pomyślę, to na pewno będzie to kobieta dobrze urodzona. A narodowość narzeczonej ma dla stryja znaczenie? - zapytał.

- Co masz na myśli?

- Nic, nic, żartowałem.

„Ten milusiński, hitlerowski stryjaszek. Jędzowata mamusia. O nie, to ponad moje siły” - myślała Anna. Już podjęła decyzję: musi stąd za wszelką cenę uciec. Bo kiedy spróbować, jeśli nie teraz? Przecież Konrad będzie tu na miejscu. Zanim się zorientują, ona już będzie daleko. I zdąży ostrzec rodziców, by uciekali.

Spoglądając co chwila przez okno i sprawdzając, czy Franz w ogrodzie nadal rozmawia ze stryjem, zaczęła nerwowo przeszukiwać jego rzeczy. Chciała znaleźć swoje dokumenty. Grzebała w jego papierach, teczce i walizie. I nic. Gdzie one mogą być? Może je nosi ze swoimi dokumentami? Nie miała zamiaru zabierać ich od

razu. Chciała jedynie wiedzieć, gdzie są. Drugim problemem były pieniądze.

Trzeba było je Franzowi wykraść i to ją trochę mierzilo. Ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Napisze mu kartkę, że po wojnie zwróci. Ale czy ta wojna kiedykolwiek się skończy? Szukała dalej. Bez skutku.

Gdy Franz wchodził do pokoju, jego rzeczy były już w idealnym porządku.

- Musimy ci kupić odpowiednią suknię, bo przecież niczego nie masz. I musisz się przygotować do balu. Nie mamy za wiele czasu - oznajmił.

Wyruszyli do miasta. Anna zauważyła, że Franzowi sprawiało przyjemność kupowanie jej toalety. Sam zdecydował, w czym ma wystąpić.

- Czuję się jak tresowana małpka - powiedziała.

- Od małpki jesteś trochę ładniejsza.

Potem obiad w „Die Rose”, jednej z najelegantszych restauracji w Berlinie. Anna była mu wdzięczna, że nie musiała zasiadać do stołu z Frau Eleonorą. Poza tym w Berlinie Franz zupełnie zapomniał o ostrożności. Podczas deseru przeprosiła go i pod pozorem wyjścia do toalety przeszła do drugiej sali, gdzie przy kontuarze poprosiła o telefon i połączenie z dworcem kolejowym. Miała ogromne szczęście. Były aż dwa wieczorne pociągi do Polski, z czego jeden to ekspres do Warszawy. Na samą myśl o tym z trudem opanowywała podniecenie. Drugiego pociągu, do Poznania, nie brała pod uwagę. Gdyby znalazła się w Kraju Warty, miałyby do przekroczenia

jedną granicę więcej i szanse na jej schwytnie znacznie by wzrosły.

Po południu przygotowania do uroczystości ruszyły pełną parą. Zbliżała się godzina rozpoczęcia balu.

Anna uważała, że fryzjerka zbyt mocno zakręciła jej włosy. Czuła się „wyfiokowana”. Natomiast suknia - z odkrytymi ramionami, wcięta w pasie, bardzo jej odpowiadała. Lubiła kolor burgunda. Zastanawiała się, co to za rodzaj tkaniny: trochę śliska, bardzo delikatna. Zupełnie nie znała się na materiałach. „Do diabła, o czym ja myślę. Muszę się skoncentrować na planie działania” - przypomniawszy sobie.

Powoli schodziła po schodach i była zła na siebie, że nadal nie wie, gdzie są jej dokumenty. Na dole czekał Franz i jego stryj. Występujący w galowym mundurze Franz na widok Anny przybrał „minę zadowolonego kota”. Tak to określiła w myślach.

Eleonora von Steinberg jako osoba pełniąca honory domu była już na sali balowej. Ubrana w beżową suknię, ozdobioną koronkami, stała niedaleko wejścia i witała przybyłych. Stryj oraz Franz dołączyli do niej, a Anna odsunęła się na bok.

Lokaj wyczytywał nazwiska kolejnych gości, którzy z wielką pewnością siebie wkraczali na salę oświetloną tysiącem świateł mieniących się w kryształowych żyrandolach. Bal był zorganizowany z wielkim przepychem, począwszy od wystroju, a skończywszy na kieliszkach, w których serwowano wino. Wszystko to

wyglądało imponująco. Na postumencie widać było orkiestrę. Muzycy w śnieżnobiałych koszulach i frakach grali walca. W sali balowej pod ścianami ustawiono eleganckie fotele i kanapy o złożonych poręczach. Obok podobne w stylu stoliki z napojami i przekąskami. Dalej widać było wielką salę jadalną, gdzie królował olbrzymi stół nakryty już do kolacji i ozdobiony bukietami róż.

Anna pomyślała, że Eleonora przygotowuje się do tego wydarzenia przez cały rok. Miała wrażenie, że pani Steinberg zapraszała tylko tych gości, którzy strojem i zachowaniem dorównają jej wyrafinowanemu gustowi.

Sala powoli się zapełniała. Szelest jedwabnych sukien towarzyszył wzajemnym ukłonom i powitaniom. Na szyjach i we włosach kobiet połyskiwały diamenty. Odkryte ramiona, głębokie dekolty, tylko toalety starszych dam były bardziej stonowane. Ale panie preferowały klasykę, jeśli chodzi o strój, bo Eleonora nie lubiła nowinek i goście o tym wiedzieli. Mężczyzn we frakach nie było zbyt wielu. Przeważali oficerowie Abwehry w galowych mundurach. Anna spostrzegła Konrada Fischera, on także ją zauważył i jakby oniemiał ze zdumienia. Po chwili podszedł. Mimo że budził w niej jak najgorsze uczucia, postanowiła trzymać język za zębami: po pierwsze, dla własnego bezpieczeństwa, po drugie, miała nadzieję, że dowie się czegoś o Warszawie.

- Co pani tu robi? Czy wyście powariowali? Władujecie w kłopoty i siebie, i mnie - powiedział cicho po powitaniu.

- To pomysł Franza.

- Kretyn.

- Pan sam? Bez żony? Czy to nowy zwyczaj wśród młodych niemieckich oficerów?

- Amalia jest w ciąży - wyjaśnił z dumą. - Nie czuje się najlepiej.

Anna chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła.

- Do diabła - warknął Fischer, ujrawszy kogoś w tłumie.

- Coś się stało? - zapytała.

- Zjawił się tu niejaki Strobel z gestapo, straszny podlec. Na dodatek nie znosi Franza. Jego obecność może oznaczać kłopoty. Skąd on się tutaj wziął? Takich ludzi Steinbergowie nigdy nie zapraszali.

- Zapraszają tylko śmietankę towarzyską, do której prostacy z gestapo się nie zaliczają?

- Otóż to. Są oczywiście pewne wyjątki. Mnie na przykład trudno zaliczyć do śmietanki, ale jestem tolerowany przez Frau Steinberg... odpowiedział Fischer.

- Do tej śmietanki mnie także trudno zaliczyć - zaśmiała się zgryźliwie, po czym zagadnęła: - Co słychać w Warszawie? Brzmiało to jak grzecznościowe zainteresowanie, ale Fischer doskonale rozumiał, że to kolejna złośliwość Anny.

- Nie wiem. Nie byłem tam od kilku tygodni i... już tam nie wracam. Przeniesiono mnie.

„O Boże! Tylko teraz!“. Anna miała wrażenie, że stał się cud. Wraz z jego wyjazdem z Warszawy wszystkie

nitki prowadzące do jej rodziny zostaną zerwane. Może uciekać!

Spojrzała na niego uważnie i odważyła się zapytać o coś, co męczyło ją cały czas.

- Czy wie pan coś o mojej rodzinie?

Konrad nie unikał jej wzroku.

- Nic nie wiem nowego. Myślę, że wszystko dobrze - odparł bez wahania.

Jego spokój wpłynął na nią kojąco.

Do Anny i Konrada podszedł Franz. Przywitał się serdecznie z przyjacielem.

- Widziałeś? Strobel tu jest. Kto go zaprosił?

- To ta wariatka Elsa go przyprowadziła. Chyba tylko po to, żeby zrobić nam na złość. Mama jest bardzo zła.

- Elsa to kuzynka Franza. Kiedyś bardzo się w nim kochała, bez wzajemności. Najwyraźniej stara mu się uprzykrzyć życie, jak tylko może wyjaśnił Annie Konrad.

- Ciszej, ciszej, bo właśnie się do nas zbliżają - powiedział półgłosem Steinberg.

Ładna kobieta w czarnych lokach i w zielonej sukni szła w ich stronę. Już z daleka machała ręką. Za nią podążał nadęty czterdziestoletni jegomość w czarnym mundurze gestapo.

- Jak się cieszę, że was widzę. Franz, Konrad, wyglądacie wspaniale. Franz, przedstaw mi swoją nową... znajomą. - Elsa od razu chwyciła Annę za rękę.

- To Anna Brandt. Anno, to moja kuzynka Elsa von Stauffenberg.

- Znacie wszyscy kapitana Strobla? Oczywiście Anna nie zna. Anno, pozwól, oto wspaniały mężczyzna, wielki patriota kapitan Hans Strobel.

Strobel uklonił się bez słowa. Elsa tymczasem chwyciła Konrada za ramię.

- Chodźmy zatańczyć - zawołała.

Konrad miał minę nieszczęśliwą, ale Elza uparcie ciągnęła go za sobą. Po chwili zjawił się stryj Franza i gestem nieznoszącym sprzeciwu dał znać, że bratanek ma pójść z nim do grupki bardzo wiekowych i szacownych dam. I tak Anna została sam na sam z Hansem Stroblem.

- Obserwowałem panią już od dobrych kilku minut. Od razu zauważyłem, że wyróżnia się pani w tym towarzystwie - odezwał się.

Annie zrobiło się słabo.

- Pani jest normalna, nie jak ci wszyscy „von”. Od razu wiedziałem, że znajdę w pani bratnią duszę - kontynuował kapitan.

Starła się na niego nie patrząc.

- Myśli pani, iż nie wiem, że Elsa przyprowadziła mnie tu, by zrobić im na złość? Oczywiście, że wiem. Ale pomyślałem, że trzeba im trochę popsuć humor.

- Przesadza pan, skąd ta pewność, że jest pan tu niechętnie widziany? Ja oczywiście bardzo słabo znam rodzinę Steinbergów, ale odniosłam zupełnie odmienne wrażenie niż pan - odrzekła Anna dyplomatycznie.

Pani jest bardzo miła, ale proszę nie udawać. Ja wiem, jaka jest prawda. To tacy ludzie jak ja wykonują

ciężką robotę dla tego kraju. To my musimy być brutalni dla dobra Rzeszy. Wszystko po to, aby takie bubki arystokratyczne mogły grzać tyłki na ciepłych posadkach. Przecież Steinberg ma gdzieś Führera, Rzeszę, obowiązki wobec kraju, patriotyzm. Przez takich „von” przegraliśmy pod Stalingradem. Przepraszam, że używam tak mocnych słów, ale mam dziwne przeczucie, że właśnie pani mnie rozumie i wybaczy nieeleganckie wyrażenia. A mnie przeczucie jeszcze nigdy nic zawiodło.

Anna zakrztusiła się winem, a Strobel usłużnie odstawił jej kieliszek na bok i podał serwetkę. „Przegrali... a jednak! - pomyślała.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić. Może pani do niego coś czuje, ale warto, by ktoś panią uświadomił. Ja wiem, że jest pani prostą nauczycielką z Frankfurtu. Właśnie tacy ludzie jak pani są solą tego narodu - kontynuował Strobel. Anna czuła, jak uginają się pod nią nogi. Dlatego nie warto, aby pani się zadawała z kimś takim jak Franz von Steinberg. Czy pani wie, że podejrzewa się go o pomoc w ucieczce Żydom? Niestety, nie było na to wystarczających dowodów, a poza tym jego stryj ma wpływy. Aleja jestem pewien, że on tych Bernsteinów osobiście wywiózł za granicę. Przyjaźnił się z młodym Bernsteinem od dzieciństwa. Sprawdziłem to. Jak można było komuś takiemu powierzyć komendanturę w Gross Born?! - emocjonował się Strobel.

- Tak, to rzeczywiście straszne, ja w ogóle nie znałam tych faktów - odrzekła Anna.

- A widzi pani. Proszę sobie to wszystko przemyśleć... A teraz... czy mógłbym panią prosić do tańca? - wyciągnął w stronę Anny rękę.

Mimo że nogi odmawiały posłuszeństwa, ruszyła z nim do walca. Poczowała obrzydzenie. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył... Kiedyś lubiła sobie wyobrazać, że jest szpiegiem, który zakrada się do obozu wroga, zyskuje jego zaufanie i wykrada tajne plany. „Jakże żałosna jest rzeczywistość w porównaniu z naszymi wyobrażeniami. Jestem kochanką niemieckiego oficera i muszę zabawiać innych kretynów i morderców”. Strobel tańczył w miarę dobrze. Ale to akurat dla Anny nie miało znaczenia, marzyła, by się uwolnić.

Jej wściekłość potęgował jeszcze fakt, że Franz świetnie się bawił. Otoczony wianuszkami panien, opowiadał dowcipy, a kobiety wpatrywały się w niego jak w obraz. Znowu jakaś dziewczyna powołała go do tańca. Patrzyli sobie w oczy, potem Franz szeptał jej coś do ucha, a ona śmiała się głośno. Cóż się dziwić, rzeczywiście był uważany za bardzo dobrą partię: bogaty, dobrze urodzony. Annie w uszach zadźwięczały jeszcze raz słowa zasłyszane w bibliotece. „No tak, to oczywiste, w jego oczach jestem zerem” - pomyślała. I znowu to nieprzyjemne ukłucie. Była zła na siebie, że tak emocjonalnie reaguje na wszystko, co robi ten niemiecki oficer. „Przecież to oczywiste, że on nic mnie nie obchodzi. Ale też nie jestem z kamienia, nikt nie lubi być tak ostentacyjnie lekceważony” - tłumaczyła sobie w

duchu swoje przygnębienie. Była zdeterminowana, aby spróbować uciec. I powoli układał jej się w głowie pewien plan.

Tymczasem walc się skończył. Odczuła ulgę. W tej chwili skłonił się przed nią oficer Abwehry. Przyjęła zaproszenie, zadowolona, że nie musi tańczyć ze Stroblem. „Choć może należało go jeszcze trochę wypytać, może opowiedziałby jeszcze coś ciekawego o Franzu?” - pomyślała. Ale zaraz uznała, że to jednak niebezpieczna gra.

Nowy partner przedstawił się elegancko. Był to major Schroeder. Prawił jej komplementy, wręcz nadskakiwał przez kolejną godzinę balu. Prowadziła z nim rozmowę na tematy neutralne: malarstwo, muzyka. Ale kątem oka wciąż obserwowała Steinberga.

A Franz nie przestawał flirtować z kolejnymi damami. Konrad przyglądał się temu z daleka. W pewnej chwili wziął Franza pod rękę i zaciągnął w kąt sali, gdzie niemal schowali się za olbrzymią palmą w donicy.

- Jesteś idiotą, naprawdę jesteś skończonym idiotą - warknął mu Konrad do ucha.

- O co ci chodzi? - Franz był zdumiony.

- Już wiem, po co ją tu przywiozłeś. Ryzykujesz tylko po to, żeby pokazać, jakie masz powodzenie u kobiet.

- Zadziwia mnie twoja przenikliwość. Twoje rozważania nie są warte funta kłaków. Stoisz w kącie i z nudów wymyślasz takie brednie - odgryzł się Franz, ale obaj wiedzieli, że strzał Konrada był celny.

- To po co ją tu zabrałeś?

- Żeby nie nudzić się w podróży.

- Franz - Konrad spojrział na niego z politowaniem - twoje tłumaczenia... nie, bracie... są po prostu śmieszne. Wiesz, ja się nawet cieszę, że okazałeś w końcu jakieś ludzkie słabości. Tobie wszystko się zawsze udawało, a tu proszę, zwykła więźniarka wodzi za nos Steinberga. Może nic jest ona taka zwykła, ma coś w sobie, nie przeczę...

- To tylko twoja bujna wyobraźnia - odparł Franz i zerknął w stronę, gdzie Anna tańczyła z kolejnym oficerem. - Tak, mam do niej słabość. Wciąż mi się podoba. Rzeczywiście z nikim tak długo nie wytrzymałem. Ale mimo wszystko wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.

- Oj, Franz, musisz już zacząć myśleć - Konrad poklepał przyjaciela po ramieniu - jak przekonać rodzinę do swojej decyzji.

- Jakiej decyzji?

- Że będziesz chciał się z nią ożenić.

- Chyba oszalałeś. A ja myślę, że ona bardzo podoba się tobie i swoje odczucia przenosisz na mnie.

- Franz, może nie do końca zdajesz sobie sprawę ze swojego stanu.

- Dobrze, dobrze, zajmij się swoim życiem.

- Jak sobie życzysz, ale ja jestem już żonaty, więc jakby co... - Konrad roześmiał się i obrócił aluzję w żart.

Franz do tej pory nigdy nie analizował specjalnie swoich uczuć do jakiegokolwiek kobiety. Była to była. Było

ciekawie i miło, dobrze. Nieciekawie - trzeba odtrąbić odwrót. To wszystko. Nie miał skrupułów: kiedy wymagała tego sytuacja, wyznawał kobietom miłość, bo sprawiało im to przyjemność. Uważał zresztą, że jest szczery, bo po prostu często się zakochiwał. W każdym razie relacje męsko-damskie nie były tą sferą życia, której poświęcałby jakąś refleksję.

- Swoją drogą, cóż to za paradoksalna sytuacja. Masz kobietę na każde zawołanie, a jednocześnie każdego dnia musisz o nią walczyć, zebrać o dobre słowo czy przychylny gest. Jesteś jak Syzyf... - mówił Konrad, sącząc wino i delektując się swoim kwiecistym stylem.

- Wiesz co, wracaj już lepiej do tych swoich nieszczęśników ściganych po ulicach.

W mgnieniu oka twarz Konrada stężała. Wycedził zimno, prosto mu w twarz:

- Ty arystokratyczny dupku, siedzisz sobie na tej twojej posiadce i nie masz bladego pojęcia, co tam się dzieje. - Syczał przez zaciśnięte zęby: Wiesz, co to znaczy tłuc ludzi bez sensu? Wysyłać na śmierć, bo jakiś były kryminalista, zboczeniec i psychopata, który przed tym wszystkim zdechłby na sznurze, ma teraz nad tobą władzę? Wiesz, co to znaczy mieć na karku gestapo? Spróbuj wykazać się słabszą determinacją w zabijaniu, to masz kłopoty zapewnione!

Franz milczał.

- Siedzisz sobie na zadupiu z panną, a tam jest piekło. Jak się zbuntujesz, to ześlą do jeszcze większego piekła,

na front wschodni, albo cię rozwałą. - Konrad drżącą ręką odstawił kieliszek. - Miałem ci tego nie mówić, ale jak widzę twoją zadowoloną gębę... Pękłem, i miałem szczęście, że nie trafiłem pod sąd wojskowy, a jedynie na front wschodni. Wkrótce wyjadę z Warszawy.

- Ale co się u diabła stało? - Franz był poruszony.

- A co cię to obchodzi! - rzucił Konrad i szybkim krokiem wyszedł z sali.

Franz stał osłupiały, po chwili chciał pójść za przyjacielem, ale matka zagroziła mu drogę, domagając się, by przywitał kolejnych gości. Kiedy to zrobił, zaczął się rozglądać po sali. Kątem oka zauważył, że Elsa zaciągnęła Annę w kąt i coś mówi, cały czas żywo gestykulując. „No, ta wariatka naopowiada teraz niestworzonych rzeczy” - mruknął pod nosem.

- Moja kochana, muszę cię przestrzec przed Franzem, bo nie chcę, żebyś później przeżyła bolesne rozczarowanie. On długo z jedną kobietą nie wytrzymuje. A już nie daj Boże, abyś myślała o małżeństwie. Jego matka jest w niego zapatrzona. Wyobraża sobie, że jego żoną może być tylko... No, co najmniej jakaś księżniczka. A ty, skarbie... Co tu dużo mówić... Nie chcę cię urazić, ale nazwisko Brandt nie jest... no, wiesz... Nie jest na miarę aspiracji rodziny Steinbergów. Zresztą powiem ci, że moim zdaniem, gdyby u boku Franza zjawiały się nawet księżniczka, to ciotka Eleonora i tak by jej nie strawiła. Bo ona nie może znieść myśli, że musiałyby się dzielić synkiem z inną kobietą. - Elsa mówiła bardzo

szybko, nie pozwalając Annie dojść do głosu. Franz jest uroczy, nie przeczę. Nie ukrywam, że i ja kiedyś w nim się zadurzyłam, ale to było dawno temu. Jednak gdyby ktoś pytał mnie o zdanie („a czy ktoś pyta?” - pomyślała Anna), to odradzałabym, bo on po prostu nie jest stały w uczuciach. Są mężczyźni niezdolni do obdarzenia kobiety miłością. I taki właśnie jest Franz. Zimny emocjonalnie. Rozumiesz. Moja kochana, znam mnóstwo par, którym może jest ciężko, ale potrafią być sobie wierne, na przykład Lisa i Helmut von Karajan. Tak, to małżeństwo...

- Elsa, czy ciebie interesuje coś poza plotkami z towarzystwa? - spytała nagle Anna.

Elsa na chwilę zamilkła. A po chwili zupełnie innym tonem, ku zdumieniu Anny, odpowiedziała:

- Owszem, interesuje. Wiem, co o mnie myślisz. Jednak zastanów się, o czym można rozmawiać na balu w takich czasach, aby nie wydać się śmieszną samej sobie? O czym, jak nie o plotkach, kto z kim i dlaczego? Tematy tak zwane patriotyczne mnie nie pociągają. Jeżeli chcesz o tym porozmawiać, to poszukam Strobla.

- O nic, błagam. Tylko nie to.

Elsa zaśmiała się.

- To ty nie jesteś prawdziwą niemiecką patriotką?

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Bała się, czy Elsa przypadkiem nie prowokuje jej do zbyt śmiałych wyznań.

- Polityka mnie nie interesuje, to nie dla kobiet - odpowiedziała wymijająco.

- O, jaka jesteś ostrożna, myślałby kto, że uważasz mnie za szpiega Strobla. Elsa wydeła usta.

Anna poczuła, że się dusi. Nie mogła już wytrzymać na tej sali. Pomyślała, że jeśli jeszcze przez chwilę zostanie tu z tymi ludźmi, to oszaleje. Wskoczy na stół i zacznie krzyczeć, że Hitler to zbrodniarz, a oni wszyscy współwinni są jego zbrodni.

- Przepraszam, muszę wyjść na świeże powietrze - powiedziała do Elsy i wyszła na taras.

Myślała o tym, że najwyższy czas przestać się rozczulać nad sobą i roztrząsać, co ona, jedyna sprawiedliwa, robi wśród tych złoczyńców. I najwyższy czas wziąć się do dzieła. Tym bardziej że w pobliżu dojrzała czyjś porzucony na sofie frak. Zbliżyła się ostrożnie i włożyła rękę do kieszeni. Jest portfel. W nim kilka banknotów. „Nie jest to oryginalna skrytka, ale praktyczna” - stwierdziła, wsadzając pieniądze za stanik. Potem pomyślała, że lepiej od razu napisać list do Franza, aby później nie marnować na to czasu. Wymknęła się na korytarz i zajrzała do biblioteki. Nie było w niej nikogo. Z sekretarzyka wyjęła kartkę i kopertę. Zaczęła pisać.

Franz, muszę stąd uciec, dłużej tego nie wytrzymam. Gdybyś był na moim miejscu, zrobiłbyś to samo. Zabrałam pieniądze któremuś z Twoich gości, odeślę je po wojnie, którą Niemcy przegrają. Tego jestem pewna. Mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy.

Anna

Zakleiła kopertę i wepchnęła do torebki. Wróciła na taras, a potem rozpoczęła zwiedzanie ogrodu. Wiedziała, że na czas balu psy zostały zamknięte, ale gdy pałacyk opuści ostatni gość, znów będą biegać na wolności. Ucieczka była więc możliwa tylko teraz. I trzeba było jeszcze wymyślić sposób na to, aby Franz zauważył jej nieobecność jak najpóźniej. Wszystko przemyślała. Jej plan miał jednak jeden słaby punkt. Anna nie wiedziała, gdzie są jej dokumenty. Wróciła na salę i odnalazła Franza.

- Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym już się położyć - powiedziała.

- Nie, to niemożliwe, musisz jeszcze zostać. - Franz był bardzo niezadowolony.

- Błagam, nic daję już rady.

- Wytrzymaj jeszcze, zatańczymy tego walca później odprowadzę cię do pokoju.

Annie taniec wydawał się wyjątkowo długi. Nawet nie zorientowała się, że Franz pocałował ją w szyję, czego nie omieszkały zauważyć wszystkie starsze damy. Komentowały ten fakt z wielkim ożywieniem. Tylko Eleonora zachowała kamienną twarz. Franz patrzył na Annę, a ona unikała jego wzroku. Bardzo lubiła tańczyć walca. Wyobrażała sobie kiedyś, że tańczy na balu z ukochanym. Że wszystko wiruje, a on patrzy na nią i oboje wiedzą, że są dla siebie stworzeni. Że będzie to chwila wielkiego uniesienia. „Co za głupota”- myślała. A

potem nagle przyszło jej do głowy, aby poudawać, że to jednak jest ten wymarzony bal i ten wymarzony walc, że Franz ją kocha, że są sobie bliscy... Zamknęła oczy. Uśmiechnęła się.

- Lubię, jak się tak uśmiechasz - szepnęła.

Spojrzała na niego i pomyślała, że widzi go ostatni raz.

Gdy odprowadzał ją do pokoju, bała się, że zauważy, jak bardzo drżą jej ręce.

- Nie zasypiaj, bo i tak cię zbudzę powiedział, wychodząc z sypialni.

Poszedł poszukać Konrada. Znalazł go na tarasie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz kłopoty? - spytał przyjaciela.

- Po prostu naraziłem się paru idiotom. Oskarżyli mnie o dywersję, bo nie uznaję tortur.

- Więc front wschodni?

- Tak.

- Załatwię to ze stryjem.

- Nie dasz rady. Zbyt ważnym ludziom się naraziłem. Poza tym wolę iść na wojnę, niż siedzieć w Warszawie.

- Załatwię to. Konrad, przepraszam.

- To ja przepraszam za „dupka” i proszę, żebyś tego nie załatwiał.

- Mam grubą skórę.

- Tak, to zaleta szczególnie przydatna podczas wojny.

Tymczasem Anna wprowadzała w życie swój plan. Teraz liczyły się sekundy. Błyskawicznie zdjęła suknię,

włożyła podróżny kostium, spakowała do torebki niezbędne rzeczy. I zaczęła nerwowo grzebać w rzeczach Franza w poszukiwaniu swoich papierów. Były w aktówce, którą Franz zostawił w pokoju tuż przed balem. Znalazło się też jeszcze trochę pieniędzy.

Gotowy list do Franza położyła na stoliku. Weszła do łazienki i zamknęła drzwi na kluczyk. Zdjęła pantofle na obcasach i przytroczyła je sobie do pasa. Podobnie torebkę. Zeskoczyła z okna na mały daszek. Dalej przy ścianie była kratka, po której pięły się winogrona. Podkasała spódnicę i zeszła na dół. Po chwili była już przy murze okalającym ogród. Chwilę nasłuchiwała, czy ktoś nie nadchodzi. Wspięła się na mur, w którym dzięki Bogu namacała wystające kamienie. Teraz dworzec. Znalazła dorożkę.

- Moja Fraulein, nie wolno... - zaczął dorożkarz.

- Mam specjalną przepustkę, niech pan jedzie - rzuciła.

Los jej sprzyjał. Nikt ich nie zatrzymał na drodze. Na dworcu kupiła bilet na pociąg do granicy Rzeszy i Generalnej Guberni. Uznała, że tak będzie bezpiecznie, że lepiej przesiąść się do pociągu w dowolnym kierunku. Nie miała co prawda pojęcia, czy w ogóle może swobodnie przejechać do Generalnej Guberni. Liczyła jednak na moc posiadanych papierów. Kupiła bilet pierwszej klasy - wagon sypialny.

Leżała w swoim przedziale i czuła, jak wali jej serce. Zdawała sobie sprawę, że Franz ma większe możliwości

odnalezienia jej, gdy będzie jeszcze w granicach Rzeszy. Ale po pierwsze, może dość późno zauważy jej nieobecność. Po drugie, była szansa, że skrępowany rodzinnym otoczeniem, obecnością Strobla i innych nie będzie mógł robić zbyt wielkiego rabanu. Poza tym liczyła na to, że nie zależy mu już na niej tak jak kiedyś.

Franz nie mógł postawić na nogi żandarmerii, bo natychmiast by go zapytano, dlaczego ściga jakąś pannę i dlaczego ona ucieka. Zaczęto by sprawdzać jej personalia i węszyć, skąd pochodzi.

„A gdy już będę w Polsce, łatwiej będzie się ukryć” - kalkulowała. Planowała, że natychmiast zadzwoni do domu albo do znajomych i już po przekroczeniu granicy gdzieś się zaszyje, a potem spróbuje zdobyć nowe papiery.

Steinberg nie wytrzymał zbyt długo na balu. Po dwudziestu minutach zjawił się w ich pokoju. Zaczął pukać do drzwi łazienki. Gdy nikt nic odpowiadał, natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Błyskawicznie uporał się z drzwiami. Rzucił okiem na list leżący na stoliku. I wypadł z pokoju. Wbiegł do małego saloniku, gdzie Konrad właśnie popijał wino i palił spokojnie cygaro, gawędząc z Elsą. Stał w drzwiach i skinął na przyjaciela. Miał taki wyraz twarzy, że Fischer natychmiast przeprosił dziewczynę i z winem i cygarem w zębach podszedł do Franza. Ten wyjął mu cygaro z ust i odstawił kieliszek.

- Mam bardzo pilną sprawę. - Pociągnął Fischera za

rękę do okna. - Anna uciekła - powiedział szeptem. -
Musisz mi pomóc.

Konrad złapał się za głowę.

- Nie, nie mieszaj mnie do tego. To sprawa między wami, nie będę narażał głowy dla jakiejś panny, która cię nie chce. Daj mi spokój. Zrobiłem już wystarczająco dużo!

Franz jakby go nie słyszał:

- Moim zdaniem wsiadła do pociągu jadącego do Guberni. Jedziemy na dworzec sprawdzić pociągi. Na wszelki wypadek wsiadamy w dwa samochody i jeśli zajdzie potrzeba, obstawimy oba przejścia graniczne. Jeżeli jej tam nie będzie, to kolejne przystanki w Guberni. Zawiadomię żandarmerię.

- Wybij to sobie z głowy! Nie jesteś w Gross Born! Tutaj żandarmi nie będą ślepo spełniać twoich poleceń, tylko zadawać pytania! - ostrzegł Konrad. - Już lepiej załatwmy to sami. Zobaczmy, jakie pociągi odjechały w ciągu ostatniej godziny.

- A w razie czego można powiedzieć, że to nasza kuzynka, która cierpi na chorobę umysłową - stwierdził Franz.

Szli już w stronę drzwi. W holu stał stryj Franza.

- Stryju, muszę nagle wyjechać. Nie mam czasu na tłumaczenie rzucił Franz i pociągnął Konrada w stronę wyjścia.

Po chwili jechali dwoma samochodami na dworzec. Zadanie mieli ułatwione: kasjerka pamiętała Annę.

- To był ekspres do Warszawy.

W tę stronę miał wyruszyć Franz. Obaj jednak uznali, że na wszelki wypadek skontrolują jeszcze drugi pociąg, jadący za pół godziny z Hamburga przez Berlin do Poznania. To zadanie wziął na siebie Konrad. Został zatem na dworcu, a Steinberg rzucił się w pogoń za pociągiem do Generalnej Guberni.

Anna nie mogła w pociągu zasnąć. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że jej plan tak naprawdę był nieprzemyślany i że Franz bez trudu może ją złapać. Ekspres do Warszawy, który wydawał jej się zrzędzeniem losu, mógł się okazać pułapką. „To tak, jakbym napisała mu w liście, gdzie jadę” - wyrzucała sobie. Żeby zmylić pogoń, powinna była kluczyć. Ruszyć w kierunku, którego się nie spodziewano. Zastanawiała się, na którym wysiąść przystanku. Wyszła na korytarz w poszukiwaniu konduktora. Wypytała go, gdzie zatrzymuje się pociąg. A potem o trasę tego drugiego, z Hamburga do Poznania. Aż do ostatniej stacji w granicach Rzeszy trasę miały wspólną. Potem jeden z nich odbijał w stronę Generalnej Guberni, a drugi w stronę Kraju Warty. Wróciła do przedziału i położyła się spać. Zapadała w nerwową drzemkę, by po chwili się zbudzić. Wreszcie rozbudziła się na dobre i siedziała, patrząc bezmyślnie przez okno. Pociąg zatrzymywał się na wielu stacjach. Prawdziwym ekspresem był dopiero od granicy. Postanowiła wysiąść na ostatniej stacji w Rzeszy. Bała się, że po przekroczeniu granicy będą sprawdzać szczegółowo dokumenty.

Przyszło jej w tej chwili do głowy, że powinna wysiąść z drugiej strony pociągu. Nie schodzić na peron, ale jakoś przemknąć po torach. I że trzeba to zrobić natychmiast, jak pociąg stanie.

Tuż przed stacją znowu przytroczyła sobie torebkę do pasa. Otworzyła okno, podkasała spódnicę i próbowała się wydostać na zewnątrz. Nie było to proste. Spódnica pękła w szwach. W końcu Anna zwiesiła się z okna po drugiej stronie i zeskoczyła pomiędzy tory. Doprowadziła się do względnego ładu. po czym założyła pantofle, torebkę, wzięła walizkę i zaczęła szybko iść w stronę ostatniego wagonu. Zamierzała poczekać w ukryciu, aż pociąg odjedzie, a następnie kupić bilet do Poznania.

Pociąg ruszył. Anna przycupnęła w cieniu wagonów na bocznicy. Kiedy ostatni wagon wyjeżdżał ze stacji, wstała, żeby wejść na dworzec, i nagle zamarła, na peron bowiem wpadł zdyszany Franz, próbując wskoczyć do ostatnich drzwi. Nie udało się. Zaklął szpetnie i wybiegł ze stacji. Po chwili nocną ciszę przeszył ryk pracującego na najwyższych obrotach silnika samochodu i pisk opon. Steinberg liczył na to, że wsiądzie do tego pociągu na kolejnej stacji.

Tymczasem Anna weszła na stację. Kupiła bilet i przysiadła na zacienionej ławce. Po chwili zapowiedziano pociąg relacji Hamburg-Poznań, a kiedy wjeżdżał, poinformowano o dwudziestominutowym postoju. Chwilę się wahała, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wyjścia ze stacji.

Pierwszy z pociągu do Poznania wyskoczył Konrad i uważnie lustrował wsiadających. Wcześniej wysłał swojego szofera, aby ten przeszedł wszystkie wagony od drugiej strony. Spotkali się w środku składu.

- Nie ma jej.

Za Konradem stał już zdyszany szofer, który dostał polecenie, by natychmiast po zatrzymaniu pociągu przeszukać budynek stacji. Fischer poszedł w stronę hali dworcowej. W drodze zatrzymał patrol żandarmerii, opisując im Annę.

- To moja kuzynka, cierpi na pewną chorobę psychiczną, a zupełnie niespodziewanie wyjechała. Obawiamy się, że coś jej może się stać - wyjaśnił.

- Tak, była tu przed chwilą taka kobieta, ale wyszła z dworca, zanim wjechał pociąg - powiedzieli.

Pomyślał, że powinien sprawdzić wszystkie hotele w okolicy. Nagle coś sobie uprzytomnił.

- Jest tu gdzieś telefon? - zapytał żandarmów.

- Na poczcie, ale o tej porze już nieczynna.

Przechodząc z kas na peron, Anna zobaczyła mężczyznę rozmawiającego z aparatu telefonicznego w dworcowej restauracji. Pociąg miał wjechać wprawdzie za chwilę, ale o tej porze towarzystwo, które przesiadywało w tym lokalu, było na tyle nieciekawe, że nie zdecydowała się na telefon. Kiedy jednak zapowiedziano postój, przemogła się i poszła zadzwonić do Warszawy. Może wspólnie z rodzicami coś wymyślą. Może podadzą jej jakiś adres w Poznaniu, gdzie będzie mogła

przenocować, a potem ktoś pomoże jej przekroczyć granicę. Myślała też o tym, że w domu poza rodzicami nie ma nikogo. Helena na pewno się ukryła. Stach też...

Barman był nieco zdziwiony, gdy ją zobaczył, ale niczego nie komentował. Bez słowa postawił telefon na kontuarze i zajął się podpitym jegomościem żądającym piwa. Nie zwracała uwagi na to, co dzieje się dookoła. Wsłuchiwała się tylko w telefonistkę, którą było słychać jak z zaświatów, a potem w anemiczny sygnał wywoływania.

Po chwili usłyszała „Halo” swojej matki. Głos uwiązł w gardle. Zachrypiąca coś niezrozumiale, w końcu jęknęła „Mamo, mammo, to ja!!!”. Zdrętwiała na dźwięk swego głosu. Mówiła po polsku w samym sercu Rzeszy.

„Anula...?!!!!”- usłyszała jeszcze okrzyk, a potem w słuchawce zapanowała cisza. Zobaczyła rękę w czarnej rękawiczce, przyciskającą widełki telefonu. Za nią stał Konrad.

- Przykro mi - powiedział. Miał zakłopotaną minę. - Musimy jechać, błagam, niech pani nie zmusza mnie do użycia siły. Chyba zdaje sobie pani sprawę, że nie możemy tak pani puścić? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Anna wolno odłożyła słuchawkę. Łzy cisnęły jej się do oczu. Konrad, trzymając ją jedną ręką za ramię, drugą wykręcił numer telefonu:

- Jak zadzwoni major, przekaz mu, że zguba się znalazła - rzucił do słuchawki. Następnie położył

pieniądze na ladzie i wyszli.

Anna szła do samochodu, szurając nogami. Silny wiatr zerwał jej z głowy kapelusz, który potoczył się na szosę. Przystanęła. Po chwili ruszyła dalej. Spojrzała na Konrada. On jednak patrzył w inną stronę.

Nie wracali do Berlina, jechali do Gross Born. Przez całą drogę milczeli. Tylko pod koniec podróży Konrad powiedział:

Franz nie pogodziłby się z pani ucieczką i znalazłby panią choćby pod ziemią.

- Niech pan przestanie, niech pan już nic nie mówi. - Anna zrezygnowana machnęła ręką. Przez chwilę milczała, po czym dodała: - Franz jest pewnie wściekły, ale tu wcale nie chodzi o mnie, tylko o zasadę, że przecież nic nie może się dziać wbrew jego woli.

Samochód zajechał przed siedzibę komendanta obozu. Fischer odprowadził Annę do gabinetu Franza. Ten stał odwrócony do okna.

- Przywiozłem Fraulein Brandt.

- Zostaniesz na kolacji? - Franz odwrócił się w stronę przybyłych. Głos miał spokojny.

- Nie, spieszę się, muszę wracać. I tak już jestem spóźniony - odparł Fischer. - Do widzenia.

Gdy Konrad wyszedł z gabinetu, zapanowała cisza. Franz odwrócił się do okna. Anna zmęczona siadła na fotelu. Zsunęła buty. Podwinęła nogi, oparła głowę i zamknęła oczy.

Po chwili Franz powiedział z wyrzutem:

- Zawarliśmy umowę. Dałaś słowo honoru.
- Czy prostytutka w ogóle może mieć honor?
- Myślałem, że twoje słowo jest coś warte.
- Franz. posłuchaj. Na tym balu dobrze się bawiłeś.

Kobiety cię adorowały. Byłeś z tego bardzo zadowolony. Jak tylko wkroczyłeś na salę, kompletnie o mnie zapomniałeś. I to zrozumiałe, bo wróciłeś do swojego starego świata, w którym dla mnie nie ma miejsca. Doszłam do wniosku, że można naszą umowę uznać za rozwiązaną. Sądziłam, że już i tak długo jesteśmy razem i że zwyczajnie się mną znudziłeś. Chciałam ci ułatwić zadanie.

- Ależ ty jesteś obłudna. Sama nie wierzysz w to, co mówisz. A może po prostu jesteś zazdrosna?

- A to dobre. Czy mogłabym być zazdrosna o takiego nadętego hitlerowskiego bubka? teraz Anna się rozzłościła.

Franz zacisnął zęby. Podszedł i chwycił ją za rękę.

- Będziesz tutaj, dokąd ja zechcę. Jeśli myślisz, że jesteś w stanie mnie obrazić, to się mylisz. Przyzwyczaiałem się do tych obelg.

Pociągnął ją w stronę sypialni.

- Powiem szczerze: jeśli myślisz, że budzisz we mnie strach, to jesteś w błędzie - oświadczyła ze stoickim spokojem.

6

Helena z kuchni usłyszała dziwne krzyki matki.

- Boże, Boże... - powtarzała pani Lubieniecka, ściskając kurczowo słuchawkę.

Helena przestraszyła się nie na żarty.

- Mamo, co się stało? - zawołała.

Odstawiła talerze, które trzymała w rękach, i podbiegła do matki. Pani Lubieniecka nie przestawała powtarzać: „Boże, Boże”. Spojrzała na Helenę i usiadła. Pozwoliła wyjąć sobie słuchawkę z ręki.

- Halo! - krzyknęła Helena do telefonu, ale tam po drugiej stronie panowała głucha cisza. - Co się stało? - powtórzyła.

- To Anula... - matka szlochała, a łzy leciały jej ciurkiem po policzkach.

Helena osłupiała. Przestraszyła się, że matkę dopadła jakaś demencja albo że postradała zmysły z powodu tych nieszczęść: śmierć Andrzeja, zniknięcie Anny, a teraz i to, że Stach musiał uciekać do lasu i od dłuższego czasu nie było od niego żadnych wieści. Pani Lubieniecka była też przerażona faktem, że jej mąż bardzo zaangażował się w działalność w podziemiu. Strach przed rewizją, przed gestapo dopadał ją niemal codziennie.

Uspokoiła się trochę, wytarła ręką łzy i powiedziała:

- Zadzwoił telefon, odebrałam, usłyszałam najpierw jakieś dziwne dźwięki, a potem głos Anuli: „Mamo,

mamo, to ja". A potem nagle przerwało połączenie.

- Czy to ci się aby nie zdawało? spytała Helena.

- Przecież jestem przy zdrowych zmysłach. To na pewno była Anna. Jakbym mogła nie poznać jej głosu?!

- Dobrze, już dobrze - uspokajała ją córka. - Ale coś jeszcze mówiła, gdzie jest, co się stało?

- Nie, nie, telefonistka zapytała po niemiecku, czy to Warszawa, potem mówiła Anula, a potem coś przerwało. I już więcej nic nie było słychać, wołałam, krzyczałam do słuchawki. I nic. Ale ona żyje gdzieś, to była ona, przysięgam. Może chciała jakoś się do nas odezwać, nadarzyła się okazja, tylko coś jej przeszkodziło. - Katarzyna miała wypieki na twarzy. Rzuciła się na starszą córkę, by ją przytulić, i znów zaczęła płakać.

Helena nie wiedziała, co o tym myśleć. Owszem, od kiedy tamta kobieta powiedziała, że widziała Annę w Bristolu, i ona wierzyła głęboko, że siostra żyje, tylko coś się z nią stało - wywieźli ją gdzieś w tajemniczych okolicznościach. Na roboty być może. Ale z biegiem czasu, gdy wciąż nie było od niej żadnych wieści, nadzieja gasła. Dlatego trudno jej było uwierzyć w to, co mówiła matka. Bała się rozczarowania. Gdy wieczorem opowiedziały ojcu o wszystkim, on zastygł przez chwilę bez ruchu.

Musieli ją gdzieś wywieźć, może na roboty do Niemiec, bo przecież nie do obozu, stamtąd nigdy by się jej nie udało zadzwonić. Musiała mieć jakąś okazję. Ona na pewno żyje, ja to wiem - powiedział Lubieniecki z

naciskiem.

- Tak, tak. Na pewno. Teraz to jest pewne. Boże, jakie szczęście, jakie szczęście... - powtarzała matka. - Jutro rano pójdziemy do kościoła podziękować Bogu.

Tego wieczoru dom Lubienieckich był mniej szary i smutny. We trójkę siedzieli przy stole, snując najróżniejsze hipotezy.

- A może ten facet, który miał sprawdzać, co się z Anną stało, po prostu coś przeoczył? Może po prostu od razu została zakwalifikowana do wyjazdu na roboty, przecież ona tak dobrze zna język? - zastanawiała się matka.

- Może gdzieś ją zatrudnili jako tłumaczkę? - mówił ojciec.

- Niemcy wiedzieli, że ona dobrze mówi po niemiecku, bo tam na dziedzińcu rozmawiała z żandarmami. Więc może ktoś to usłyszał, może to ją uratowało? - rozważała Helena.

- Tylko wciąż nie wiemy, dlaczego akurat was zwolnili - powiedziała matka. - A może to była pomyłka, może mieli wypuścić kogoś innego?

- Anna wróci i wszystko się wyjaśni. - Stefan Lubieniecki był tego pewien.

Życie w Gross Born wróciło do normy. Zwykle rozmowy o wszystkim i o niczym. Co jakiś czas ostrzejsze kłótnie. Czy zmienić dietę, czy kucharz dobrze gotuje, czy maszyna do pisania nie powinna już być wymieniona. Codziennosc znów łagodziła ich relacje. Anna złapała się

na tym, że kiedyś odruchowo poprawiła mu podwinięty kołnierz płaszcza. Niczym troskliwa żona. Ale zaraz cofnęła rękę, jakby się poparzyła. A Franz się tylko uśmiechnął.

Annę zaskoczyła też wiadomość, którą kiedyś przyniósł rozgorączkowany Hans. W oflagu zorganizowano olimpiadę.

- Olimpiadę? - zdziwiła się Anna.

- Jeńcy o to poprosili. Zrobili normalne zawody, no, nie wszystkie dyscypliny, ale zrobili. Komendant się zgodził.

- Coś takiego? - Anna nie mogła w to uwierzyć.

Tego samego dnia nic wytrzymała i zapytała o to Franza.

- Tak, rzeczywiście jeńcy o to poprosili. Dlaczego nie... kazałem tylko wzmocnić strażę. No i nie na wszystkie konkurencje się zgodziłem. Bo chyba nie sądzisz, że mógłbym się zgodzić na zawody łucznicze czy skok o tyczce.

- Wiesz, zaskoczyłeś mnie zupełnie - powiedziała Anna i zaraz dodała: - A co? Myślisz, że jak za bardzo będą ćwiczyć skok o tyczce, to przeskoczą mur? - zaśmiała się.

- No, no, zachowaj dla siebie swoje drwiny. Ale była defilada, wciągnięto flagę olimpijską. Dostali stroje od genewskiego Czerwonego Krzyża. Olimpiada jak malowanie. - Franz był wyraźnie zadowolony, że Anna go o to zapytała. - A nie było to proste, bo ten kretyn Kruger

stawał na głowie, żeby do tego nie dopuścić. To zawzięta, sadystyczna świnia. Pewnie pamiętasz... kiedyś tu przyszedł...

- Tak, przypominam go sobie.

- No właśnie, chciał na mnie donieść do Berlina, idiota.

- I co mu powiedziałeś?

- Że może to zrobić, wtedy front wschodni ma zapewniony.

Olimpiada w obozie wpłynęła więc kojąco na relacje między Franzem a Anną. Życie płynęło dalej leniwie. Anna wciąż podkradała lekarstwa. Dużo czytała. Kiedy doszła do równowagi po nieudanej ucieczce, postanowiła narzucić sobie pewną dyscyplinę: każdego dnia się gimnastykowała. Nigdy nic nie wiadomo, może znów będzie okazja, by uciec, i wtedy musi być sprawna fizycznie. Ostatnia próba pokazała, że z jej kondycją może nie było tragicznie, ale też i nie najlepiej. Ważniejsze jednak było co innego. Gimnastyka oznaczała, że działa, że się nie poddała.

Franz zauważył, że ma od pewnego czasu jeszcze inne stałe zajęcie. Każdego dnia coś zapisuje w zeszycie.

To notatki z lektur. Muszę się czymś zająć, bo inaczej oszaleję. Może po wojnie napiszę jakąś pracę pt. „Jak to możliwe, że tak zbrodniczy naród ma tak piękną literaturę” - odpowiedziała, gdy zapytał, co tak pilnie notuje.

- Powtarzasz się z tym „oszaleję” - stwierdził.

Franz podejrzwał przypadkiem, że Anna ma kilka rodzajów notatników. To go jeszcze bardziej zaciekało. Któregoś dnia, gdy ona robiła coś w ogrodzie, poszedł do jej pokoju i zaczął przeszukiwać rzeczy. Chciał otworzyć szufladę w sekretarzyku, ale była zamknięta. Anna kluczyk nosiła ze sobą. Franz jednak przypomniał sobie, że w biurze miał własne klucze zapasowe do wszystkich biurek w domu. Poszedł po nie do biura. Chwilę później wyciągnął z jej szuflady wszystkie zeszyty i zaczął przeglądać. Niektóre notatki były pisane po niemiecku, inne po angielsku - głównie uwagi dotyczące przeczytanych książek. Dwa zeszyty zawierały teksty po polsku. O ile w poprzednich notatnikach nie widniały żadne daty, o tyle w jednym z polskich - tak. Wyglądało na to, że te zapiski robiono dość regularnie mniej więcej od pół roku. Codziennie lub co dwa, trzy dni. Czasami przerwy były dłuższe. Franz podejrzewał, że nie są to przemyślenia związane z lekturami. Raczej coś w rodzaju dziennika. Szukał w notatkach słów, które potwierdziłyby jego przypuszczenia. I szukał swojego imienia. Ale go nie znalazł. Jak i innych imion. Jedynie nazwy miast. To potrafił rozpoznać. Było też Gross Born, ale tylko raz. Steinberg nie znał ani jednego słowa po polsku. Nie mógł więc odszyfrować, co Anna zapisywała w swoim diariuszu. Był jednak niemal pewny, że chodzi o jej przeżycia. Podejrzewał, że Anna z obawy, iż zeszyty wpadną w niepowołane ręce, nie używała w nich imion i nazw. Franz schował wszystkie kajety z powrotem do

szuflady, dokładnie tak jak leżały tam przedtem. Miał wielką ochotę poznać treść tych zapisków. Zastanawiał się, jak to zrobić. Właściwie miał pomysł, tylko nie wiedział, w jaki sposób pozbyć się Anny na dłuższy czas z domu. Bo miała zakaz opuszczania siedziby. A może zaproponować wyjście z obstawą?

- Nie masz ochoty pojechać na zakupy? - zapytał przy kolacji.

- Nigdy nie chciałeś się na to zgodzić! - Anna była zdziwiona.

- Tak, ale teraz doszedłem do wniosku, że raz na jakiś czas możesz. Oczywiście z silną obstawą, żebyś nie uciekła.

- Cóż za łaska. Oczywiście, że chcę, ale pozwól mi pojechać w kilka miejsc. Pojadę do miasta zrobić zakupy, wstąpię też do szpitala jenieckiego...

- A tam po co...?

- Może coś pomogę...

- Nie bardzo mi się podoba ten pomysł. Przede wszystkim to ryzykowne, bo możesz mieć pokusę, aby porozmawiać z jeńcami, co gorsza po polsku.

- Nie, przecież dasz mi obstawę. Wydasz im polecenie, abym nie zbliżała się do jeńców. Będę rozmawiać tylko z lekarzami i pielęgniarkami.

- Nie, lepiej jedź tylko do miasta.

- To już wolę zostać w domu. Nie będę robić zakupów jak jakaś niemiecka Frau, dla której wojna nie istnieje.

Tego Franz nie chciał.

- W porządku, możesz tam pojechać, ale od jeńców trzymaj się z daleka. Tylko czy tobie można wierzyć? Pamiętaj, że jeden fałszywy krok i możesz zgubić nas oboje. Znajdzie się jakiś gorliwy lekarz i doniesie na gestapo. Wiem, że dla ciebie gestapo i Abwehra to jedno. Ale tak się akurat składa, że jeśli gestapowcy mają możliwość zaatakowania Abwehry, na pewno to zrobią.

- Daj spokój z tymi kazaniami. Ja to wszystko wiem.

Anna była zadowolona. Perspektywa wydostania się choć na chwilę poza mury, w których tkwiła już tyle miesięcy, wydawała się wspaniała. Teraz układała plan działania: przede wszystkim zapakować następną porcję lekarstw, odnaleźć w szpitalu Bertę. I wysłać paczkę do Polski. Tak, to był fantastyczny pomysł. Anna nie posiadała się z radości na samą myśl o tym. Przecież Franz nie zabronił chodzenia na pocztę. Była tak podniecona, że nie mogła zasnąć. Myślała gorączkowo, jaką historyjką przekonać do tego żandarmów. Zerwała się wcześniej rano. Ucałowała nawet Franza na powitanie. Był mile tym gestem zaskoczony. Po śniadaniu Anna szykowała się do wyjścia. W tym czasie Steinberg wezwał trzech żołnierzy, którzy mieli jej towarzyszyć.

Fraulein Anna ma dobre serce, chce wciąż ratować biednych. Ze względu na jej pozycję, muszą dbać o bezpieczeństwo, aby nie padła ofiarą bandytów. Pilnujcie jej jak oka w głowie. Niekiedy bywa nierozsądna. Czasami nie chce przyjąć do wiadomości, że potrzebuje

ochrony. Dla żartów może próbować was zgubić. Gdyby jej się to udało, możecie być pewni, że wyciągnę bardzo surowe konsekwencje - mówił Franz. Niech robi zakupy tak długo, jak zechce, ale musicie być cały czas koło niej. Niech nie rozmawia z przygodnymi ludźmi. Tylko w niemieckich urzędach i sklepach. Tak będzie bezpieczniej. Może iść do szpitala jenieckiego, ale pod żadnym pozorem niech nie zbliża się do jeńców. Zrozumiano?

- Tak jest - żandarmi zaszalutowali.

Anna w pierwszej kolejności postanowiła pojechać do miasta. Obeszła wiele sklepów. Kupiła sporo produktów typu kakao, kawa, czekolada, jakieś konserwy mięsne.

- Teraz jedziemy na pocztę - oświadczyła żandarmom.

- Nie wiem, czy możemy. Herr Kommandant nic nie mówił..

- Spokojnie. Chcę wysłać paczkę na imieniny mojej przyjaciółce, która akurat pełni służbę w Warszawie. Jak już tak chcecie być ostrożni, to sami tę paczkę zapakujecie. W porządku?

- No, nie wiem...

- Jedziemy - powiedziała zdecydowanie.

Na poczcie kazała żandarmom zapakować wszystkie produkty. Napisała adres swoich rodziców w Warszawie. Widząc pytający wzrok żandarma, wyjaśniła:

- Moja przyjaciółka została zakwaterowana w polskiej rodzinie, więc muszę tak zaadresować.

Po czym na dole dopisała: Dla Margarity Faust.

Skreśliła jeszcze kilka słów po niemiecku: Droga Margarito, martwiłam się, jak sobie radzisz w Warszawie. Postanowiłam zrobić Ci niespodziankę na urodziny i wysłać kilka rzeczy. Mam nadzieję, że Cię ucieszą. Następnym razem napiszę dłuższy list. Pozdrawiam Anna.

- Faust, Faust... Skądś znam to nazwisko - zaczął zastanawiać się jeden z żandarmów.

- Szybciej, szybciej, nadajcie tę paczkę i idziemy.

Anna była niespokojna, że być może nie doceniła wykształcenia niemieckich żołnierzy. „Obym tylko się nie zaczęła zbyt identyfikować z tą postacią” - pomyślała z gorzką ironią.

Odwiedzili jeszcze kilka sklepów. Anna poszła do fryzjera. Ostatnim punktem wyprawy był szpital. Kupiła sporo rzeczy, które przydadzą się pielęgniarkom w ich pracy. Nie była całkiem pewna, jak Berta zareaguje na tę wizytę. Obawy okazały się zupełnie bezpodstawne. Rozmawiały bardzo długo. Berta była szczęśliwa z pomocy, jaką ofiarowywała jej Anna. Główny lekarz zdradzał zaniepokojenie odwiedzinami jakiejś paniusi, ale żandarm dał do zrozumienia, mrugając okiem:

- To dobra znajoma komendanta.

Leżący na łóżkach jeńcy z zaciekawieniem podnosili głowy, żeby zobaczyć kogoś z zupełnie innego świata. Ona starała się na nich nie patrzeć.

Franz upewnił się, że Anna wyjechała. Wezwał żołnierza i polecił mu przyprowadzić dwóch polskich jeńców mówiących po niemiecku i posadzić pod strażą w

osobnych pokojach.

Gdy jeńcy byli na miejscu, do każdego z nich wygłosił podobną mowę:

- Masz dwie godziny na przetłumaczenie tego tekstu na niemiecki. Nie próbuj mnie oszukać, bo obok siedzi drugi jeńiec, który też będzie tłumaczył. Gdy wersje nie będą się zgadzały, obaj zostanieie ukarani. Jeżeli dowiem się, że któryś z was rozpowiada o tym, co przetłumaczył, czeka was rozstrzelanie.

Sierżant Stefan Karzycki słuchał w osłupieniu. Kiedy przyszli po niego strażnicy, obawiał się najgorszego. Ale z drugiej strony, skąd Niemcy mieliby wiedzieć o ucieczce? Owszem, zaczęli w obozie układać scenariusz ucieczki, ale był on dopiero w początkowej fazie. To niemożliwe, aby ktoś się o tym dowiedział.

A tu okazuje się, że ma coś tłumaczyć. Dlaczego nie wezwał jakiegoś volksdeutscha? Karzycki nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie. Usiadł i otworzył zeszyt. Im bardziej zagłębiał się w lekturę, tym większe było jego zdumienie.

27 stycznia 1944

Dziś, kiedy czytałam Balzaka, przypomniał mi się ten głupi gestapowiec z berlińskiego balu, który chciał oczernić Bałwana, ale osiągnął skutek odwrotny do zamierzonego. To jednak możliwe, że Bałwan uratował jakichś tam Bern... Nie był to sprzeciw w obronie

prześladowanych, ale dlatego, że ten Bern... był jego przyjacielem. A Bałwan nie znosi, jak ktoś chce zrobić coś, co mu sprawi przykrość. Nawet jeśli jest to Rzesza.

Jakiegokolwiek byłyby to pobudki, jedno trzeba przyznać: jest życie na tej pustyni.

Z drugiej strony Bałwan przez cały bal był zajęty swoimi adoratorkami. Wreszcie wyrwał się z tego pustkowia towarzyskiego i mógł pławić w zachwytach dam. Tylko po co mnie tam ciągnął? Żeby mi zaimponować? A może bał się zostawić samą w Gross Born, przewidując, że chcę uciec?

Tak, ucieczka się nie udała. Ale czy mogła się udać? Pewnie był na to jakiś sposób. Nie mam w tym wprawy. Może trzeba było najpierw pojechać w zupełnie odwrotnym kierunku? Ale wtedy dałabym im czas na zorganizowanie obławy na granicy, pewnie by coś wymyślili. Błąkanie się po Rzeszy było bez sensu, ale gdybym miała więcej pieniędzy, mogłabym gdzieś zaszyć się na kilka tygodni i dopiero potem pojechać do domu... Chyba jednak miałam pecha. Widocznie Bałwan wrócił do pokoju wcześniej, niż przewidywałam. Gdyby balował dłużej, może miałabym jakieś szanse. Ale i ta ucieczka miała swoje plusy. Zadzwoiłam do domu. Mama wie, że żyję. Gdybym miała choć 10 sekund więcej dowiedziałabym się, czy z resztą jest wszystko w porządku.

30 stycznia 1944

Znów pokłóciłam się z Bałwanem. To bez sensu. Te kłótnie nie mają żadnego znaczenia. Nie jestem w stanie doprowadzić ani do samozagłady, ani wpłynąć na niego. On już się na to uodpornił. Jest tak przekonany o swojej wielkiej wartości, że nic do niego nie dociera.

1 lutego 1944

Znów opowiedział mi dziś całą swoją młodość. To mój jedyny tutaj przyjaciel. Ciekawa jestem, ilu jest w tym narodzie ludzi, którzy myślą podobnie jak on. Nie są odważni, ale mają poczucie przyzwoitości. Tylko co z tego? Właśnie z powodu braku odwagi do głosu dochodzą tacy ludzie jak Wąsik. Jak to możliwe, że ten naród dał się uwieść takiemu Wąsikowi?

3 lutego 1944

Zaczęli przywozić coraz mniej lekarstw. Coraz trudniej coś wykraść. Ale jeżeli tu jest ich coraz mniej, to znaczy, że w szpitalu jenieckim nie ma ich w ogóle. Zresztą obawiam się, że problem polega przede wszystkim na żywnieniu. A w tej sprawie nie jestem w stanie zbyt wiele zrobić.

5 lutego 1944

Dawno już tak nie tęskniłam za bliskimi. Może namówiłabym Bałwana, żeby choć pozwolił mi napisać do nich list? Ale nie, na pewno się nie zgodzi. Nie posądzam go o bezduszość, on miałby słuszne obawy, że moja rodzina próbowałaby mnie odnaleźć i stąd wyrwać. Tylko że stąd nie ma ucieczki. Dookoła koszary. Chyba żebym się przebrała za niemieckiego żołnierza. Ale bzdura! Jestem straszna niedojda.

Z drugiej strony chyba lepiej, że oni nie wiedzą, co ja tutaj robię. Ojciec pewnie by tego nie przeżył. Czuję się winna, bo już się pogodziłam z tą sytuacją. Nie walczę. Przeczekuję. Każda kobieta na poziomie coś by wymyśliła, a ja nic. Czytam książki i sypiam z Bałwanem. Sumienie uspokajam lekarskami dla szpitala.

6 lutego 1944

A może już czas wyznać prawdę przed samą sobą? Może trzeba się przyznać, że sypianie z nim nie jest przykrością, a wręcz przeciwnie? Dobrze, trzeba mieć tę odwagę cywilną i powiedzieć sobie wyraźnie: ja to uwielbiam, chcę, żeby mnie dotykał i całował. Jestem z nim związana o wiele mocniej niż z jakimkolwiek mężczyzną w moim życiu. Rozmowy z nim sprawiają mi przyjemność.

Na początku, gdy go zobaczyłam, wydawał mi się odpychający, choć przystojny. Jest zarozumiały, władczy, nadęty. Klasyczny, arystokratyczny, niemiecki bufon.

Konformista, cynik. I ja mani słabość właśnie do kogoś takiego... Dlaczego? Nie umiem tego wytłumaczyć, może należę do tej grupy kobiet, które mają pociąg do szwarccharakterów? Nie jest Icitwo wytłumaczyć dlaczego. Bo jest pociągający, inteligentny, dowcipny... A może dlatego, że w promieniu wielu kilometrów nie ma żadnego mężczyzny, który wydałby się interesujący i skoro już tyle czasu z nim spędzam, to nie było innego wyjścia, jak tylko się w nim zadurzyć?

To jak zdrada narodowa. Zakochać się w niemieckim oficerze. To klęska, poniżenie, nieszczęście. Jestem w pułapce. Boże, co ze mną będzie? Wojna się skończy, mam nadzieję, że już wkrótce. Z wypowiedzi Bałwana wynika, że nie wszystko idzie jak po maśle. Niemcy przegrywają na niektórych frontach. Chcę, by to się już skończyło. Ale z drugiej strony nie chcę się z nim rozstawać. Już nigdy nie poznam człowieka, z którym byłabym tak związana.

Czuję się, jakbym utraciła godność. Jestem nikim, zerem. Przyszedł czas próby, a ja nie umiałam temu stawić czoła.

Zresztą rozstanie będzie dość proste. On nie czuje tego co ja. Gdy skończy się wojna, po prostu więcej się nie zobaczymy. Jestem zdumiona, że trzyma mnie tu tak długo. Przyzwyczał się. Ale w gruncie rzeczy chyba nigdy nie zdobył się na jakiś cieplejszy gest. Powiedzmy sobie szczerze, że ja go do tego swoim zachowaniem nie zachęcam. Jest więc ciągle między nami mur i dobrze.

Tak musi być. Ten mur istnieje w ciągu dnia. Noc jest trochę inna.

7 lutego

Napisałam prawdę. I co z tego? Po co pisze się pamiętniki? Zawsze człowiek Uczy się z tym, że jednak ktoś kiedyś to przeczyta, więc w pewnym sensie idealizuje siebie. Żeby lepiej wypaść. Może kiedyś moje wnuki albo prawnuki przeczytają to? Lepiej nie. Nie ma bohaterskich zrywów w moim życiu. Nie świecę przykładem. Byłoby fatalnie, gdyby się dowiedziały, że ich babka była metresą hitlerowca. Cóż za błyskotliwa kariera.

Skoro więc wyznałam prawdę, oznacza to, że nikt nigdy nie będzie mógł przeczytać tych pamiętników. Będę odgrywać przed światem męczennicę, zgwałconą dziewczynę i tym podobne. To fałsz? Owszem, ale od prawdy można się spalić ze wstydu. Lepiej więc w odpowiednim czasie spalić pamiętniki.

11 lutego

A propos czytania pamiętników. Dorzućmy i to, że ciekawie jest czytać swoje pamiętniki sprzed kilku czy kilkunastu lat. Nie wyciągałabym jednak z tego zbyt pochopnych wniosków, że to w jakikolwiek sposób nas wzbogaca. Może czasami pomaga spojrzeć na siebie z

dystansu. Ale i to nie jest pewne. Bo jak wiadomo, w pamiętnikach nie jesteśmy wobec siebie do końca szczerzy.

12 lutego

Powtarzam sobie, że moja osoba nie ma dla niego znaczenia. A jednak gdy człowiek jest zakochany, to zawsze ma cień nadziei na wzajemność. Tylko po co ta wzajemność? Nasze wspólne życie na normalnych zasadach nigdy nie będzie możliwe.

Nie chcę myśleć w tych kategoriach, że oto moje życie jest złamane do końca, że nigdy nie spotkam kogoś, na kim będzie mi tak zależało. Ludzie się zakochują i odkochują.

Nie będę go widzieć i wtedy o nim zapomnę. Ale czasem ogarnia mnie zwątpienie i strach, że, no właśnie, że to koniec, że ja nikogo takiego już w życiu nie znajdę.

Zresztą jak ja mogę liczyć na cokolwiek? Owszem, można się zastanawiać nad tym, że jesteśmy tak długo razem. Mógł dawno mnie odesłać. Ale z drugiej strony to dla niego wygodne. Musiałby siedzieć tu sam lub szukać sobie jakiegoś towarzystwa. Poszukiwania byłyby utrudnione, bo jego wyjazdy z GB nie mogą być częste. Jednocześnie ma świadomość, że wojna się skończy, że w każdej chwili może zostać odwołany z tej posady. Wtedy w naturalny sposób zakończymy naszą znajomość. Można drobiazgowo analizować jego zachowanie, ale czy to ma

sens? Czasem jest miły, to prawda. Ale kobiety mają skłonność do nadinterpretacji ciepłych gestów ze strony mężczyzn. Może ta zasada dotyczy także mnie? Tym bardziej że Franz jest często zimny, nieprzystępny, obojętny.

Najważniejsze w tej chwili jest, aby absolutnie nie domyślał się, że ja coś do niego czuję. Trzeba utrzymywać go w przekonaniu, że owszem, robię to, czego on chce, ale tylko dlatego, że jestem jego więźniem. I tyle. Jeśli się dowie, to będzie katastrofa. Po prostu nie zniosę tego poniżenia.

Nigdy nie sądziłam, że będę żyła z ukochanym mężczyzną jak żona z mężem i że nigdy nie powiem mu, że go kocham.

Zresztą roztrząsanie swoich uczuć, w czasie gdy jest wojna i tylu ludzi cierpi, jest zwyczajnie nieprzyzwoite.

16 lutego

Żółw jest przygnębiony. Twierdzi, że coraz częściej pojawiają się pogłoski o klęskach niemieckich wojsk.

20 lutego

Usiłowałam na ten temat porozmawiać z Bałwanem. Czy nie ma wśród niemieckich oficerów ludzi, którzy uważają, że trzeba paktować z aliantami? Wyśmiał mnie ordynarnie. Oświadczył, że gadam bzdury i że najlepiej,

aby kobiety nie zajmowały się tym, czym zajmują się generałowie. Powiedział też, że informacje o klęskach Niemców to plotki rozsiewane przez wrogą propagandę. Nie chciałam mówić, że to właśnie Niemcy je roznoszą. Bałam się, aby nie posądził o to Żółwia.

Oczywiście obraziłam się. Powiedziałam, że jest zwykłym ordynusem i że gdyby kobiety rządziły światem, to na pewno świat wyglądałby o wiele lepiej, niż wygląda dziś. Pokłóciliśmy się na całego. Usłyszałam starą śpiewkę, że wśród uczonych i filozofów nie było kobiet. Ja mu na to, że kobiety nie były dopuszczane do edukacji. A jak już miały na nici szansę, to dostawały Nobla jak Maria Skłodowska. On bezczelny oświadczył, że wszystko i tak wymyślił Curie, a ona mu tylko pomagała. Tak się wściekłam, że wyzwalam Bałwana od najgorszych idiotów. Z powodu częstych kłótni powoli zaczyna mi brakować słownictwa.

Bałwan zaczął całkiem spokojnie snuć rozważania na temat zbytnej emancypacji kobiet. Jego zdaniem niektóre kobiety starają się dorównać mężczyznom, choć jest to wbrew naturze, bo kobieta zawsze będzie miała inne zadania i niższą pozycję w hierarchii społecznej. Miałam absolutną pewność, że te wypowiedzi były prowokacją. Chciał mnie rozzłościć.

- Nie będę z tobą polemizować na temat znajomości filozofii, nie interesuje mnie zabawa w arytmetykę, ile kobiet jest tu czy tam. To oczywiste, że rola kobiety jest inna. Choćby dlatego, że rodzi dzieci i karmi piersią. Nie

oznacza to jednak, że kobiety nie mogą mieć osiągnąć tam, gdzie do tej pory królowali wyłącznie mężczyźni. Jest na to wiele przykładów. Kobiety mają prawo głosować i mają prawo do edukacji. Twój problem z oceną pozycji kobiety w społeczeństwie wynika prawdopodobnie z twoich ukrytych, nieuświadomionych kompleksów. Przyjemnie jest myśleć, że ktoś jest gorszy, podczas gdy ty uważasz siebie za kogoś lepszego. Kłopot polega też na tym, że jesteś przywiązany do własnej hierarchii wartości.

- Co ty opowiadasz... - usiłował mi przerwać.

- Nie, teraz ja mówię. Ty zakładasz, że człowiek wartościowy to ktoś, kto jest bezwzględny, posiada wielką wiedzę, jest inteligentny i sprawny w zdobywaniu władzy. I potrafi podporządkować sobie i wykorzystać innych. Przy okazji morduje. To przez mężczyzn mamy wojny. Ty jesteś jednak zbyt ograniczony, aby móc wyjść poza ten typowo męski sposób myślenia. Niektórzy mężczyźni to rozumieją, wiedzą, że ocena człowieka i jego dokonań to proces o wiele bardziej skomplikowany. Historię świata piszą wszyscy, nie tylko geniusze i władcy. Wiedzą to ludzie o naprawdę szerokich horyzontach. Ty, niestety, do nich się nie zaliczasz - powiedziałam.

Oczywiście ta przemowa nie wyglądała dokładnie tak, jak ją relacjonuję. Ale jakoś miałam potrzebę napisania tego w dzienniku. W każdym razie całą jego reakcją na mój wywód było drwiące spojrzenie.

23 lutego

Powracając jeszcze do rozmowy z Bałwanem o klęskach Niemców. Dwa dni po owej rozmowie w bibliotece spacerowaliśmy po ogrodzie. Wtedy on zupełnie niespodziewanie powiedział łagodnym głosem: „Nigdy nie rozmawiajmy w zamkniętych pomieszczeniach o Wąsie, aliantach, klęskach i tym podobnych. To jest niebezpieczne. Najlepiej w ogóle na ten temat nie rozmawiajmy. Kiedyś może ci to wyjaśnię”. Jego słowa dały mi do myślenia. To mogło oznaczać, że on czegoś się obawia. Jakby w domu ktoś podsłuchiwał nasze rozmowy. To też mnie trochę przestraszyło, bo przecież ktoś mógł odkryć moje praktyki z lekarstwami.

27 lutego

Dziś są moje urodziny. Czułam się trochę zbita z tropu. Przyniósł mi wielki bukiet kwiatów i piękne pozłacane pióro. To bardzo miły gest. Naprawdę zrobiło mi się przyjemnie. Oczywiście starałam się zachować chłodno. W pierwszym odruchu chciałam go uściskać, ale się opanowałam. Podziękowałam uprzejmie, acz oficjalnie.

On zakręcił się po pokoju, niby czegoś szukał i szybko wyszedł, jakby niezadowolony z mojej mało entuzjastycznej reakcji.

5 marca

Na dworze jeszcze chłodno. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie już więcej słońca. Wtedy będzie można ruszyć z pracami w ogrodzie. Jestem taka ciekawa, czy wszystkie krzewy się przyjęły, jak będą rosły itd. Bardzo to lubię. Ciekawa też jestem, czy uda nam się zebrać jakieś owoce i warzywa. W tamtym roku zbiory nie były najlepsze. Chciałam część warzyw przesłać do szpitala jenieckiego i nawet wysłałam, ale nie było tego zbyt wiele. Mam nadzieję, że tym razem wyślę więcej.

7 marca

Wczoraj Bałwan znalazł sobie kolejny temat do rozważań: po co ludzie mają dzieci.

Nie sądzisz, że posiadanie dzieci to potworna mordęga? Małe potworki wrzeszczą, ciągle czegoś chcą i są ograniczone umysłowo - stwierdził.

Nie odpowiedziałam, bo przejrzałam jego chytry plan.

No, powiedz coś, ty na pewno jako panna z dobrej katolickiej rodziny masz swoje niezbyt oryginalne wyobrażenie o szczęśliwym życiu. Bogoboyny mąż, na pewno patriota, i gromadka dzieci. To szczyt twoich ambicji. Nie mam racji?

Niepotrzebnie się wysilasz - odpowiedziałam. - Nie dam się sprowokować. I na pewno nie będę ci się

zwierzać z moich wyobrażeń o szczęściu.

On jednak nie dawał za wygraną:

Ale jak można lubić dzieci, to chyba sprzeczne z ludzką naturą.

Twoje problemy mało mnie obchodzą. To nie miej dzieci, co mi do tego?

Ale chciałbym wysłuchać opinii osoby, która ma inne zdanie.

Daj mi spokój, poradź się stryja. A jak będziesz miał dziecko, to zaraz wyślij je do internatu. Będziesz miał czyste sumienie, że spłodziłeś potomka wspaniałego rodu. A że to biedne dziecko będzie miało tak samo zwichrowany charakter jak ty, to już pewnie nie będzie cię obchodzić.

Ale co ja poradzę, że dzieci mnie męczą?

Nie wiem, w ogóle mnie to nie interesuje.

A wiesz, że dzieci potrafią być dwa razy bardziej okrutne niż dorośli?

Machnęłam tylko ręką.

*

W trakcie tłumaczenia pamiętnika Anny sierżant Karzycki postanowił wyrzucić wszystkie zdania dotyczące lekarstw. Przypomniawszy sobie słowa porucznika Groszewskiego, który spędził sporo czasu w jenieckim szpitalu. Groszewski wspominał, że któraś z pielęgniarek tłumaczyła choremu, iż jest nadzieja na potrzebne

lekarstwo. Trzeba cierpliwie poczekać, aż pewna wpływowa niemiecka dama je załatwi. Może to właśnie ta Polka?

Sierżant zastanawiał się, co ona robi w Gross Born. Domyślał się oczywiście, że to kochanka komendanta, ale też zdawał sobie sprawę, że nie jest tu z własnej woli. A dostarczanie przez nią lekarstw odbywa się potajemnie. Dlatego wyrzucił zdania o tym, wierząc, że drugi tłumacz, właśnie ów Groszewski, także to robi. Przeliczył się. Gdy już obaj byli w obozie, indagowany przez sierżanta Groszewski powiedział:

- A dlaczego mam się narażać dla jakiejś lafiryndy, która zadaje się ze Szkopem? Oczywiście, że przetłumaczyłem wszystko. Przecież on jej nic nie robi. Bez przesady.

- No to ładnieś mnie załatwił. Komendant łatwo pozna, że obie wersje się różnią - odparł zgnębiony Karzycki.

- Co ja poradzę, że jesteś takim kretynem? Chcesz chronić kochankę komendanta?!

Karzycki machnął z rezygnacją ręką. Spodziewał się teraz zapowiadanej przez komendanta kary. Ale nic się nie wydarzyło. I nie mogło się wydarzyć, bo Franz miał głowę zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

Nie mógł się doczekać końca tłumaczenia. Gdy obaj Polacy oddali mu zapisane kartki, natychmiast zabrał się do czytania. Nie porównywał obu wersji. Rzucił tylko okiem na niektóre akapity jednego i drugiego tekstu. W

treści były podobne. Franz czytał szybko. Przerzucał niecierpliwie kartki. W pewnym momencie zaczął się uśmiechać. Na chwilę przestawał czytać i wodził placem po literach. Potem czytał dalej. Niektóre fragmenty czytał po kilka razy. Gdy skończył, podszedł do okna, otworzył je. Głęboko wciągnął powietrze. Założył ręce za głowę. Nucąc jakąś piosenkę pod nosem, wrócił do stołu, zebrał pieczołowicie kartki. Wybrał spośród nich cztery i schował do szuflady, którą zamknął na klucz. Resztę spalił.

Anna właśnie przekroczyła próg domu. Bała się, że Franz zacznie pytać, co robiła w mieście. Gorzej, gdy dowie się od żandarmów o pobycie na poczcie. Weszła do pokoju z zamiarem zagadania go. Siedział przy biurku i coś pisał. Podniósł głowę, uśmiechnął się. Rozmawiali przez chwilę, ale Franz o nic nie wypytywał. Anna miała wrażenie, że jest jakiś inny, mniej spięty. Gdy jedli kolację, śmiał się, dowcipkował.

- Dziś czytasz Romea i Julię w oryginale - zarządził.

Poszli do biblioteki. Anna, trochę zdumiona, wzięła książkę do ręki.

- Zawsze uważałeś, że to dość nędzny romans - przypomniała.

- Nadal tak uważam, ale mimo wszystko jest napisany pięknym językiem stwierdził Franz.

Anna przeczytała kilka fragmentów.

- A ty co o tym sądzisz? - spytał znienacka.

- O czym?

- O tej historii.

- Myślę, że mieli pecha. Szekspir opisał dzieje dwojga nieszczęśliwych ludzi, którzy z powodu miłości popełnili samobójstwo. Ale chodzi o to, że Szekspir opisał tę historię na tyle przekonująco, że setki tysięcy nieszczęśliwych kochanków potrafiło w niej odnaleźć siebie. Mimo że nie wszyscy odbierali sobie życie.

- Można by złośliwie dopisać drugą wersję. Kończy się szczęśliwie. Romeo i Julia biorą ślub. A po czterech latach nienawidzą się tak, że nie mogą na siebie patrzeć. On ucieka do swoich kochanek, ona popada w dewocję i godzinami przesiaduje w kościele. Nawet rodzą im się dzieci, ale rodzicie się nimi nie zajmują. Od tego są niańki. W taki sposób Romeo i Julia trwają do śmierci. Przecież tak to zazwyczaj się toczy...

- Widzę, że masz smutne wspomnienia z dzieciństwa
- stwierdziła Anna.

- Czyżbyśmy natknęli się niespodziewanie na Zygmunta Freuda w spódnicy? - zaśmiał się Franz. - Szlachetna Anna oczywiście wierzy w historię nieszczęśliwych kochanków, którzy, gdyby udało się przezwyciężyć trudności, żyliby jak w raju. Słodki obrazek jego i jej w czułym uścisku nawet w wieku sześćdziesięciu lat.

- Jeżeli ty się boisz małżeństwa z jedną z tych twoich niemieckich panien na wydaniu, to naprawdę nie jest to mój problem - odrzekła Anna.

- Jest więc możliwy związek doskonale szczęśliwy, w

którym dwoje ludzi kocha się aż do śmierci?

- Mogę się już położyć? Jestem zmęczona. Twoje prowokacje mnie nużą.

Franz zaśmiał się.

- Tak, chodźmy już spać.

Gdy leżeli w łóżku, on nagle odezwał się:

- Przytul się do mnie z własnej woli, dlatego że chcesz. Zapomnijmy na chwilę o tym, kim jesteśmy, gdzie i co będzie jutro.

Uległa nastrojowi chwili.

- O, właśnie tak powiedział cicho.

Było im dobrze jak jeszcze nigdy do tej pory.

O godzinie trzeciej nad ranem do domu komendanta wpadł Knopfe. Nie zamknąwszy nawet drzwi, wbiegł po schodach na górę.

Franza i Annę obudziło łomotanie do drzwi.

- Panie majorze, więźniowie chcieli uciec! - krzyczał Knopfe.

Steinberg zerwał się, błyskawicznie ubrał i razem z Knopfem popędził do samochodu.

Anna założyła szlafrok i zeszła na dół. W holu Edyta dyskutowała z kucharzem.

- Co się stało?

- Dwóch jeńców usiłowało uciec z obozu. Strażnicy ich zastrzelili, gdy byli już za ogrodzeniem - relacjonowała pokojówka.

- Wracajcie do swoich pokojów. Nie ma potrzeby, abyście tu stali - powiedziała Anna.

Sama też wróciła do sypialni. Siadła przed lustrem i oparła głowę na rękę. Czar prysł, rzeczywistość bezlitośnie dała o sobie znać. Położyła się do łóżka, ale długo nie mogła zasnąć. Myślała o tym, dlaczego ci ludzie musieli zginąć. I o tym, że nigdy więcej nie powinna sobie pozwalać na takie zapomnienie. Powrót do rzeczywistości jest zbyt bolesny. Należą do różnych światów. Po dwóch stronach barykady. I trzeba się z tym pogodzić, bez żadnych złudzeń.

Zasnęła nad ranem. Gdy się obudziła, Franz spał obok, widocznie wrócił niedawno. Patrzyła na niego i oczyma wyobraźni widziała, jak znów wyrasta między nimi mur, dwa razy grubszy niż poprzedni.

Edyta przy śniadaniu była bardzo podekscytowana.

- Fraulein Ana, co się działo, żeby pani wiedziała. Dwóch Polaków chciało uciec. Nie mieli żadnych szans. A i tak dziw, że strażnicy tak późno się zorientowali. - Edyta nabrała powietrza, by opowiadać dalej: - Komendant przyjechał. Był wściekły. Wezwał do raportu strażników, którzy mieli służbę. Oskarżył ich o niedopełnienie obowiązków. No, a potem to chcieli postawić jeńców na placu apelowym do rana albo i na cały dzień, ale komendant powiedział, żeby nie zawracać mu głowy tymi wszystkimi apelami. Że jeńcy i tak przekonali się, jak kończą się ucieczki z obozu.

- Skąd to wszystko Edyta wie?

- Przypadkowo usłyszałam, jak Knopfe opowiadał to szoferowi. - Edyta ściszyła głos.

- Edyta musiała dość wolno przechodzić obok rozmawiających, bo to długa historia.

- Może nawet przystanąłam, no ale to przecież nie jest żadna tajemnica państwowa.

- Kiedy komendant wrócił?

- Przed dwiema godzinami.

Po śniadaniu Anna wyszła do ogrodu.

- Szofer mówi, że dwóch wrogów mniej... - Hans zawiesił głos.

Ona milczała.

- Nic pani nie mówi? - zapytał ogrodnik.

- A co tu można powiedzieć. Jestem przygnębiona jak ty - odrzekła. - Weźmy się do pracy, żeby o tym nie myśleć - dodała.

Zbliżała się pora obiadu. Anna weszła do jadalni. Franz czekał na nią. Siadła bez słowa przy stole.

- Jest wojna powiedział.

- Doprawdy?

- Przestań. Taki jest regulamin. Gdy więzień ucieka, wtedy się strzela. Jeńcy dobrze o tym wiedzą. A ci dwaj zachowali się jak klasyczni samobójcy.

- Morderstwo jest morderstwem, strzał w plecy to strzał w plecy i nic więcej.

- Posłuchaj mnie. To są jeńcy. Trwa wojna...

- Franz, twoje relatywizowanie winy Niemców jest żalosne.

- Zmieńmy temat - zaproponował. - Musimy być ostrożniejsi. Kruger podobno wysłała do Berlina raporty

na mnie. Na szczęście oni mają na głowie ważniejsze sprawy - dodał po chwili.

W jadalni zapadła cisza.

7

Jan Klimuszko zastukał do drzwi Lubienieckich. Był zaprzyjaźniony z rodziną, więc gdy Katarzyna otworzyła, bardzo ucieszyła się na jego widok.

- Co słyhać, panie Janie, dawno pan do nas nie zaglądał.

- A bo nie było okazji - odrzekł.

Katarzyna dopiero teraz zauważyła, że listonosz dźwiga paczkę.

- To dla nas? - zapytała.

- Ano tak, szanowna pani, trochę dziwnie zaadresowana, że niby do jakiejś Margarity, ale państwa nazwisko też tu jest i adres się zgadza...

- Margarity?

- No, Margarity. No, paczkę trochę rozkradli na poczcie, bo jak jeszcze zobaczyli, że to pewnie dla jakiejś Niemki, to zaraz zaczęli rozdrapywać. Ale trochę uratowałem, bo ja przecież wiem, że u was żadnej Margarity nie ma, znaczy się to dla was. Ale wie pani, jacy ludzie są. Bieda straszna...

- Nic z tego nie rozumiem...

- Tak czy siak, paczka jest na ten adres, więc niech pani bierze...

- Nie, nie, panie Janie, zaraz, niech pan wejdzie, zobaczymy, co jest w środku...

- No, jest tam jakiś liścik - powiedział. - Ale ja nie

czytałem - dodał szybko.

Jan wszedł za gospodynią domu do środka. Usiedli przy stole.

- Napije się pan czegoś?

- Nie, nie.

- Dziękuję, panie Janie, że pan tak o nas myśli, ja muszę się panu jakoś odwdzięczyć - oznajmiła Lubieniecka, rozpakowując do końca otwarte po części pudło.

- Proszę, to dla pana i dzieci. Podała mu czekoladę i cukier.

- Nie, nie, szanowna pani, ja nie dlatego...

- Panie Janie, czasy są ciężkie, trzeba sobie pomagać. Niech pan weźmie, naprawdę. Musimy się wspierać wzajemnie...

- No, ale wie pani...

- Tak, tak, panie Janie, no, dziękuję bardzo. - Katarzyna odprowadziła listonosza do drzwi.

- Dziękuję bardzo, dziękuję - kłaniał się.

- To ja dziękuję. Do widzenia - powiedziała, zamykając za Klimuszką.

Zaintrygowana wróciła szybko do pokoju. Wzięła do ręki kopertę. Była zaadresowana do Margarity Faust. „To ci dopiero historia!” - pomyślała. Spojrzała jeszcze raz na adres wypisany na paczce. Wszystko się zgadzało. Wyjęła z koperty list. Był napisany po niemiecku.

Droga Margarito, martwiłam się, jak sobie radzisz w

Warszawie. Postanowiłam zrobić Ci niespodziankę na urodziny i wysłać kilka rzeczy. Mam nadzieję, że Cię ucieszą. Następnym razem napiszę dłuższy list.

Pozdrawiam

Anna

Katarzyna przeczytała tekst dwa razy i nagle zaczęła płakać. Tak samo jak wtedy, gdy zadzwonił telefon, a w słuchawce odezwał się głos Anny.

- To ona, na pewno - odezwała się głośno, połykając łzy. - Więc żyje!

Przypomniała sobie, jak przed wojną Anna pisała pracę z Fausta Goethego. Jak rozmawiali z ojcem na ten temat, jak się kłócili o interpretację jakiegoś fragmentu.

Lubieniecka nie mogła doczekać się powrotu Heleny.

- Widzisz, a ty myślałaś, że ja oszalałam - powiedziała na widok wchodzącej do domu córki. - Wtedy, gdy zadzwonił telefon, tak myślałaś...

- Mamo, o co ci chodzi?

- Masz, masz, zobacz sama, to jest namacalny dowód!

- Katarzyna wskazała na rozpakowaną paczkę na stole.

- Co to jest? spytała Helena.

- Paczka, paczka i list. Masz, czytaj...

Helena wzięła do ręki kartkę. Spojrzała na matkę. Katarzyna znów zaczęła płakać.

- To ona, oczywiście, że ona. Jest gdzieś tam, żyje, może udaje kogoś innego... No nie wiem. Nie wiem, ale to na pewno ona. Margarita Faust? Kto inny mógł to

wymyślić, jak nie Anna?

- Ale ta paczka jest dla nas? - Helena wciąż nie dowierzała.

- Patrz, patrz, jest nasz adres, nasze nazwisko...

- Boże, to niewiarygodne. - Helena zakryła dłonią usta. Jej także łzy zaczęły ściekać po policzkach.

Matka przytuliła ją mocno i chwilę stały nieporuszone.

- Mamo - Helena podniosła głowę z ramienia matki, bo nagle coś sobie przypomniała. - Nie przesadzaj, wcale nie mówiłam, że oszalałaś, przecież potem wszyscy mówiliśmy, że mamy dowód na to, że Anna żyje. No, nie mów teraz, że ja ci nie wierzyłam.

- Wierzyłaś, ale nie do końca, bałaś się uwierzyć, a teraz mamy dowód. Ona żyje i jakoś sobie radzi. Reszta jest nieważna.

Po śmierci jeńców Anna i Franz rozmawiali ze sobą niewiele. Potem byli wobec siebie tylko uprzejmi. Franz stracił na animuszu. Ale był też bez przerwy zajęty, bo wciąż przywożono lub wywożono jeńców. Warunki w obozie były coraz gorsze. Choroby siały spustoszenie.

Któregoś ranka Franz bardzo źle się poczuł. Najpierw myślał, że to lekkie przeziębienie. Bolała go głowa i dopadły typowe dolegliwości, jak ból gardła, katar i przede wszystkim kaszel. Specjalnie się tym nie przejął i pracował jak zwykle. Wieczorem poczuł, że jest wykończony.

- Powinieneś się położyć. Dam ci coś na przeziębienie. Trzeba, żebyś się porządnie wypocił, gorąca kąpiel, herbata z malinami, a potem przykryję cię całą górą kołder - powiedziała Anna.

Franz mruczał coś pod nosem, żeby mu nic matkowała, ale potem posłusznie zrobił to, co kazała. Następnego dnia wstał i przez chwilę myślał, że czuje się lepiej, ale po śniadaniu nogi się pod nim ugięły. Dostał wysokiej gorączki.

- Tak podziałały te twoje metody - zrzędził.

- Boże, nie ma nic gorszego niż chory mężczyzna - westchnęła.

Ułożyła go w łóżku, wezwała lekarza. Diagnoza przeraziła ją nie na żarty: ostre zapalenie płuc. Gorączka rosła. Franz majaczył we śnie. Rzucił się. Anna czuwała prawie całą noc, zasypiając tylko na kilka minut. Robiła mu okłady na czoło, by choć trochę obniżyć temperaturę.

Ledwie przymknęła oczy, zaczynał krzyczeć przez sen. Właściwie nie tyle krzyczał, ile bełkotał lub jęczał.

Wciąż robiła mu zimne okłady, podawała wodę do picia. Czuła się zupełnie zagubiona. Lekarz pojawił się jeszcze raz rano, podał leki. Nie chciał powiedzieć, czy sytuacja jest bardzo groźna. Anna poprosiła Hansa, aby przysłał swoją córkę. Berta przyjechała i obiecała pomóc.

- Choć obawiam się, że tak naprawdę to pozostaje nam czekać. On ma silny organizm, poradzi sobie. Niech się pani nie martwi próbowała ją pocieszać.

Anna była zrozpaczona. Teraz mogła sobie pozwolić

na okazywanie uczuć. Przy Bercie rozpląkała się:

- Niech pani powie szczerze, czy on umiera?

- Nie, nie. Nie wiem. Rozumiem pani niepokój, ale nie mogę powiedzieć na pewno, jak poważny jest jego stan. Z zapalenia płuc się wychodzi, choć niepokoi mnie, że wysoka gorączka utrzymuje się tak długo. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Jeżeli nie będzie powikłań... Lekarz nad nim czuwa. Naprawdę będzie dobrze - Berta przytuliła Annę ale możemy tylko czekać...

- Nie! Nic będziemy czekać. - Anna zerwała się na równe nogi i otarła łzy. - Musimy coś zrobić.

Zawołała Edytę.

- Dziesięć kieliszków, spirytus, wate, miske z ciepłą wodą i zapalki - wyrzuciła to z siebie jak rozkaz.

Edyta zbaraniała, ale widząc, że sytuacja jest poważna, odwróciła się na pięcie i pobiegła spełnić polecenie. Berta, która umiała chyba tylko opatrywać rannych, patrzyła na Annę zdumiona.

- Obróćcie go na brzuch i ściągnijcie koszule z pleców - zarządziła Anna, gdy zjawiła się Edyta ze wszystkimi rzeczami.

Zanurzyła kieliszki w wodzie, następnie wytarła do sucha. Każdy przecierała od wewnątrz watą zanurzoną w spirytusie, po czym zapalała i kładła nóżką do góry na plecach Franza. Ogień gasł, a kieliszek przysysał się silnie, tworząc na skórze przekrwiony wzgórek. Berta pomagała, a potem przykryła plecy Franza kocem. Wstrząsały nim takie dreszcze, że kieliszki dzwoniły o

siebie.

Cóż, kłopoty zdrowotne Jasia i częste wizyty u Martynowicza na coś się przydały. Takie sposoby leczenia, czasem nad podziw skuteczne, stosowane były nagminnie.

- Trzeba dać znać jego matce - powiedziała Anna, wycierając czoło.

Poprosiła Edytę, aby wezwała Knopfego.

- Sądzę, że należałoby powiadomić panią Eleonorę. Chciałabym, abyś to ty się tym zajął - oświadczyła.

Knopfe wrócił po czterdziestu minutach.

- Pani Eleonora chce tutaj przyjechać. Twierdzi, że natychmiast zdobędzie odpowiednie pozwolenia. Zamierza tu być jutro wieczorem - powiedział.

- Niestety chodzą parami mruknęła Anna.

- Słucham?

- Nic, nic. Przygotujemy się na przyjazd pani Eleonory.

Anna kazała przygotować najbardziej reprezentacyjny pokój w siedzibie komendanta.

- Wstawcie świeże kwiaty. Wszystko tam musi lśnić - mówiła Edycie.

Berta wróciła już do szpitala. Anna poszła po kilka książek do biblioteki, a potem właściwie już nie opuszczała sypialni. Franz albo spał niespokojnie, albo budził się i leżał z otwartymi oczami bez ruchu. Co chwila kaszlał. Anna podawała mu lekarstwa zlecone przez lekarza. Usiłowała zmusić go do picia, ale bezskutecznie.

- Siedz tutaj, nigdzie nie odchodź - mówił Franz ochryplym głosem.

Siedziała więc. Edyta przyniosła jej kolację do pokoju. Kolejną noc znów prawie nie spała, czuwając przy chorym. Rano przyszła Berta.

- Teraz ja posiedzę, pani niech idzie się przespać - oświadczyła.

Anna spała pół dnia. Gdy się obudziła, z nadzieją ruszyła do pokoju, w którym leżał Franz. Ale niestety, nic się nie zmieniło.

- Za dwa dni możemy się spodziewać przesilenia choroby - usłyszała od lekarza.

Wieczorem w Gross Born pojawiła się elegancka limuzyna. Eleonora von Steinberg energicznym krokiem wkroczyła do domu.

- Gdzie jest Fraulein Anna? - spytała, zdejmując rękawiczki i kapelusz.

- Przy panu komendancie - odparła Edyta, odbierając od niej płaszcz.

Eleonora kazała zanieść bagaże do swojego pokoju i ruszyła do syna.

- Witam, może pani już iść do siebie. Teraz ja będę czuwać - oświadczyła, wchodząc do sypialni.

- Dobry wieczór. Tu są lekarstwa, które Franz powinien przyjąć za godzinę - Anna próbowała być miła.

- Muszę naradzić się z lekarzem. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zabiorę go do Berlina do dobrego szpitala, ale zapytam jeszcze o zdanie lekarza.

- Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie... - zaczęła Anna.
- Nie jestem go specjalnie ciekawa, ale... dobrze, co pani chciała powiedzieć?
- Myślę, że podróż w jego stanie jest niebezpieczna.
- Czy jest pani lekarzem?
- Nie...
- To dziękuję bardzo. Wolę porozmawiać ze specjalistą - oświadczyła stanowczo Eleonora. - Dziękuję, może pani odejść - powtórzyła z naciskiem, odwracając się do Anny plecami.

Anna uśmiechnęła się smutno i wyszła. Jedno było pewne, że pani Eleonora nic zamierzała więcej się z nią spotykać. I Annę niezwykle to ucieszyło. Postanowiła zaszyć się w swoim pokoju.

Pani Steinberg siedziała przy chorym całą noc.

- Ana? - Franz na chwilę się ocknął.
- Nie, to ja, kochanie, położy się odpowiedziała Eleonora.

- Chcę, żeby tu przyszła Ana - zażądał.

- Spokojnie, jest niedaleko.

Mina Eleonory jasno wskazywała, że jest dość rozczarowana chłodnym przyjęciem syna. Franz chwilę potem zapadł w niespokojny sen.

Zgodnie z przewidywaniami Anny lekarz na propozycję Eleonory krzyknął: „Czy pani chce zabić syna?”. Matce nie pozostawało więc nic innego, jak pozostać w Gross Born. Zmieniając pidżamę Franzowi, zauważyła wielkie sine plamy po bańkach, a Edyta,

chcąc pochwalić zaradność Anny, opowiedziała, co zaszło. Wściekła Eleonora poskarżyła się lekarzowi.

- Moim zdaniem uratowała mu życie! - skwitował to jednoznacznie, trochę na wyrost, bo Eleonora zaczęła mu już grać na nerwach, Annę zaś darzył sympatią. - Wstyd mi, że sam na to nie wpadłem... - dodał, by zwiększyć efekt.

Po południu Franz zasnął już spokojniej. Po dwóch godzinach obudził się i poprosił o coś do jedzenia. Eleonora była szczęśliwa. On jednak był tak osłabiony, że zjadł niewiele. Ale dało się zauważyć, że gorączka odrobinę spadła.

- Widzisz, Franz, jak tylko przyjechałam, od razu ci się poprawiło - powiedziała do syna.

- Tak, tak mam, oczywiście - uśmiechnął się blado.

Wieczorem Eleonorze wydawało się, że syn śpi. Wezwała wtedy do siebie Edytę.

- Niech Edyta poprosi Fraulein Brandt, aby przyszła tu do gabinetu. Niech Edyta poda nam herbatę i ciastka - zarządziła.

Pani Steinberg uwielbiała słodkie. To była jedna z jej największych słabości.

Anna była zdumiona, gdy Edyta zakomunikowała jej wolę matki Franza. „Czego ona chce? Do tej pory traktowała mnie jak powietrze” - pomyślała.

- A jak czuje się komendant? - spytała.

- Już lepiej, gorączka spadła - odpowiedziała pokojówka.

- Tyle dobrego - westchnęła panna Brandt, schodząc na dół.

Eleonora siedziała w głębokim fotelu z filiżanką herbaty w ręce.

- Siądź, moja droga - odezwała się. - Wezwałam panią tutaj, ponieważ chcę porozmawiać o pani przyszłości.

- O mojej przyszłości? - Anna nie kryła zaskoczenia.

- Tak, tak, o pani. Proszę mówić trochę ciszej. Zostawiłam otwarte drzwi do pokoju Franza. bo może się obudzić i o coś poprosić - powiedziała Eleonora i odstawiła filiżankę. - Otóż, być może uważa pani, że byłam dość oschła w stosunku do niej. Rzeczywiście, brakuje mi otwartości na ludzi - mówiła dalej. - Jednak trochę się martwię o panią. Obawiam się, że może zbyt szybko pani zaangażowała. Matka Franza splotła dłonie i zaraz je rozplotła. - Być może czuje się pani związana z Franzem. Może on nawet coś pani obiecywał... Rozmawiam teraz z panią dlatego, by przestrzec i zapobiec pani wielkiemu rozczarowaniu.

W sąsiednim pokoju Franz akurat się ocknął. Usłyszał głos matki.

- Otóż, czy Franz pani coś obiecywał? - pytała Eleonora.

Franz nastawił ucha.

- Chodzi pani o to, czy obiecywał mi małżeństwo? spytała Anna.

- Na przykład.

- Tak, oczywiście. Bardzo się kochamy i Franz obiecał, że jak tylko skończy się wojna, to się pobierzemy. Pytałam go o to kilka razy i w końcu to przyrzekł. Powiedział, że już pani to zakomunikował. Franz chce ze mną być do końca życia. Jestem taka szczęśliwa... - Anna starała się mówić głosem cichym i miłym. Przerywała swoją wypowiedź westchnieniami.

- Naprawdę obiecywał pani coś takiego? - W głosie Eleonory słyhać było przerażenie.

Tymczasem Franz w sąsiednim pokoju śmiał się bezgłośnie.

- Tak, powiedział mi to nie dalej jak tydzień temu. To pani o niczym nie wie? - Spojrzenie Anny było tak niewinne, jak tylko to możliwe w jej sytuacji.

- Nie, nie wspominał nic na ten temat. Moja droga - Eleonora głęboko wciągnęła powietrze - niestety muszę panią pozbawić złudzeń. Franz - być może to moja wina, że go tak źle wychowałam - lubi zwodzić kobiety. Obiecuje coś, bo mu tak wygodnie, ale w rzeczywistości nie zamierza tych obietnic wcale dotrzymywać. Nie wydaje mi się możliwe, aby mogła pani poślubić mojego syna. Proszę mi wierzyć, ja wiem, jakiej kobiety potrzebuje Franz. Kobiety, która będzie mu dorównywać pozycją, inteligencją. Nie chcę pani urazić, ale tak będzie dla pani lepiej. Będzie pani bardzo źle w naszym środowisku. Jeżeli ktoś nie pasuje do jakiegoś grona, to jest mu bardzo trudno przewyciężyć różne bariery. Obserwowałam panią na balu. Pani źle się tam czuła.

Nieswojo. To było widać na pierwszy rzut oka.

- Ale przecież miłość jest najważniejsza. A on mi przyrzekł...

- Rozumiem pani rozgoryczenie, ale lepiej, aby pani poznała prawdę wcześniej, niż żyła złudzeniami. Proszę zrozumieć. Może lepiej będzie dla pani zostawić Franza, nie marnować sobie życia i poszukać dobrego męża, bo nic mam wątpliwości, że na takiego pani zasługuje. Franz z braku innego towarzystwa trzyma tu panią i - przyznaję nawet dość długo. Ale nie oszukujmy się, jest wojna i dlatego jeszcze pani nie rzucił. Ale zrobi to, gdy tylko będzie miał większą swobodę. Ja znam mojego syna.

- Mam więc wyjechać? Uważa pani, że nie jestem godna pani syna? - spytała Anna płaczliwym głosem.

- Nie mówię, że ma pani wyjechać natychmiast. Chcę panią tylko psychicznie przygotować na zawód, jaki panią czeka.

- Ale pani jest taka dobra, taka wspaniałomyślna. Kocha pani Franza. Przecież chce pani jego szczęścia? Pani pomoże nam przezwyciężyć te bariery. - Anna z przymilnym uśmiechem chwyciła Eleonorę za rękę.

Franz zakrywał usta, aby nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Eleonora cofnęła rękę skrzywiona.

- Niestety, nic na to nie poradzimy. Lepiej niech pani zapomni o Franzu, zacznij nowe życie.

Anna, która do tej pory siedziała wyprostowana jak struna ze złączonymi grzecznie kolanami, teraz wstała. Podeszła do stolika i nalała sobie kieliszek koniaku.

Potem siadła wygodnie w fotelu.

- Przepraszam. Ja żartowałam - powiedziała.

- Słucham? - zdziwiła się Eleonora.

- Gdy usłyszałam pani wstęp, nie mogłam się powstrzymać i zażartowałam sobie z pani. - Anna wypła odrobinę koniaku.

- Jak to?

- Franz nie proponował mi ślubu ani też ja nigdy nie myślałam o tym, żeby wyjść za niego za mąż. Umówiliśmy się po prostu, że na czas pobytu w Gross Born będę z nim mieszkać. A jak tylko to się skończy, rozstaniemy się w przyjaźni i koniec. Proszę się nic obawiać. Nie grozi waszej rodzinie mezalians. Ale pani nachalność w ingerowaniu w życie innych tak mnie rozdrażniła, że postanowiłam sobie z pani zażartować. - Anna wzruszyła ramionami.

Spodziewała się, że Eleonora zacznie teraz mówić wzburzona o bezczelności, braku dobrego wychowania i że wściekła przerwie rozmowę. Ale matka Franza siedziała nieporuszona. Po chwili rzekła:

- Udało się pani mnie nabrać. Naprawdę była pani przekonująca. Ale co to za określenie „nachalność”?

- Jakim prawem ingeruje pani w nasze życie? Przyjechała tu pani udzielać rad? Co za tupet. Pani chyba bardzo się nudzi, proszę więc zająć się działalnością społeczną, zamiast planować życie swego syna. - Anna był zdumiona własną śmiałością. - Wyobrażam sobie, że niejedną dziewczynę pani tak gnębiła. A te nieszczęsne

pewnie się jeszcze podlizywały. Franz nie jest dzieckiem. Gdyby był słabym psychicznie mężczyzną, zniszczyłaby mu pani życie. Na szczęście on się tym wszystkim specjalnie nie przejmuje. - Anna nabrała powietrza.

Franz kiwał głową, uśmiechając się.

- Zresztą pani troska jest zupełnie zbędna. Wychowała go pani na zapatrzonego w siebie aroganta, na pewno nie będzie sobie zawracał głowy jakąś tam nauczycielką spod Frankfurtu. Znajdzie sobie żonę z odpowiednią pozycją. Inna sprawa, czy którakolwiek z nim wytrzyma, bo jest emocjonalnie niedojrzały. Myślę, że to efekt pani fatalnego wychowania. - Teraz już była niemal pewna, że jej rozmówczyni śmiertelnie się obrazi.

Franz zmarszczył brwi.

Tymczasem Eleonora siedziała spokojnie i patrzyła na Annę z zaciekawieniem.

- Sprawa jest o wiele poważniejsza, niż myślałam mruknęła jakby do siebie, a potem znienacka głośno zapytała: Pani go kocha, prawda?

- Słucham? - Annę zaskoczyło to pytanie.

Franz uniósł się na łokciach, aby lepiej słyszeć ich rozmowę.

- Mimo wszystko pani go kocha, ale jest pani zbyt dumna, żeby się do tego przyznać - stwierdziła Eleonora.

- Całkowicie się pani myli. Nie kocham go i zapewniam, że jak tylko to się skończy, nigdy więcej nie zobaczy mnie pani. Dlatego pozwoliłam sobie na szczerłość.

- Moja droga, gdyby była pani naprawdę taka, jak wydawało mi się na początku, to moje ostrzeżenia dobrze by pani zrobiły - wyjaśniła Eleonora. - Choć przyznaję, że w tym, co pani mówi, jest trochę racji, ale nie za wiele. Ja naprawdę wiem, jaka kobieta byłaby odpowiednia dla Franza. Wbrew temu, co o mnie mówią, jestem w stanie zaakceptować jego małżeństwo. Podejrzewam, że to Elsa naopowiadała pani różnych głupstw. Widziałam, jak rozmawiałyście na balu. Przecież od chwili, gdy Franz skończył siedemnaście lat, widuję go bardzo rzadko. Szaleje po świecie i czasami tylko sobie o mnie przypomina. Jest więc odwrotnie. Chciałabym, aby się ożenił, bo mam nadzieję widywać go częściej. - Eleonora pokiwała głową. Rozumiem natomiast, że pani nie chce się przyznać do swoich uczuć...

- Pani naprawdę się myli. Łączy nas przyjaźń i nic więcej. My do siebie kompletnie nie pasujemy. Jesteśmy z dwóch zupełnie różnych światów. Może kiedyś Franz pani to wytłumaczy, jeśli w ogóle będzie pani tego ciekawa - powiedziała Anna.

- To znaczy jest coś, czego nie wiem?

- Nie, nie. Po prostu nie chcę się zwierzać.

- A więc jednak coś jest...

- Nie, nie, nie ma tu niczego, co byśmy przed panią ukrywali - zapewniała Anna, może nazbyt gorliwie. - Poza tym te wszystkie rozważania są kompletnie bez sensu. Jest wojna, Niemcy są w coraz gorszym położeniu. Czy nie widzi pani, co się dzieje? To, co robi Franz, nie ma

znaczenia...

Eleonora wstała z fotela. Nie chciała słyszeć o wojnie. Cały czas udawała, że wszystko toczy się po staremu. Tym bardziej więc nie zamierzała wdawać się w dyskusję z Anną na temat bieżących wydarzeń.

- Nasza rozmowa była bardzo interesująca. -
Uśmiechnęła się. - I proszę tak o mnie źle nie myśleć
dodała, kierując się w stronę pokoju syna.

Franz leżał już na drugim boku, udając, że śpi.

Anna poszła do swojego pokoju. Była tak zmęczona, że zasnęła niemal natychmiast.

Rano pomyślała, że rozmowa z panią Steinberg była w pewnym sensie zabawna. Nie jest aż takim potworem - stwierdziła, ale nie miała ochoty rozmawiać z Eleonorą. Nie poszła więc do Franza, aby sprawdzić, jak się czuje. Zapytała o to Edytę.

Pan major czuje się całkiem, całkiem. Ma jeszcze trochę gorączki. Ale nawet zjadł śniadanie - wyjaśniła pokojówka.

Anna teraz naprawdę odetchnęła. Pomyślała, że przesilenie już nastąpiło.

W pokoju Franza Eleonora piła kawę.

- Bardzo interesująca ta twoja panna Brandt -
powiedziała. - Oświadczyła, że obiecałeś jej ślub...

- Bo ja się z nią ożenię - zaśmiał się Franz.

- Czy wy wszyscy robicie sobie ze mnie żarty?!

- Kto wie, co przyniesie przyszłość...

- Ona przypomina mi trochę mnie samą w młodości.

- Doprawdy? To już wystarczający powód, aby się z nią nie żenić.

- Franz. przestań. Widzę, że ona ci się naprawdę podoba. Ale mówiąc serio, wiesz o tym, że... Zresztą co ja ci będę tłumaczyć. Tu nie chodzi o to, aby komuś łamać życie, tylko o to, jak ktoś potrafi radzić sobie w innej klasie społecznej...

- Mamo, czy ty sądzisz, że ja mógłbym się ożenić z nauczycielką spod Frankfurtu? Zastanów się.

- Jesteś nieobliczalny, ale chyba rzeczywiście czegoś takiego byś nie zrobił. To dziewczyna na poziomie i boję się, że ty ją zwodzisz. A ona naprawdę zasługuje na kogoś wartościowego. Może ja sama kogoś jej znajdę?

- Mamo, nie martw się. Nic jej nie będzie. I nikogo dla niej nie szukaj. A teraz jestem już zmęczony.

- No dobrze - zgodziła się Eleonora i wyszła z sypialni syna.

Franz w ciągu kilku dni całkowicie doszedł do siebie. Gdy matka usiłowała go namówić na wyjazd do Berlina na rekonwalescencję, wyśmiał ją. Eleonora zaczęła się szykować do powrotu.

- Proszę dbać o Franza - uśmiechnęła się do Anny, wsiadając do samochodu. - Naprawdę życzę pani wszystkiego najlepszego - dodała.

- Dziękuję - odpowiedziała Anna.

W ciągu następnego miesiąca nikt nie zaglądał do siedziby komendanta. Stosunki między Franzem a Anną były nadal bardzo napięte. W chwili gdy Franz

wyzdrowiał, wspomnienie zabitych jeńców wróciło do niej z całą mocą. Rozmawiali więc rzadko. Nie czytali już razem wieczorami. Czasami ze sobą sypiali, ale wtedy, gdy Franz stanowczo tego żądał. Anna zamknęła się w sobie. Mówiła mało. Nawet z Hansem rozmawiała coraz rzadziej. Jakby się załamała. Siedziała najczęściej w bibliotece. Coś czytała i notowała. Franz usiłował jakoś przełamać lody, ale ona była raczej obojętna na te zabiegi. Na zaczepki odpowiadała półsłówkami lub milczała.

Steinberg uważał, że to się zmieni, że Anna potrzebuje czasu, aby przestać myśleć o tamtej ucieczce więźniów. I nie zmuszał jej do niczego. Tym bardziej że był teraz zajęty zupełnie innymi sprawami. Nie mógł o nich rozmawiać z Anną.

Któregoś czerwcowego dnia - gdy na dworze było już całkiem ciepło - w Gross Born zjawił się Konrad Fischer z trzema niemieckimi oficerami. Przyjechał z Warszawy. Bo Franz - tak jak obiecał - wyciągnął przyjaciela z kłopotów i Konrad pozostał w Generalnej Guberni.

Z powodu gości w Gross Born Anna postanowiła w ogóle nie schodzić na posiłki. Nie interesowało jej, po co przyjechali.

Tymczasem Franz godzinami przesiadywał z nimi w ogrodzie, o czymś żywo debatując. Trzeciego dnia ich pobytu Anna przypadkowo wyjrzała przez okno. Zobaczyła, że cała piątka znów siedzi w altanie i dyskutuje. Ale dojrzała też w krzakach czyjąś jasną czuprynę. Podeszła bliżej do okna. W krzakach siedział

szofer Franza, Karl. Wyglądało to tak, jakby usiłował podsłuchać, o czym mówi się w altance, i zapisać to na skrawku papieru. Anna zastanawiała się, co zrobić. Niby to wszystko jej nie obchodziło... Zresztą może szofer był szpiegiem aliantów? A może to rozgrywki wewnątrz armii? Pomyślała, że najlepiej będzie, gdy przerwie naradę.

Zarzuciła na ramiona sweter i zbiegła na dół. Gdy zbliżała się do altanki, zaczęła głośno śpiewać. Oficerowie przerwali rozmowę.

- Ana, co tu robisz? - spytał zdumiony Franz.

- Witam panów. Wyszłam na spacer, poza tym chciałam sprawdzić, jak się mają moje krzewy - odrzekła i ruszyła w stronę krzaków, gdzie ukrywał się szofer. Ten zdążył uciec. - Przepraszam, już wam nie przeszkadzam - powiedziała i poszła w stronę domu.

- Nie widziałaś Karla? - spytała Edytę odkurzającą hol.

- Właśnie wchodził, ale nie wiem, gdzie jest.

Anna weszła do salonu. Nagle zorientowała się, że ktoś w gabinecie lub w bibliotece wykręca numer telefonu. Podniosła delikatnie słuchawkę. Usłyszała głos szofera proszącego o połączenie z gestapo, a potem o spotkanie z szefem policji. A sekretarka, która odebrała telefon, kazała mu przyjść następnego dnia. Anna powoli odłożyła słuchawkę i wybiegła do ogrodu.

Franz ze swoimi gośćmi właśnie szedł w stronę domu.

- Mogę cię prosić? - uśmiechnęła się.

- Trochę dziwnie się zachowujesz, ale to dobrze, że wyszłaś z depresji - stwierdził, kiedy stali już sami.

- Gdy rozmawialiście w altanie, podsłuchiwał was szofer. Widziałam przez okno. Dlatego zeszłam do ogrodu i go spłoszyłam. Potem podsłuchiwałam, jak dzwonił na gestapo, ale na razie nikt nie chciał z nim rozmawiać. Kazali przyjść mu jutro...

Franz nic nie powiedział, tylko ścisnął jej rękę. Pobiegnął do domu. Ona wróciła do swojego pokoju. Potem widziała przez okno, jak wszyscy panowie odjechali spod domu, a samochód prowadził właśnie Karl. Nie było ich kilka godzin. Wrócili z tej wyprawy już bez szofera. Oficerowie szybko spakowali się i opuścili siedzibę Steinberga.

Anna już nigdy potem nie zobaczyła Karla. Nie chciała wnikać w to, co się stało. Edyta usiłowała jej opowiedzieć o jakimś wypadku samochodowym, ale nie zamierzała tego słuchać. Franz też milczał.

Wpadła w całkowite otępienie. Uznała, że już ostatecznie stała się współniczką Niemców. Było jej wszystko jedno. „Jeżeli wojna się skończy i kiedykolwiek uda mi się uciec z tego miejsca, nie mogę wrócić do domu, bo jestem już jedną z nich. Nie jestem Anną Lubieniecką, jestem Anną Brandt. Przeszłość w Warszawie to zamknięty rozdział, do którego nie ma powrotu. Jak do ludzi, których Kocham” - dramatyzowała. „Sprzedałam duszę diabłu, cyrograf podpisany. Jestem

potępiona. Gdybym miała honor, dawno popełniłabym samobójstwo. Ale tego nie potrafię zrobić, nie jestem do tego zdolna".

Potem nękały ją myśli, że w gruncie rzeczy szofer był niewinny, że to były tylko pozory, którym ona uległa, i z lekkim sercem skazała tego człowieka na śmierć.

- On naprawdę chciał na nas wszystkich donieść na gestapo. Gdyby to zrobił, bylibyśmy już na tamtym świecie, ale przedtem błagalibyśmy o śmierć. Ja znam ich metody - oznajmił któregoś dnia Franz, jakby czytając w jej myślach.

Nic nie odpowiedziała.

- Ana, co się z tobą dzieje? Dlaczego w ogóle się nie odzywasz?

- Czego ode mnie chcesz?

- Zaczynaj mnie przeklinać, krzyczeć, rób coś. Dlaczego siedzisz taka osowiała?

- Daj mi spokój - odburknęła.

- Czy ty myślisz, że jesteś jedyna na świecie ze swoim nieszczęściem? Wojna niszczy psychicznie wszystkich, ale nie poddawaj się. Możesz mnie nienawidzić, ale nie poddawaj się - mówił. - Nie użalaj się nad sobą. To nikomu nie pomoże.

- Daj mi spokój powtórzyła.

- Hej, wróć do świata żywych. - Franz potrząsał nią za ramiona. Potem objął i pocałował.

Anna nie broniła się.

W duchu przyznawała mu rację. Rzeczywiście użalała

się nad sobą. Ale nadal pozostała zamknięta w sobie i milcząca.

Franz przestał ją przekonywać. Nie miał na to czasu, bo był niemal bez przerwy zajęty. Często wyjeżdżał. Wracał późno i dlatego rzadko się widywali. Anna - mimo historii z Karlem - nadal nie zadawała sobie pytania, co tak absorbuje Steinberga.

Tymczasem do Gross Born znów przyjechał Konrad.

- To już niedługo - powiedział Franzowi, gdy przechadzali się po ogrodzie.

- Ale kiedy i gdzie?

- Nie wiem i mało kto wie. Szczegóły są znane tylko wąskiej grupie ludzi. Najważniejsze, by czekać w pogotowiu, bo gdy przyjdzie ten moment, trzeba reagować błyskawicznie: przejąć jak najwięcej jednostek i zneutralizować ludzi Hitlera.

- Muszę wiedzieć, kto w tym regionie jest po naszej stronie.

- Nie możesz. - Konrad pokręcił głową. - Zasady konspiracji są tu jasne: jak najmniej o sobie wiemy. Zapewniają tylko, że plan ma szerokie poparcie.

- To jak skok na główką do nieznanej rzeki.

- Nic na to nic poradzą... tak musi być powiedział Konrad. - No, ale chyba nie zamierzasz...

- Przestań, oczywiście, że jestem gotowy.

- Dam ci sygnał. Natychmiast jedziesz do obozu, zbierasz wszystkie oddziały, ogłaszasz ludziom przejęcie władzy przez Komitet.

- Na szczęście pozbyłem się tego cholernego Krugera. Ten nowy jest zwykłą pijaczną, więc z jego strony nic nam nie grozi.

- Ale i tak uważaj na niego.

Franz skinął głową bez słowa.

8

Tego roku lato było upalne. Ten dzień, 20 lipca, Anna zapamiętała na długo. Rano zbierała razem z Hansem owoce, by je oddać szpitalowi jenieckiemu. Po powrocie do domu zajrzała do gabinetu. Franz siedział tam od rana. Rozmawiał z kimś przez telefon kilka razy. A teraz znów stał przy telefonie, jakby czekał, aż ktoś zadzwoni. Twarz miał napiętą. Anna nigdy go takiego nie widziała. Telefon rzeczywiście zadzwonił. Franz drgnął.

- Dobrze powiedział tylko.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z gabinetu. Mijając Annę, rzucił:

- Hitler nic żyje. Przejmujemy władzę. Jadę do koszar. Póki nie wrócę, zamknijcie dobrze dom i nikogo nie wpuszczajcie.

- Ale o co chodzi? - Anna była oszołomiona.

- Był zamach na Hitlera - dodał Steinberg.

Obok Anny pojawił się Knopfe.

- Knopfe, ty pojedziesz ze mną - polecił.

Zbiegli po schodach i wsiedli do samochodu.

„Przejmujemy władzę? Co on mówi?” — myślała gorączkowo. Potem odwróciła się do oniemiałej pokojówki, która była świadkiem ich rozmowy i krzyknęła:

- Edyta, włącz radio!

Edyta podbiegła do radioodbiornika. Słysząc było

trzaski. Potem trochę muzyki.

- Szukaj dalej, może powiedzą, co się dzieje! - popędzała ją Anna.

Ale Edyta robiła to jakoś nieudolnie. Więc odsunęła pokojówkę i sama zaczęła kręcić gałką. Jednak i ona przez dłuższy czas nie mogła złapać żadnej stacji.

Nagle usłyszały z lekka ochryply głos Hitlera. „Zdrajcy, którzy chcieli zaprzedać III Rzeszę, targnęli się na moje życie. Ale ich zbrodniczy plan się nie powiódł...”.

Anna w ułamku sekundy pojęła, co się dzieje. Rzuciła się do drzwi.

Gdzie są kluczyki do drugiego samochodu? Jadę gonić komendanta, a ty dzwoń do kapitana Fischera. Proś o połączenie z Warszawą, z dowództwem w Warszawie! - krzyknęła do Edyty. - No prędzej. Powiedz mu, że Hitler przemawia w radiu. I nic nie mów o tym, co tu widziałas: ani Ricie, ani komukolwiek ze służby - dorzuciła jednym tchem.

Pobiegła do gabinetu, wyciągnęła kluczyki, by móc skorzystać z samochodu. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że strażnicy jej nie puszczą. Bo takie mają rozkazy.

Komendant zapomniał o czymś ważnym, jeśli nie chcecie mnie samej puścić, to niech jeden z was pojedzie ze mną jako eskorta.

Żandarmi zawahali się. W końcu to kochanka komendanta. Szybciej, to bardzo ważne - krzyknęła.

Jeden z nich wsiadł do samochodu. Anna przyciskała

gaz do deski. Wjechali na teren koszar.

Franz stał już przed zgromadzonymi żołnierzami. Zamierzał coś powiedzieć. Nagle zobaczył biegnącą Annę wymachującą rękami. Zaczął kaszleć. Udawał, że się zakrztusił. Ona stanęła w niewielkiej odległości i bezgłośnie powiedziała:

- Hitler żyje.

Franz zmarszczył brwi, bo nie zrozumiał. Ona jeszcze raz poruszyła ustami, tak aby Steinberg domyślił się, o co chodzi.

Franz głośno przełknął ślinę. Zaczął coś mówić stojącemu obok oficerowi, aby zyskać na czasie. Pytał, czy na pewno wszyscy żołnierze znaleźli się na placu. W tym czasie Knopfe podszedł do Anny.

- Hitler przemawia w radiu. Uratował się - szepnęła.

Knopfe stanął za Franzem i, nie nachylając się nawet w stronę komendanta, szepnął bardzo cicho: Hitler żyje, uratował się.

- Żołnierze, nieznani sprawcy chcieli pozbawić życia Führera - zaczął po chwili przemawiać Steinberg. - To się jednak nie udało. Führer nadal stoi na czele Rzeszy...

Anna powoli odsunęła się na bok. Wolnym krokiem podeszła do samochodu.

- Może mnie pan odwieźć do domu - powiedziała do żandarma. Trzęsły się jej ręce.

Gdy byli na miejscu, Anna zapytała Edytę, czy zatelefonowała do Konrada Fischera.

- Tak, właśnie wychodził. Powiedziałam mu, że

Führer przemawia w radiu.

- Wiesz, że to, co tu się działo, musi pozostać w absolutnej tajemnicy? Inaczej wszyscy zginiemy, nawet ci, którzy o niczym nie wiedzieli oznajmiła Anna.

- Wiem - odparła Edyta blada jak prześcieradło.

Anna włączyła radio. Znów puszczała przemówienie Hitlera. Nie mogła tego słuchać. Poszła do ogrodu i siedziała bez ruchu, wpatrując się w kwitnący właśnie żywopłot. Nie była w stanie nic robić.

Tam znalazł ją Hans.

- Słyszała pani - mówił, ledwo łapiąc oddech. - Był zamach na Führera, ale podobnież nieudany. Co pani o tym sądzi?

Anna spojrzała na niego lekko błędnym wzrokiem.

- Ja już nic nie sądzę. Nie wiem.

- Co z nami będzie? Podobno bolszewicy są już całkiem blisko.

- Niech pan po prostu stąd wyjedzie - poradziła Anna.

- Zrobiłbym to dawno, ale Berta się uparła, a bez niej nie pojadę.

- Niech pan jej powie ode mnie, że naprawdę nie warto tu tkwić. Uciekajcie. - Anna wstała z ławki. Wolno poszła w stronę domu.

Franz stał w drzwiach.

- Ana... - zaczął.

Nic nie mów powiedziała. - Chyba że z wdzięczności zamierzasz mi darować wolność.

- Nie mogę. - Franz odwrócił twarz w drugą stronę.

Trudno, to i tak się niedługo skończy. Sama nie wiem, co ze sobą zrobię. Jestem człowiekiem bez tożsamości - sztucznie się zaśmiała.

- Przestań. - Franz wziął ją za rękę. - Świat nie dzieli się tak prosto na złych i dobrych. - Przytulił ją, a ona go objęła.

Po obiedzie siedzieli znów w ogrodzie i cicho rozmawiali.

- To o tym tak debatowaliście? - spytała.

- Tak. Plan był prosty: zabić Hitlera, a potem przejąć władzę w armii. Zadzwoił do mnie Konrad. Jest bezpieczny, ale ponoć gestapo ma go na oku. Gdyby się udało, natychmiast ogłosilibyśmy zawieszenie broni i przystąpili do negocjowania warunków kapitulacji. Bo to, że przegramy, jest pewne. Chcę być z tobą szczery: nadal nie wiadomo, czy ktoś nie zacznie zeznawać w tej sprawie. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Choć myślę, że skoro do tej pory nie przyjechali, to największe zagrożenie minęło. Wiem, że chciałabyś wyjechać, ale w tym czasie to bez sensu. Front jest coraz bliżej. Przedzierać się teraz jest bardzo niebezpiecznie.

- Przestań, po prostu przyzwyczaiłeś się do wydawania poleceń więźniarce.

- Tam naprawdę jest niebezpiecznie - powtórzył.

Anna potarła skronie:

- Przestań się tak o mnie troszczyć. Jesteś obłudny. Boże, jak ja was wszystkich nienawidzę.

- Za co? Za to, że usiłowaliśmy skończyć wojnę?

Spojrzała na niego z politowaniem:

- Zrobiliście to z pobudek czysto egoistycznych, bo poczuliście zagrożenie. Że skończy się luksusowe życie. Ale gdy Hitler wygrywał bitwy, to nikt nie myślał o zamachu. Franz, przynajmniej nie udawaj bohatera.

- Wiesz, co się stanie z zamachowcami? Będą błagali o śmierć. Dla luksusu nic ryzykuje się takich rzeczy. A spisek istniał od dawna. - Franz odwrócił się i wszedł do domu.

Gdy minął mu gniew, wieczorem przyszedł do sypialni i wtedy Anna jeszcze raz zaatakowała.

- Pozwól mi wyjechać. Proszę.

- Nie mogę. Nie rozumiesz, że w tej wojnie nie ma pozytywnych bohaterów? Nawet nie wyobrażasz sobie, co potrafią Rosjanie...

- Nie strasz mnie. Po was nikt już nie może być gorszy.

- Nie wiesz, że bolszewicy zamordowali setki waszych oficerów? No tak, skąd możesz wiedzieć. Ale to Niemcy odkryli masowe groby. Nie ma żadnych wątpliwości, że to NKWD.

- Kłamiesz!

- Po co miałbym to robić? My trzymamy oficerów w oflagach, a oni się nic patyczkują. Zobaczysz, Niemcy odejdą, wpadniecie w szpony Stalina.

- Nie wierzę!

- To nie wierz. Ja nie mam co do tego wątpliwości. A w państwie radzieckim nie ma miejsca dla takich panienek

ze szlacheckich rodów jak ty. Szlachtę i burżuazję wycina się albo wsadza do łagru.

- Jeśli myślisz, że mnie nastraszysz, to się mylisz. Zresztą co ja cię obchodzę?

- Przyzwyczaiłem się, nie chciałbym, aby ci się stała krzywda.

Jestem wzruszona - powiedziała oschle, gasząc światło.

*

Upały były wręcz nic do zniesienia. Franz pracował w swoim gabinecie przy zaciągniętych storach. W całym domu panował półmrok. Wszyscy snuli się jak duchy. Edyta przygasła. Kiedyś szczebiotała na okrągło. Teraz chodziła przybita. Nie była pewna do końca, o co chodzi. Ale domyślała się, że było to coś niebezpiecznego. Cała służba opowiadała sobie po cichu, co stało się z zamachowcami. Pułkownik Claus von Stauffenberg, który podłożył teczkę z bombą, został natychmiast rozstrzelany. Inni uczestnicy spisku umierali w męczarniach, pozawieszani na rzeźniczych hakach.

- Czy to wszystko prawda? - pytała wstrząśnięta Anna.

- Tak. - Franz zamknął oczy. - Drugiego zamachu nie będzie.

- Ale skoro Stauffenbergowi udało się postawić teczkę obok Hitlera, to jak ten zbrodniarz mógł się

uratować?

- Nie wiem, tak dobrze nie znam szczegółów. Słyszałem, że podobno teczka przewróciła się i ktoś ją przestawił dalej od Hitlera. A jego ponoć osłonił dębowy stół - mówił Franz.

- I tak nie wiadomo, czy udałoby się wam przejąć władzę.

- Mieliśmy duże szanse. Nawet nie wiesz, jak wielu oficerów było w to zaangażowanych. Ale teraz to nie ma znaczenia. Cała góra została wymordowana. Ci, którzy byli niżej w strukturach, nawet o sobie nie wiedzą. Dziś nikt nie będzie ryzykował, aby nawiązywać kontakty z pozostałymi spiskowcami. To już koniec.

„Gdyby nie Warszawa, bolszewicy dawno by tu byli”
- mruknął Franz podczas jednej z ich wieczornych dyskusji.

Była połowa sierpnia 1944 roku. Anna natychmiast się ożywiła, ale zbył ją bajkami o niemieckich umocnieniach na Wiśle, które zatrzymywały Armię Czerwoną.

Anna nie dała za wygraną. Najpierw próbowała wypytać Hansa. Prawie nic się nie dowiedziała. W domu szukała niemieckich gazet, których z oczywistych względów wcześniej nawet nie brała do ręki, ale wszystkie numery z ostatnich tygodni zniknęły. Franz zabrał też radio, tłumacząc, że chyba się popsuło i trzeba dać do naprawy.

Jedyne informacje udało jej się zdobyć na początku

października, kiedy gadatliwa jak zwykle Edyta opowiedziała o nowym transporcie jeńców, prosto z Warszawy. Domyśliła się, że w Warszawie doszło do walk.

Mijały tygodnie i nikt nie interesował się mieszkańcami Gross Born. Strach trochę minął. Jesień to czas, kiedy Anna spędzała całe dnie w ogrodzie. Jej warzywniak przypominał prawdziwą fabrykę. Tymczasem z frontu dochodziły nieoficjalne wieści o kolejnych porażkach Niemców. Franz przyjmował je z rezygnacją. Uważał, że Rzesza znalazła się już na równi pochyłej. Tłumaczył to Konradowi, który w listopadzie znów ich odwiedził.

- Musimy się zastanowić, co będzie, gdy Armia Czerwona do nas się zbliży. Nie ma żadnych wytycznych - mówił przyjacielowi.

- Nie ma wytycznych, bo oficjalna propaganda utrzymuje, że nasze wojska wciąż zwyciężają odpowiadał Konrad.

Franz nie miał wątpliwości, że za kilka miesięcy, a może nawet tygodni Rosjanie zbliżą się do Gross Born. Był wściekły, że centrala nie wspomina nic o ewentualnej ewakuacji. Podejrzywał, że chcą ich zostawić jak najdłużej, aż na ucieczkę będzie za późno.

W domu pakowano rzeczy. Wieści o zbliżającym się froncie były coraz bardziej niepokojące. Franz naradzał się z oficerami, jak zorganizować odwrót. Anna prawie w ogóle nie widywała go w ciągu dnia.

Gross Bom znane było z wielu podziemnych korytarzy, ale niewiele osób miało dostęp do szczegółowego planu tuneli. A w razie czego można by nimi uciekać. Tymczasem rozkaz ewakuacji wciąż nie nadchodził. Franz przewidywał, że za chwilę Rosjanie ich otoczą. Obrona nie miała sensu. W tym czasie koszary opustoszały, gdyż niemal wszyscy zostali wysłani na front. Zostało kilku oficerów i garstka żołnierzy. Nie mieli szans, aby stawić jakikolwiek opór. Franz zresztą ani myślał ginąć bohatersko za Rzeszę.

Na początku 1945 roku Anna dowiedziała się, że więźniowie oflagu formowani są w oddziały i pod niemiecką eskortą rozpoczynają przemarsz w głąb Rzeszy. Zostało ich już bardzo niewiele.

W tym czasie Armia Czerwona powoli okrążała Gross Born. To była ostatnia chwila. Wcześniej uciekli wszyscy cywile, zabierając swój dobytek, na ile było to możliwe. Franz usiłował namówić Annę, aby i ona pojechała z nimi. Kategorycznie odmówiła. Oświadczyła, że zostanie w Gross Born i będzie czekać na polskie wojsko.

- Jakie tam polskie. - Franz machnął ręką. - Mówiłem ci, bolszewicy nie dadzą wam wolności o! tak.

- Franz, nie marnuj czasu na przekonywanie mnie...

- Nie zostawię cię, nie ma mowy, będziesz traktowana jak kolaborantka.

- Zostaję i już.

Plan ewakuacji był prosty. Wszyscy żołnierze mieli

przejsć podziemnymi tunelami, a potem posuwać się w stronę Berlina. Do Gross Born dochodziły odgłosy zbliżającego się frontu. Anna siedziała w salonie. Dom kompletnie opustoszał. Tak jak i cała okolica. Oprócz samego obozu, do którego dojeżdżały już czołgi. Jeńcy powoli wyłaniali się z baraków.

- Idziemy, to ostatnia chwila, aby przedostać się do tunelu. Przestań się opierać! - Franz właśnie wysłał tam resztą swoich żołnierzy.

- Zostaw mnie! Idź sam, bo za chwilę będzie za późno.

Był już w ciężkim wojskowym płaszczu. Podszedł niespodziewanie do Anny i chwycił ją wpół, przerzucił sobie przez ramię, przykrył kocem i zaczął biec w stronę tunelu, którego wylot znajdował się niedaleko domu. Ona wierzgała nogami. Zaczęła krzyczeć.

Twarz miał mokrą od potu. Prawie dobiegł do wejścia, ale potknął się i przewrócił razem z nią na ziemię. Wstał i chwycił ją mocno za rękę. Pociągnął za sobą. Ona wciąż się szarpała.

- Puść mnie, nie idę!

Był jednak silniejszy. W tunelu panował kompletny mrok.

- Czekaście! - krzyczał.

Nagle tunelem wstrząsnął silny wybuch. Posypał się piach i kamienie. O tej godzinie zgodnie z umową żołnierze wysadzili wejście z obawy przed pościgiem czerwonoarmistów. Widocznie uznali, że dowódca już do

nich nie dołączy. Anna i Franz byli blisko miejsca wybuchu. Stracili przytomność, przywaleni kamieniami. W tunelu powoli opadał kurz.

Po kilkunastu minutach Franz się ocknął. Czuł przejmujący ból głowy. Wytarł twarz z kurzu i wygrzebał się spod góry gruzu. Obok leżała nieprzytomna Anna. Przyłożył głowę do jej piersi. Żyła. Wyciągnął ją spod kamieni. Anna miała na sobie sukienkę w niebieskie kwiaty, która teraz była doszczętnie podarta. W podobnym stanie był jej sweter. Poranione nogi okrywały dziurawe pończochy. Miała osmaloną twarz, ale poza tym Franz nie dostrzegł żadnych głębszych ran. Zaczął oczyszczać z gruzu powrotną drogę do wylotu tunelu. Musiał się spieszyć, bo tunel mógł runąć w każdej chwili. Wreszcie wziął Annę na ręce i ruszył w stronę wyjścia.

- Po to niosłem ją w jedną stronę, żeby teraz dźwigać z powrotem? - mruknął.

Sam był słaby, ból głowy nie dawał spokoju. Nogi się uginały. Dotarł do wylotu tunelu. Uderzył go powiew mroźnego wiatru, ale szedł dalej. Sił starczyło mu tylko na kilkadziesiąt metrów. W końcu upadł na kolana. Widział, że biegną w jego stronę żołnierze.

- Ręce do góry! - usłyszał głośnie okrzyki.

- Chwileczkę, muszę ją położyć! - odkrzyknął.

Ułożył Annę na śniegu i splótł dłonie za głową.

Żołnierze odebrali mu broń i poprowadzili w stronę dowództwa. Wzięli na ręce Annę.

Franza umieszczono w jednej z cel, których nie

brakowało w Gross Born.

- No co, Szkopie, skończyły się dobre czasy - zaśmiał się jeden z żołnierzy, zatrzasnąwszy kraty.

Franz nie odpowiadał na zaczepki.

Położył się na pryczy. Szumiało mu w głowie. Myślał tylko o bólu, który nie chciał ustąpić.

*

Annę nieprzytomną wrzucono do innej celi. Ocknęła się, kiedy ktoś zaczął przyskać zimną wodą na jej twarz. Była cała obolała i kręciło jej się w głowie. Nie zauważyła, że do pryczy podszedł mężczyzna w białym kitlu narzuconym na mundur. Przyniósł jej ubranie, bo to, które miała na sobie, było w stanie opłakanym.

- Jak się pani czuje? - zapytał po niemiecku. Śmiesznie ruszał sumiastymi, szpakowatymi wąsami. Budził zaufanie.

- Nie mówi pan po polsku? - spytała Anna cicho w ojczystym języku.

- To pani jest Polką? - zapytał zdumiony lekarz. - I uciekała pani z niemieckim oficerem?

Usiadł na zydlu.

- Nie wiem, czy nie będzie lepiej, żeby pani udawała Niemkę. - Doktor Stefan Mroczyński pokręcił głową.

- Dziękuję, że wyraził pan troskę o los nieznannej sobie kobiety, którą podejrzewa pan o konszachty z Niemcami - powiedziała.

- Jestem starym lekarzem, a nie żołnierzem. Teraz to już nie ma znaczenia. Wojna się kończy. Nie ja będę panią osądzał - westchnął Mroczyński. Zbadał ją i po chwili powiedział: - Nic pani nie jest. Ma pani tylko skręconą nogę. Po prostu wybuch panią ogłuszył.

Mroczyński był właściwie zmartwiony, że jego pacjentka jest Polką. Zadawanie się z niemieckim oficerem można było osądzić tylko w jeden sposób. Tymczasem doktor miał kłopot z potępieniem tej kobiety o dość miłej powierzchowności. „Całkiem ładna mimo tych zadrapań na twarzy” - pomyślał. Ale zaraz zganił sam siebie. „Diabli wiedzą, kim jest ta kobieta”.

- Nie będę udawać, że jestem Niemką. Wiem, co mi grozi, ale będę się bronić. Udowodnię, że byłam więziona.

- Nie chcę wnikać w pani prywatne sprawy, ale czy ma pani świadków, którzy potwierdziliby tę wersję?

- Nie.

- To pani wybaczy, nie bardzo wierzę, aby pani tłumaczenie było prawdziwe. Ale proszę już o tym nie myśleć. Co będzie, to będzie. Na razie niech pani dojdzie do siebie.

- Błagam, niech mi pan pomoże. - Anna uznała, że doktor jest jej jedyną nadzieją. - Oni nawet nic będą chcieli mnie przesłuchać. A to prawda. Jestem więźniarką. Zostałam jego kochanką, bo obiecał, że uratuje moją siostrę i jej dziecko - mówiła łamiącym się głosem.

- Nie mnie to oceniać, ja tu nic nie mogę... - Mroczkowski się wahał.

- Błagam...

- Zobaczę...

- Co stało się z tym niemieckim oficerem?

- A jednak martwi się pani o niego... Żyje, nic mu nie jest. Podobno wyniósł panią z tego tunelu. Teraz jest w areszcie. Pewnie zostanie odesłany do obozu jenieckiego.

Mroczyński wyszedł z celi. Anna zamknęła oczy. Pod powiekami widziała latające czerwone koła. To było bardzo męczące, ale o wiele bardziej dokuczliwe były myśli o przyszłości. Wiedziała, że doktor ma rację, nikt nie uwierzy w jej wersję. Próbowwała ułożyć w głowie przekonujące wyjaśnienie, ale myśli się plątały. Czuła strach.

W Gross Born panowało wielkie zamieszanie. Jeńcy czekali na wydanie jakichś dokumentów, aby móc opuścić obóz. Na placu kłębił się tłum.

Major Władimir Kruczkow z porucznikiem Stefanem Krzaczkowskim mieli wyjaśnić sprawę Niemca, który nic zdołał uciec z obozu. Musieli się spieszyć, bo chcieli też przesłuchać jeńców, zanim ci wyjadą. Franz von Steinberg został wezwany do pokoju majora na przesłuchanie. Zobaczył przed sobą dość przysadzistego Rosjanina i wysokiego wąsatego Polaka. Obaj byli uprzejmi. Poprosili go, aby usiadł. Steinberg rozejrzał się dookoła. Ogołoczone z obrazów ściany, zaledwie kilka mebli, maszyna do pisania. Jeszcze niedawno to biuro wyglądało zupełnie inaczej. Kruczkow ćmił papierosa.

- Zapali pan? - spytał Rosjanin.

- Nie, dziękuję.

- To dobrze, bo i tak bym cię, Szwabie, nie poczęstował. - Kruczkow zaśmiał się rubasznie.

Franz nie ukrywał niczego. Przyznał, że był komendantem oflagu, że wszyscy zdołali umknąć z oblężenia, a on opuszczał obóz jako ostatni i po prostu nie zdążył.

- Dlaczego pan nie zdążył? - zapytał Krzaczkowski.

Franz chwilę milczał.

- Bo kobieta, którą chciałem zmusić do pójścia ze mną, opierała się.

- Kim jest ta kobieta? - spytał major.

- To więźniarka. Polka. Była w transporcie do obozu koncentracyjnego. Ja zabrałem ją ze sobą, aby... umiała mi czas. Tutaj też miała status więźniarki, nie mogła opuszczać siedziby komendanta.

Major zadawał jeszcze wiele szczegółowych pytań dotyczących wycofania się wojsk niemieckich.

- Panie majorze - powiedział Franz. - Gdy zbliżał się front, koszary w Gross Born opustoszały. Żołnierze już dawno ewakuowali się z więźniami. Był rozkaz utrzymywania w sprawności niektórych urządzeń Die Pommerstellung na użytek kontrnatarcia... uśmiechnął się gorzko. Zostałem z garstką oficerów i żołnierzy, którzy mieli za zadanie pilnować obozu. To wszystko. Nie dowiedcie się ode mnie niczego ciekawego, bo ja po prostu nic nie wiem. Obóz i umocnienia Pommerstellung to były dwie różne rzeczy...

- A kiedy oddziały opuściły Gross Born?

- W styczniu.

Kruczkow wypytywał jeszcze o rodzaj wojsk stacjonujących wcześniej w Gross Born. Potem odesłał Steinberga do celi.

- Ta kobieta, co z nią zrobić? Wierzycie temu Niemcowi, towarzyszu poruczniku? - zapytał Kruczkow.

- A gdzie tam wierzę... Jakaś kurewka pewnie. Dać zdziwę chłopakom, niech się zabawią - odpowiedział Krzaczkowski.

Następnego dnia doktor Mroczkowski przechodził właśnie przez dziedziniec, kiedy zobaczył żołnierzy prowadzących kulejącą Annę w stronę koszar.

- Chłopaki, mamy kurwę! - wołał jeden z nich i pociągnął Annę za włosy, że aż krzyknęła z bólu.

- Zostawcie ją! - krzyknął Mroczkowski. - Gdzie dowódca?

- Właśnie wydał rozkaz - zarechotał żołnierz.

Mroczkowski podbiegł do nich i podtrzymał Annę ramieniem.

- Mówię: puście ją! Idę porozmawiać z dowódcą.

Doktorek chciałby ją tylko dla siebie.

Żołnierze już mieli go odciągnąć, gdy nagle zjawilo się kilkunastu dawnych jeńców oflagu.

- Zostawcie ją - powiedział jeden z nich głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- A co ty, kurwa, będziesz mi tu rozkazywał, ty... warknął jeden z żołnierzy, a drugi zaczął szarpać się z

jeńcami.

- Co tu się dzieje? - krzyknął Kruczkow, który akurat wyszedł z budynku.

- Melduję posłusznie, towarzyszu majorze, że ci tu obecni wszczynają burdę, a my tylko wzięliśmy niemiecką dziwkę.

- Panie majorze, niech oni zostawią tę kobietę. Jeńcy wiele jej zawdzięczają - odezwał się pułkownik Mioduski, który w oflagu spędził kilka lat. To on chwilą wcześniej kazał żołnierzom puścić Annę i doktora.

- Co to znaczy? - zdziwił się Kruczkow.

- Niech pan przesłuchają i sierżanta Karzyckiego - powiedział z naciskiem Mioduski.

Kruczkow popatrzył na zgromadzonych wokół siebie mężczyzn i machnął ręką. Jeszcze tylko tego mu teraz brakowało: kłótni między byłymi jeńcami a żołnierzami.

- Dobra, dawajcie ją na przesłuchanie.

Chwilą później Anna kuśtykała pod eskortą do urządzonego naprędce gabinetu dowódców. Weszła do pokoju. Przy jednym ze stolików siedziała stenotypistka. Za dużym stołem rozsiadł się Rosjanin. Obok stał polski oficer. Anna rozejrzała się, czy nie ma krzesła.

- Jak się pani nazywa? - zapytał porucznik Krzaczkowski.

- Anna Lubieniecka.

- Urodzona?

- 27 lutego 1916 roku w Warszawie.

- Imię ojca.

- Jerzy.

- Jak się pani tu znalazła i jak pani wytłumaczy swoje zażyłe związki z niemieckim oficerem?

- W maju 1942 roku razem z siostrą i jej synkiem zostałam w Warszawie zgarnięta z ulicy podczas łapanek. Zawieziono nas na Pawiak. W pewnym momencie wezwano mnie na przesłuchanie. Na początku przeraziłam się, że będą wypytywać o ruch oporu, dla którego robiłam jakieś drobne rzeczy. Jednak nie. Niemiecki oficer złożył mi dziwną propozycję. Miałam pojechać z nim do obozu jenieckiego jako dama do towarzystwa, bo jemu tam się nudzi. Wybrał mnie... nie wiem dlaczego. Moim atutem było chyba to, że mówię dobrze po niemiecku. Jego propozycja kompletnie mnie zaskoczyła. Powiedział, że mam do wyboru: obóz koncentracyjny albo wyjazd z nim. Postanowiłam wszystko postawić na jedną kartę. Powiedziałam, że pojedę pod jednym warunkiem: że wypuści moją siostrę z dzieckiem. Był niezadowolony, ale zrobił to. Nie mam wieści ani o siostrze, ani o rodzinie w ogóle. Wyjechałam z nim i przez ten cały czas w Gross Born nie mogłam z nikim się kontaktować. To wszystko. - Anna odetchnęła.

W pokoju słychać było brzęczenie muchy. Rosjanin stukał długopisem w blat stołu.

- Odprowadźcie do celi! - rzucił do żołnierza stojącego z boku.

Anna położyła się na pryczy. Trzęsła się z przerażenia. Niewiele brakowało, aby ją zgwałcili. Teraz

pocieszała się, że jednak ani Krzaczkowski, ani Kruczkow nie wyglądali na specjalnie krwiożerczych. Zresztą o co mogliby ją oskarżyć? O sypanie z oficerem niemieckim? „Nie, nie. Mogą mnie oskarżyć o współpracę z okupantem, tylko jaki sąd będzie mnie sądził? Właściwie to zupełnie nie wiem, jak wygląda moja sytuacja. Czy mnie zamkną? Rozstrzelają za zdradę?”. Oblał ją zimny pot.

Porucznik Krzaczkowski postanowił przesłuchać w pierwszej kolejności najwyższych rangą oficerów.

Jednym z nich był pułkownik Mioduski, który z rezerwą odnosił się do porucznika Ludowego Wojska Polskiego, ale odpowiadał na wszystkie pytania. Zeznał, że jeńcy nie doznali żadnego specjalnego okrucieństwa ze strony komendanta. Warunki były ciężkie, ale nie znęcano się nad więźniami. Podobnie mówili inni.

- Czy zna pan kobietę, którą zatrzymaliśmy, gdy usiłowała uciec z komendantem obozu?

- Nie...

- Wie pan, że to Polka?

- Nigdy jej nie widziałem. Ale wiedzę na jej temat ma sierżant Stefan Karzycki. Jego musicie przesłuchać.

- Czy zna pan tę kobietę, kochankę komendanta obozu? - spytał Kruczkow po wezwaniu Karzyckiego.

- Nie znam, ale wiem co nieco w tej sprawie. Otóż zdarzyła się rzecz bardzo dziwna - powiedział sierżant. Zostałem wezwany przez komendanta obozu, który kazał mi wykonać dość nietypowe zadanie. Dobrze mówię po

niemiecku, również piszę w tym języku. Komendant zamknął mnie w pokoju i dał zeszyt z notatkami, dziennik jakiejś kobiety. Kazał mi to przetłumaczyć na niemiecki pod groźbą śmierci. Mówił, że jeżeli cokolwiek sfalszuję, to on i tak się zorientuje, bo posadził w sąsiednim pokoju drugiego jeńca, Groszewskiego, z tym samym dziennikiem. Zacząłem czytać te notatki i moje zdumienie rosło z każdą chwilą. Ta dziewczyna opisywała wszystko w dość dziwny sposób. Nie używała żadnych imion i nazwisk. Jednak z kontekstu jasno wynikało, że pseudonim „Bałwan” dotyczył komendanta. Występowały też inne postacie, ale nie wiedziałem, o kogo chodziło. W każdym razie ona została zmuszona do przyjazdu do Gross Born chyba szantażem. To było niejasne. Wyglądało też na to, że nie może w ogóle opuszczać siedziby komendanta. Tłumacząc, zastanawiałem się, czy mogę dosłownie przełożyć słowo „Bałwan” i czy ona nie poniesie w związku z tym konsekwencji. Ale tłumaczył równocześnie Groszewski. Poza tym ona w niektórych miejscach wyrażała się jednak o komendancie dość ciepło. A zaraz obok wyzywała go od zbrodniarzy, hitlerowców i tym podobnie. Zresztą w tych notatkach był inny fragment, który wydawał mi się niebezpieczny. Ona wykradała lekarstwa z apteczki komendanta czy też zamawiała nowe partie leków, a potem przesyłała do szpitala dla jeńców. W dzienniku występował ktoś pod pseudonimem „Żółw”. I może ten Żółw był pośrednikiem w przekazywaniu lekarstw.

- No właśnie, jak ona mogła to wszystko wysłać do szpitala, skoro nie wolno jej było opuszczać domu? Krzaczkowski najwyraźniej wciągnął się w tę historię.

- Chyba ten Żółw mógł wychodzić. Bałem się, że komendant domyśli się, o kogo chodzi. Ale po pierwsze, nie chciałem jej wsypać, a po drugie, obawiałem się, że komendant zablokuje przesyłanie lekarstw... Ona zresztą nie tylko lekarstwa wysyłała, także jedzenie.

Sierżant poprawił się na krześle. Chciał jeszcze coś dopowiedzieć, ale Krzaczkowski mu przerwał:

- Dobrze, dziękuję wam, sierżancie, możecie już iść.

- No i co wy o tym sądzicie, towarzyszu majorze? - zapytał Kruczkowa, gdy sierżant już wyszedł.

- Wypuście tą kobietę i już. Jest naprawdę wiele innych ważniejszych spraw do zrobienia. Niech już ona sobie jedzie, gdzie chce - stwierdził Kruczkow. Dla czystego sumienia możecie jeszcze wezwać tego Groszewskiego - dodał.

Groszewski potwierdził wersję Karzyckiego.

Następnego dnia rano kazano przyprowadzić Annę.

Weszła do pokoju bardzo zgnębiona, spodziewała się samych złych wiadomości. Próbowała wyczytać z twarzy oficerów, co postanowili. Tym razem w pokoju było krzesło. Siadła od razu, bo noga bardzo ją bolała.

- Nie jesteśmy w stanie osądzić pani postępowania. Nie będziemy pani oskarżać o współpracę z okupantem ze względu na zeznania niektórych jeńców - powiedział porucznik.

- Zeznania? A cóż oni mogą wiedzieć? - spytała zdumiona Anna.

- Czy prowadziła pani dziennik?

Zdumienie Anny rosło.

- Tak, ale..

- Ma pani go jeszcze?

- Nie, spaliłam, gdy zbliżał się front. Zresztą i tak nie mogłabym panom go udostępnić. To rzecz bardzo intymna.

- Tę intymną rzecz znał cały oflag.

- Słu...słucham? - zająknęła się.

Komendant kazał dwóm jeńcom przetłumaczyć pani zapiski.

Anna była kompletnie skołowana, ale po chwili ogarnęła ją wściekłość.

- Kazał przetłumaczyć?!

Nagle poczuła mdłości. Było jej słabo. Zasłoniła ręką usta.

- Muszę iść do toalety - wystękała.

Żołnierz odprowadził ją do łazienki. Zaczęła wymiotować. Ledwo stała na nogach, przed oczami latały czarne platy. „Boże, co się dzieje? Przecież ja bardzo rzadko wymiotuję. Musiałam się czymś nieźle struć. Kuchnia polowa nic jest najwyższej jakości”.

Doprowadziła się do porządku, wyplukowała usta. Po chwili wróciła do gabinetu oficerów. Siadła od razu, nie czekając na zaproszenie, bo wciąż było jej słabo.

- Panowie żartowali? - spytała.

- Nie, to prawda. Komendant chciał wiedzieć, co pani zapisuje w notatniku. Niech się pani cieszy, bo dzięki temu nie oskarżymy pani o kolaborację z Niemcami. Niech pani już idzie.

- Czy mogę stąd zatelefonować? - spytała.

- Zatelefonować?... Dobrze... Powiem telefonistce, że może panią połączyć.

Anna przeszła do pokoju obok. Siadła i się zamyśliła.

- No, gdzie dzwoniemy? - zapytała telefonistka, miła blondynka o pokaźnej tuszy. - Wie pani, cieszę się, że się okazało, co się okazało - dorzuciła z uśmiechem.

- To już wszyscy wiedzą? - Anna pokręciła głową.

- Ten Karzycki mi powiedział - wyjaśniła telefonistka.

- Dzwonimy do domu, do Warszawy - powiedziała Lubieniecka.

- Pani kochana, do Warszawy chcesz dzwonić? Warszawy już nie ma, same ruiny. Kobieta spowaźniała.

- Co pani mówi? - szepnęła ze zgrozą Anna.

- Powstanie wybuchło, Niemcy burzyli wszystko.

- Boże, Boże... - powtarzała Anna, starając się odgonić najgorsze myśli.

Ruszyła w stronę drzwi, aby wrócić do willi i spakować rzeczy. Nagle do pokoju zajrzał doktor Mroczkowski.

- Przepraszam panią, ale ten Niemiec prosił, abyśmy pozwolili pani porozmawiać z nim przez pięć minut. Dowódca się zgodził, choć będzie miała pani asystę przy

tych odwiedzinach.

- Panie doktorze, jak ja się panu odwdzięczę, uratował mi pan życie...

- Nie ja, jeńcy którzy zeznawali na pani korzyść - sprostował doktor. - No to jak, idzie pani tam?

- Nie wiem. czy chcę tam iść - zawahała się.

- To już pani decyzja. A dokąd chce pani jechać?

- Do Warszawy.

- Właśnie jeden z naszych szoferów jedzie teraz do Warszawy, niech pani się z nim zabierze. Tu nie jest bezpiecznie... Żołnierze wcale nie muszą respektować rozkazów dowódcy, a są daleko od domu, od żon... Niech pani lepiej się z nim zabierze. Ten szofer to dobry człowiek, znam go.

- Dziękuję, chętnie z nim pojadę.

- Tylko musi się pani teraz z nim umówić.

- Naprawdę jestem panu wdzięczna.

- Niech się pani tu już nie kręci, nie ma żartów.

- Dziękuję, doktorze...

Anna znów ruszyła w stronę drzwi. I wtedy uświadomiła sobie, że będzie musiała przejść przez cały dziedziniec wypełniony byłymi jeńcami, którzy poznali jej najskrytsze myśli. Co za wstyd. „Musieli mieć niezłą zabawę” - pomyślała. Wyprostowała się, poprawiła włosy i wyszła na dwór. Kulejąc, szła najszybciej, jak mogła. Żołnierze przystawali, przyglądali się jej. Mówili coś między sobą. Starła się nie zwracać na to uwagi. Słyszała, jak śnieg skrzypi pod butami. Z przejęcia

zapomniała nawet o bolącej nodze.

Nagle któryś z oficerów krzyknął przyjaźnie:

- Dzień dobry pani!

I zasalutował.

A potem kolejni poszli w jego ślady:

- Dzień dobry, dzień dobry... - słychać było z różnych stron dziedzińca. Żołnierze po kolei stawali na baczność i salutowali.

Odwróciła się w ich stronę, stała chwilę nieruchomo, a w uszach dźwięczały jej kolejne „dzień dobry...”. W końcu skinęła głową:

- Dzień dobry panom. Dziękuję.

Zakłopotana ruszyła dalej.

Szybko odnalazła samochód, szofer podrzucił ją do willi byłego komendanta. Na szczęście dom stał pusty. Spakowała tylko część ubrań. Potem po kolei brała do ręki rzeczy, które dostała w prezencie od Franza. Zawahała się, po czym jednak schowała je do walizki.

Wsiadła do samochodu. Zdołała się spakować w ostatniej chwili, bo właśnie kilku żołnierzy przyszło przetrząsnąć willę.

- Proszę na mnie tu poczekać. I lepiej niech pani nie wychodzi z samochodu. Ja, niestety, muszę jeszcze coś załatwić. Zajmie mi to jakieś dwadzieścia minut - oznajmił szofer, gdy znów znaleźli się w okolicy obozu. Następnie pobiegł w stronę siedziby dowództwa.

Anna stała przed samochodem i zastanawiała się, czy skorzystać z okazji i pójść pożegnać się z Franzem. W

końcu zdecydowała, że tak.

Porucznik Krzaczkowski pozwolił mi porozmawiać z majorem, którego tu trzymacie - powiedziała do żołnierza pilnującego aresztu.

- Tak, ale możecie rozmawiać tylko w mojej obecności - odpowiedział, patrząc na Annę spode łba.

Poszli w stronę celi, w której umieszczono Franza. Leżał na pryczy. Na widok Anny wstał i zbliżył się do krat. Oparł się o ścianę.

- To jesteś wolna? - spytał, uśmiechając się.

- Ukradłeś mój dziennik. Jesteś żalosny. Anna znów poczuła wściekłość i upokorzenie. - Nawet tę ostatnią resztkę mojej wolności postanowiłeś ukraść. Cały oflag opowiadał sobie o moim dzienniku.

- Czy wiesz, jak wiele dla mnie znaczyło to, co tam przeczytałem?

Chwycił kraty tak mocno, że dłonie mu zbieleły. Anna milczała.

- Nie podasz mi ręki na pożegnanie? - spytał.

Zbliżyła się do krat, wtedy chwycił ją za rękę i przyciągnął bliżej.

- Słuchaj mnie uważnie. Daj mi rok. Odnajdę cię. Jeśli wtedy powiesz, bym sobie poszedł do wszystkich diabłów, to zrobię tak, ale daj mi rok.

Anna oswobodziła rękę.

- Muszę już iść... - Ruszyła w stronę wyjścia. Odwróciła się jeszcze ostatni raz.

- Rok, tylko rok - powtórzył Franz.

Wyszła bez słowa.

9

Przyglądała się krajobrazom mijanym po drodze. Pogoda była ładna, ale nawet słońce i śnieg nie mogły zatuszować nędzy i zmęczenia wojną. Myślała o słowach Franza i czuła klucie w sercu. Zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy. Czuła żal i pustkę. „Nigdy już sobie nie ułożę życia” - myślała. Zastanawiała się też, co powie rodzicom i Helenie. Tak, tak, decyzja już zapadła - nie powie nic. Poprosi, aby jej nie dręczyli. Może za jakiś czas wszystko wyzna... Nie teraz, teraz wszystko jest zbyt świeże. Co powiedziała by ojciec? To hańba. Pełna tych smutnych myśli w końcu przysnęła.

Gdy ocknęła się, wjeżdżali w rumowisko, które kiedyś było Warszawą.

Na froncie kamienicy, w której mieściło się mieszkanie Lubienieckich, widać było ślady walk, ale budynek - w porównaniu z okolicą - wyglądał na najmniej zniszczony.

Anna wzięła swoje rzeczy i pobiegła. Była kompletnie oszołomiona. Gdy po jakimś czasie ktoś ją zapytał, jak wyglądało powitanie z rodziną, nie mogła powiedzieć. Pamiętała jak przez mgłę, że było mnóstwo płaczu i że uwiązał jej głos w gardle.

- Boże, Boże... - zawodziła matka.

Ojciec tylko milczał, ale w oczach miał łzy. Anna

wypytywała, co działo się przez te lata. Usłyszała o wszystkim po kolei: o działalności podziemia, o powstaniu w getcie, o powstaniu w mieście, o Rosjanach, którzy czekali, aż powstanie się wykrwawi. O Stachu, który musiał uciekać do lasu, o tym, że długo nie było żadnych wieści od niego i że w końcu wrócił.

- Ale ty, ty powiedz, co się stało? Co się z tobą działo? - pytała matka.

Anna pobladła.

- Błagam was, to wszystko zbyt boli. Czy możemy na razie to zostawić?

- Musimy wiedzieć, co się stało - powiedziała Helena.

- Dajcie jej spokój, opowie, jak będzie gotowa - uciął ojciec.

Następnego dnia Anna obudziła się dość wcześnie i natychmiast dopadły ją mdłości. Ledwo zdążyła dobiec do łazienki.

- Ta wojna zrujnowała mi chyba zdrowie - mruknęła i dwie sekundy później poczuła się tak, jakby piorun w nią trzasnął. Zamarła. Przez to całe zamieszanie - wyzwolenie obozu, powrót do domu - umknął jej uwadze pewien istotny szczegół: od dawna nie miała okresu.

Pierwsze uczucie to panika. „W końcu musiało się to stać” - pomyślała. Wcześniej Franz pilnował się. Ale ostatnimi czasy przestał się już tym przejmować. A potem przyszła druga myśl: co powie rodzinie? Czy będzie stać ją na to, by powiedzieć, kto jest ojcem dziecka? Jak sobie poradzi w czasach takiej nędzy? Bez męża. Myśli

galopowały jak oszalałe. Położyła się na podłodze łazienki i leżała tak chwilę bez ruchu.

Domownicy już się budzili, mama zaczęła krzątać się po kuchni, Helena leniwym krokiem szła do toalety. Jakiś czas później wszyscy zasiedli do skromnego śniadania.

- Dziś rano uświadomiłam sobie ważną rzecz, o której muszę wam powiedzieć. Ale znów błagam, nie wpytujcie mnie o nic - powiedziała Anna.

- Tak? A o co chodzi? - spytała Helena.

Wszyscy spojrzeli na Annę wyczekująco.

- Jestem w ciąży.

- Chyba już czas, byś wszystko opowiedziała - stwierdziła któregoś wieczoru matka.

- Też tak sędzę - dodała Helena.

Anna zamknęła oczy. Czuła się źle. Znów zbierało jej się na wymioty. Sama nawet nie wiedziała, jak to się stało, że zaczęła opowiadać historię, w której kłamstwo goniło kłamstwo.

Niemcy zobaczyli, że mogę być tłumaczką. Jeden dał się przekonać, by puścić ciebie i Jasia. Obiecałam mu, że w zamian za to będę bardzo rzetelnie pracować. Wysłano mnie więc na roboty do Niemiec z grupą Polaków, których byłam swego rodzaju przewodnikiem. Wylądowaliśmy aż na zachodzie, niedaleko miejscowości Schwanau. Część pracowała w fabryce, a ja w administracji. Byłam strzeżona, ale miałam szansę wysłać wam paczkę, bo raz mój szef dał się na to namówić. Ale tylko raz. Tam poznałam pewnego Francuza, Jeana.

Pracowaliśmy razem, on trochę na podobnych zasadach jak ja. Mieliśmy tylko siebie... - Anna zawiesiła głos. - Jean nie żyje, tuż przed wyzwoleniem wdał się w sprzeczkę z niemieckimi żołnierzami, bronił jakiejś kobiety i zastrzelili go... - Anna zamilkła. - To dziecko Jeana. Nie mam siły więcej opowiadać.

Rodzina milczała. Matka przytuliła Annę. W ciągu następnych dni opowieść obrastała kolejnymi nieprawdziwymi szczegółami. Jej autorka czuła do siebie obrzydzenie. Ale tłumaczyła sobie, że robi to dla dobra dziecka.

Niemal cała rodzina przyjęła historię bez zastrzeżeń. Kto by tam zastanawiał się nad szczegółami wobec faktu, że Anna w ogóle się odnalazła? Tylko Stach dziwił się w duchu, że hitlerowiec ot tak zgodził się puścić Helenę z Jasiem. Nie dzielił się jednak swoimi wątpliwościami.

Franz miał być wysłany do obozu jenieckiego na Górnym Śląsku. Trafił do transportu jeńców niemieckich. Sierżant, który go eskortował, powiedział po niemiecku:

- Masz, Szwabie, szczęście, innych rozwalaliśmy na miejscu.

Franz się nie odezwał. Gdy znalazł się już wśród Niemców, kilku oficerów usiłowało nawiązać z nim rozmowę, ale zbywał ich półsłówkami. Sam przysłuchiwał się temu, co mówią. Jedni pomstowali na Hitlera, inni na Sowietów i Polaków. Jeszcze inni dziękowali Bogu, że los rzucił ich do polskiego obozu, a nie radzieckiego, bo po Stalinie spodziewali się

najgorszego. Franz wraz z innymi jeńcami trafił do kopalni. Praca ponad siły, ciężkie warunki, głodowe racje żywnościowe złamały nawet jego, choć nigdy nie wydobył z siebie słowa skargi. Współwięźniowie mieli go za zarozumiałego milczka, a on nie silił się na zmianę tego wizerunku. Obserwował ich z boku: jak wspominali dawne dobre czasy, jak się modlili. Niektórzy ściskali w rękę fotografie swoich bliskich i wpatrywali się w nie godzinami. Franz nie miał żadnych fotografii. Najbardziej śmieszyły go rozmowy z serii „co by było, gdyby”. Gdyby Hitler był rozważniejszy, gdyby miał innych doradców. Mało kto analizował swoją przeszłość i służbę w wojsku. Rozmawiano o „tych na górze”, którzy sprowadzili nieszczęście na naród niemiecki. Franz jednak wyłowił z powodzi tych wynurzeń słowa jednego z oficerów, który wspominał coś o nieudanym zamachu na Hitlera. Steinberg uważał, że nawet teraz nie warto przyznawać się do spisku, bo niewykluczone, że reszta żołnierzy uznałaby to za zdradę. Sądził, że nie są zdolni do żadnej krytycznej refleksji.

Wystarczyło kilka miesięcy, by wszyscy zaczęli przypominać swoje cienie.

Funkcjonariusze UB używali sobie na jeńcach; całonocne apele i znęcanie się fizyczne były na porządku dziennym. To był czas bezlitosnego odwetu.

- Teraz, Szkopy, poczujecie na własnej skórze, co robiliście innym! - krzyczał niemal codziennie jeden ze strażników.

- Macie tu zbyt wiele wygod w porównaniu z waszymi obozami koncentracyjnymi - wspierał go drugi.

Do tego doszły choroby. Najgorszy był tyfus.

Pewnej nocy - jakby z zaskoczenia choroba dopadła Franza w czasie snu. Obudził się i czuł, jak niemoc ogarnia go bez reszty.

Trzymał się z daleka od innych więźniów i z nikim nie nawiązał bliższych kontaktów, więc gdy chwyciła go gorączka, nikt specjalnie się tym nie przejął. W ciągu dnia jeńcy obojętnie przechodzili obok jego pryczy. Nie wiadomo, jak to się stało, że podczas porannego apelu nie zauważono jego nieobecności. Dopiero po południu jeden z oficerów ulitował się i dał mu pić, choć Franz go wcale o to nie prosił. Oficer wezwał strażników i wtedy zdecydowano, że Steinberg powinien trafić do izolatki, ale i tam nikt się nim nie zajmował. Leżał obok kilku innych więźniów w równie złym stanie jak on. Nikt nie dawał im ani jedzenia, ani picia i oczywiście żadnych lekarstw. Tyfus budził strach u strażników, więc woleli trzymać się od izolatki z daleka.

Franz leżał więc kompletnie opuszczony. W majakach wołał Annę. Wracały obrazy z dawnych czasów. Egzystował w półśnie.

Brzuch Anny nie był zbyt duży, do siódmego miesiąca właściwie niewidoczny. Dla rodziców wiadomość o ciąży była szokiem. Po jakimś czasie oswoili się jednak z tą myślą.

- Była wojna - sucho skomentował ojciec.

Rodzina Lubienieckich - jak i większość Polaków - ledwo wiązała koniec z końcem. Do tego doszło zapalenie płuc ojca. Trzeba było zdobyć lekarstwa, a te kosztowały bardzo drogo.

Przyciśnięta biedą Anna poszła do lombardu, by zapytać, ile mogłaby dostać za perły, które dostała od Franza. Pamiętała, że to imitacja, ale uznała, że jest wykonana perfekcyjnie. Poza tym pana Zenka, który ów lombard prowadził, znała już wcześniej. Był ich sąsiadem.

- Niech pani lepiej tego nie zastawia, bo wypłacę bardzo niewielką sumę w porównaniu z wartością tych pereł - powiedział po dokładnym obejrzeniu naszyjnika.

- Jak to? - spytała zaskoczona.

- Przecież to prawdziwe perły. Niech lepiej pani zastawi coś innego - zaproponował.

Anna stała oszołomiona. Franz kupił jej prawdziwe perły, mówiąc, że są sztuczne. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Wzięła perły do ręki i patrzyła przez chwilę w milczeniu.

- Ma pani coś innego? - spytał Zenek.

Wyciągnęła z torby wieczne pióro.

- Mogę za to dać trochę gotówki - orzekł, obracając pióro w palcach.

Ledwo starczyło na leki, musiała się jeszcze zapożyczyć u znajomych. Ale ojciec na szczęście wyzdrowiał.

Wszyscy z przerażeniem patrzyli na to, co dzieje się w Polsce. Ojciec uważał, że komuniści będą mścić się na każdym, kto nie wstąpi do partii, i że trzeba poważnie myśleć o emigracji. Spora część krewnych Lubienieckich już się na nią zdecydowała. Ale ciąża Anny wykluczała na razie jakiegokolwiek podróże.

Ona sama myślała coraz częściej o Franzu. Próbowwała się czegoś dowiedzieć o obozach jenieckich, ale nie było to łatwe. Dowiedziała się tylko tyle, że jeśli wywieźli Steinberga do ZSRR, to oznacza jego rychłą śmierć. Ale sprawdzenie, czy jest na liście jeńców pozostających w Polsce, było właściwie niemożliwe.

Nagle została wezwana do UB. Szła z duszą na ramieniu. Weszła do pokoju, w którym stało jedynie biurko i dwa krzesła. Ubek spisał najpierw jej dane.

- No, mamy tutaj interesujące akta na wasz temat - powiedział w przekazem. - Zadawaliście się z hitlerowcem, niejakim Steinbergem.

- Ja już to wszystko wyjaśniałam wojskowym, którzy wyzwoli oflag - odparła.

- Nie wszystko jest jasne - spojrzał na nią badawczo. - Czyje to dziecko?

Anna przełknęła ślinę.

- Ojciec... ten człowiek nie żyje - odpowiedziała.

- Taaak? Ciekawe... - odezwał się z przekazem. Chwilę milczał, po czym rzekł: Bo jakby policzyć, to to może być dziecko tego Niemca.

- Nie, to nie jest dziecko tego Niemca.

- Taaak? Ale puszczałicie się z tym Niemcem?

Anna milczała. Oblał ją zimny pot. Po Warszawie zaczęły już krążyć złowrogie wieści o poczynaniach UB. Nagle do pokoju wpadł inny funkcjonariusz.

Towarzyszu majorze, już są, przywieźli ich! - zawołał od progu.

- Już? - spytał oficer.

- Tak, i niezwłocznie trzeba ich wziąć na przesłuchanie.

- Odprowadźcie ją do wyjścia, a ja tam zaraz pójde powiedział do stojącego w drzwiach, nawet na nią nie spojrzawszy.

Anna szła do domu na miękkich nogach. Kilka dni po przesłuchaniu w domu zjawilo się kilku ubeków. Zrobili rewizję. Matka stała przerażona przy kuchni. Helena z Anną przy oknie.

- A co to? Szwabski bękart jeszcze się nie urodził? - spytał jeden.

Anna skamieniała.

- Na niemieckiego von się połasiała, wywłoko jedna? Jeszcze do tego wrócimy - zakończył złowrogo.

Z twarzy Anny odpłynęła krew. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdlec. Helena podtrzymywała ją ramieniem. Ubecy pokręcili się jeszcze chwilę i wyszli, zapowiadając rychły powrót.

Kobiety stały nieruchomo. Po chwili matka powoli usiadła na fotelu, a Helena doprowadziła Annę do kanapy. Zapadło milczenie.

- Skłamałam - przyznała się.

- Myślę, że niezależnie od tego, co przeszłaś, powinnaś nam powiedzieć prawdę - matka mówiła wolno.

- Zrzucisz z siebie ten ciężar. Kochamy cię i żadna, nawet najbardziej bolesna historia tego nie zmieni.

- Dobrze, zrobię to wieczorem - zgodziła się Anna. - A teraz dajcie mi trochę odpocząć, bo jest mi słabo.

Wieczorem wszyscy siedli przy stole. Nie mówiła o tym, że kochała Franza i że starała się za wszelką cenę to ukryć.

- Jeśli jest się z kimś na co dzień tak długo, to między ludźmi tworzy się jakaś więź - stwierdziła tylko.

Wydarzenia relacjonowała dość dokładnie: wyjazd do Gross Born, pomoc jeńcom, wyjazd do Berlina, próbę ucieczki i nieudany zamach na Hitlera. Co jakiś czas Helena z matką przerywały jej, by zapytać o szczegóły. I chciały jak najwięcej dowiedzieć się o Franzu, bo Anna - na tyle, na ile było to możliwe starała się w tej opowieści poświęcać jego osobie jak najmniej uwagi. Stach tylko kiwał głową. Teraz ta historia wydawała mu się bardziej prawdopodobna. Gdy Anna skończyła, zapadło milczenie.

- Nie wiem, co powiedzieć - pierwsza odezwała się matka.

- To niesamowite szepnęła Helena.

Ojciec wyszedł do drugiego pokoju.

Rana po utracie syna zabitego przez Niemców była u Jerzego Lubienieckiego zbyt świeża, aby mógł podobny fakt przyjąć spokojnie.

- Jakkolwiek chcielibyśmy oceniać Steinberga, to faktem jest, że uratował nam życie. Bez niego zginęlibyśmy prawdopodobnie w obozie pierwsza odezwała się Helena.

- Niezwykła historia. Wstrząsająca, ale uważam, że zrobiłaś wszystko, co dało się zrobić dobrego w takiej sytuacji - powiedziała matka. - Kochanie, nie możesz siebie obwiniać. Dziecko, które przyjdzie na świat, jest naszym dzieckiem.

- Absolutnie tak - przytaknął Stach.

- Czuję, że tata uważa inaczej. I jeszcze te moje kłamstwa... - wyszeptała Anna.

- Być może, ale ja z nim porozmawiam. Musi mieć czas na oswojenie się z tym wszystkim. Milczałaś tak długo... - tłumaczyła matka.

- Mnie martwi to, że UB może teraz Anulę prześladować - zauważył Stach.

- Stasiu, powinniśmy się dowiedzieć, czy czegoś nie szykują - stwierdziła Helena.

Stach oczywiście nie dowiedział się niczego, bo i skąd? Lubienieccy nie mieli żadnych znajomych w kręgach nowej władzy. Jakies próby zdobycia informacji podejmował Stefan Jarczyński, przyjaciel Stacha, który często bywał u Lubienieckich. Bez skutku.

Stefan wspierał rodzinę Anny jak mógł. Helena podejrzewała nawet, że podkocha się w jej siostrze. Opiekuńczy, troskliwy, gotowy do pomocy na każde skinienie. Anna trzymała go na przyjazny dystans, ale

często korzystała z jego pomocy.

- Kupiłem rzeczy dla dziecka, udało mi się zupełnie przypadkowo. - Stefan któregoś dnia przyniósł całą torbę dziecięcych ciuszków. Helena miała taką minę, jakby z całej siły powstrzymywała śmiech. Anna czuła się skrępowana.

- Nie trzeba było... - mruknęła pod nosem.

- Po prostu była okazja - powiedział Jarczyński. - Zresztą teraz ktoś musi ci pomagać, sama nie dasz rady...

- Dam radę, ale bardzo ci dziękuję. Rzeczy na pewno się przydadzą.

Innym razem Stach relacjonował Helenie swoją rozmowę ze Stefanem:

Tłumaczył mi, że samotna kobieta z dzieckiem będzie zawsze napiętnowana i że Anna powinna też myśleć o dobru dziecka, powinna zdać sobie sprawę, że potrzebuje mężczyzny.

Anna nie wyjdzie za kogoś za mąż tylko dla zachowania pozorów. Ona go lubi, ale nic ponadto, nawet nie będę jej powtarzać tego, co mówisz - stwierdziła Helena.

- Ja też mu powiedziałem: „Stary, daj sobie spokój, ona chodzi własnymi drogami, sama podejmuje decyzje, a już na pewno mnie nie będzie pytać o radę”. Ale on swoje.
- Stach rozłożył ręce.

- Ma dobre intencje, To miły gość, ale co z tego, skoro ona go nie chce i tyle. Nic z tego nie będzie. W końcu się zniechęci - stwierdziła Helena.

Tymczasem zbliżał się termin porodu. UB na razie nie dręczyło Anny. Co prawda, Stach twierdził, że jakiś człowiek często kręci się w tej okolicy i nie można wykluczyć, że to ubek. Ale najważniejsze było to, że Anny nie wzywano już na przesłuchanie. A ona powoli zapominała o strachu. Najgorsze dla niej było to, że ojciec nie chciał z nią rozmawiać. Nie wyklinał, nie krzyczał. Po prostu nic nie mówił.

- Trudno, to przejdzie, czas leczy rany - powtarzała matka.

Ale Anny to nie pocieszało.

Pewnej lipcowej nocy urodziła zdrowego chłopaka. Poród trwał pięć godzin i nie było żadnych powikłań. W rubryce ojciec wpisano: nieznany. Imiona? Andrzej Franciszek. Anna była szczęśliwa. Nawet ojciec zmiękł na widok niemowlaka. Wziął go na ręce i przytulił. Anna odczuła ulgę. Jerzy Lubieniecki początkowo z rzadka odzywał się do niej. Odpowiadał przeważnie półsłówkami. Później rozmawiał z nią coraz częściej. Ale nie wracał nigdy w rozmowie do wojennej historii córki.

Wszyscy bez wyjątku zakochali się w maluchu, a on odwdzięczał się donośnymi wrzaskami w nocy i w dzień. Mama młodego Andrzeja Franciszka szybko doszła do siebie i już zastanawiała się, czy nie powinna poszukać jakiegoś sposobu na zarabianie pieniędzy. Rozglądała się za dorywczą pracą. Bezskutecznie. Zresztą mały był bardzo absorbujący. Anna zastanawiała się, co powiedziałby Steinberg, gdyby się dowiedział, że ma

syna. Myślała o nim często i zadawała sobie pytanie, czy nie wznowić poszukiwań. Cała złość powoli się ulatniała. Bała się przyznać sama przed sobą, że tak naprawdę to chciałyby, aby mały Andrzej poznał kiedyś tatę. Bo miał tatę.

W to październikowe przedpołudnie znów o tym rozmyślała, siedząc sama w domu. Z tych rozważań wyrwało ją pukanie do drzwi. Położyła małego do łóżka i poszła otworzyć. Na klatce schodowej stał postawny mężczyzna ubrany wyjątkowo dobrze jak na te ciężkie czasy.

Dzień dobry, czy mówi pani po angielsku? Szukam pani Anny Lubienieckiej odezwał się, zdradzając amerykański akcent.

- To ja - odparła zaskoczona.

Gość rozpromienił się i powiedział:

- Cieszę się bardzo, że panią znalazłem. Nazywam się Bernstein. Izaak Bernstein.

Anna stała jak skamieniała, a przybysz mówił dalej:

- Wiem, że moje nazwisko niewiele pani mówi, ale mam do pani niezwykle ważną sprawę. Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

- Pańskie nazwisko coś mi jednak mówi - odezwała się w końcu po dłuższym milczeniu. - Proszę, niech pan wejdzie.

Bernstein rozejrzał się po pokoju, jego wzrok padł na dziecinne łóżeczko. Spojrzał na Annę, jakby chciał o coś zapytać.

- Proszę usiąść. Czy zechce się pan czegoś napić? spytała, chowając dłonie za plecami. Bała się, że gość zobaczy, jak drżą jej ręce.

- Nie, dziękuję - odparł. - Nie wiem, od czego zacząć...

- Może skrócę pańskie wahania. Domyślam się, że jest pan przyjacielem Franza von Steinberga, tym przyjacielem, któremu Franz pomógł uciec z Rzeszy.

- Skąd pani wie? - spytał zdumiony. Bo nie wierzę, aby Franz pani o tym mówił.

- Długa historia. Dowiedziałam się przypadkiem. Opowiedział mi o tym pewien gestapowiec. Był wściekły, że nie udało mu się dowieść udziału Franza w pańskiej ucieczce. Domyślam się też, że skoro znalazł się pan tutaj, to wie, kim ja jestem.

- Nie za wiele, ale wiem. Rozpocznę więc od tego, że udało mi się uciec do Ameryki wraz z moją rodziną. Pod koniec wojny dostałem list od stryja Franza, w którym informował mnie, że próbuje odnaleźć swojego bratanka. Z listu wynikało, że Franz prawdopodobnie jest w obozie jenieckim. Napisał mi, że Eleonora, to znaczy matka Franza, zginęła w bombardowaniu. Konrad Fischer także zginął na froncie, a on sam - to znaczy stryj - zapadł na ciężką chorobę i boi się, że nie jest w stanie nic zrobić. Błagał mnie w liście, abym to ja zaczął go szukać. - Bernstein przerwał na chwilę i poprawił się na krześle. - Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Europa w stanie chaosu. Polska pod protektoratem sowieckim. Jak Żyd z

amerykańskim paszportem da sobie radę w takich warunkach? Zastanawiałem się, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Aż pewnego dnia zobaczyłem przypadkiem ogłoszenie o zebraniu partii komunistycznej. I coś mi zaświtało w głowie opowiadał gość.

Okazało się, że Bernstein postanowił zapisać się do komunistów, a następnie namówił swoich partyjnych kolegów do zorganizowania wyprawy do Związku Sowieckiego i innych krajów w Europie Wschodniej. Mieli zobaczyć na własne oczy, jak w praktyce wygląda dyktatura proletariatu.

Biedak nie sądził, że ta decyzja przysporzy mu za jakiś czas poważnych kłopotów za sprawą niejakiego Josepha McCarthy'ego, senatora z Wisconsin. Ale to już zupełnie inna historia.

Rodzina Bernsteinów była dość zamożna, więc Izaak sfinansował podróż kilku innym mniej zasobnym towarzyszom, czym zaskarbił sobie ich wdzięczność. I tak oto zjawił się w Warszawie podejmowany gościnnie przez rodzimych komunistów. Co więcej, odnalazł tu dalekiego krewnego, Polaka Władysława Kropeckiego. Kropecki - wpływowa persona w partii - był szczęśliwy, że spotkał krewniaka i pomógł Izaakowi odnaleźć Annę.

- Ale skąd pan wiedział o moim istnieniu. Przecież stryj Franza sądził, że nazywam się Brandt i jestem nauczycielką spod Frankfurtu? - spytała Anna.

- Franzowi udało się jakoś wysłać list do stryja, w którym napisał, że jest w transporcie do obozu jenieckiego

i że owa Anna Brandt była w rzeczywistości Polką z Warszawy, którą zmusił do wyjazdu do Gross Born. Stryj napisał mi też, że bym panią odszukał, gdyż jego zdaniem relacje między panią a Franzem były „dość dziwaczne i nie do końca zrozumiałe”, bo przecież była pani kimś w rodzaju więźniarki. Dlatego nie chciałem od razu wspominać, że chodzi o Franza von Steinberga. Bałem się, że zatrzaśnie mi pani drzwi przed nosem wyznał Bernstein. Postanowiłem jednak spróbować, bo miałem cień nadziei, że pomoże pani go odszukać. Ja, dzięki swoim kontaktom, mógłbym dotrzeć do pewnych informacji, ale... - nie skończył.

Mały Jędrak zaczął płakać. Anna wyciągnęła go z łóżeczka i posadziła na kolanach. Izaak otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zrezygnował. W pokoju zapadła cisza.

Po chwili krępującego milczenia Anna wstała, trzymając Jędrka na rękach, i podeszła do okna. Myśli kołatały się jej głowie. Na twarzy pojawiły się wypieki, a oczy błyszczały. Bernstein nadal nie był do końca pewny, jaki jest stosunek Anny do Franza. Wciąż obawiał się, że Polka, którą odszukał z takim trudem, zaraz każe mu się wynosić.

- Wiem, że może pani myśleć o Steinbergu same złe rzeczy, ale on nie jest zbrodniarzem. Ja zawdzięczam mu życie. Nie zawahał się przed tym, by nam pomóc, choć groziły mu poważne konsekwencje - mówił rozemocjonowany.

- Konsekwencje? - spytała Anna drwiąco. - Niższy

stopień wojskowy, mniejsza racja ulubionych cygar czy konfiskata skrzynki ulubionego reńskiego?

- Wie pani, że on ryzykował...

- Nieważne, nie chcę pana obarczać naszymi kłótniami... to znaczy moimi i Franza. Pomogę panu na tyle, na ile będzie to możliwe. Choć szczerze mówiąc, zupełnie nie mam pomysłu, jak to zrobić.

- Naprawdę? - Bernstein aż poderwał się z krzesła. - Byłem bardzo niepewny pani reakcji, bałem się, że pani odmówi. A samemu byłoby mi trudno cokolwiek zorganizować. Cieszę się, ogromnie się cieszę.

- Z czego się pan cieszy, przecież nie wiemy nawet, gdzie on jest.

- Ja już wiem. Wiem, który to obóz jeniecki. Musimy tam pojechać i go odszukać. Jeśli będziemy pewni, że tam jest, zorganizujemy ucieczkę.

- To olbrzymie ryzyko...

- Wiem, ale ja muszę to zrobić. Musimy to tak przeprowadzić, aby pani ryzykowała jak najmniej. Pani tylko wskaże mi zaufanych ludzi, a ja im zapłacę.

- Co pan zamierza?

Bernstein chciał pojechać z Anną na Śląsk. Oficjalnie Lubieniecka miała być jego tłumaczem i asystentką.

- Tylko co z małym? Nie chcę być niegrzeczny, ale czy to pani dziecko? spytał.

- Moje - ucięła szybko. - Proszę się nie martwić, moja rodzina się nim zaopiekuje.

Umówili się, że Anna porozmawia z rodziną i że

Bernstein wróci następnego dnia, by uzgodnić szczegóły wyjazdu.

- Jestem tak wdzięczny, że zgodziła się pani mi pomóc. Chcę jeszcze powiedzieć, iż Franz w tym liście do stryja napisał, że jest pani dla niego kimś bardzo ważnym. Przepraszam, może nie powinienem wchodzić w te sprawy... - przerwał zawstydzony.

- Do zobaczenia jutro - odpowiedziała.

Gdy zamknęła drzwi za Bernsteinem, wybuchła płaczem. Nagle zrozumiała, że stoi przed szansą zobaczenia Franza. Sama już nie wiedziała, co myśleć: cieszyć się czy martwić. A przede wszystkim nie była pewna, jak zareaguje rodzina. Postanowiła, że wszystko wyzna tylko Helenie, innym zaś poda wersję zdobycia dorywczej pracy tłumaczki. Tylko co powie, gdy wróci bez pieniędzy? Nieważne, coś się wymyśli.

Helena była bardzo przejęta, gdy usłyszała, kto dziś zjawił się w ich domu i czego chciał. Domyślała się, że Anna nie może zapomnieć o Franzu. Próbowwała co prawda odwieść siostrę od wyjazdu na Śląsk, straszyła, że Izaak to może jakiś prowokator. Lecz Anna była zdecydowana.

Przez całą drogę Bernstein opowiadał jej o wyjeździe do Stanów, o swojej podróży i rodzinie, która dość szybko chwyciła wiatr w żagle i zaczęła nieźle zarabiać, rozkręcając produkcję porcelany. Anna słuchała jednym uchem, bo cały czas myślała o tym, czy na pewno odnajdą Steinberga i jak znaleźć ludzi, którzy pomogliby mu

uciec. Uznała, że jedynym wyjściem byłoby poproszenie o pomoc Stacha. On jeszcze z czasów konspiracji miał układy. Pytanie tylko, czy ci ludzie chcieliby ratować niemieckiego oficera. Potem zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób uda im się dowiedzieć, czy Franz jest w obozie w Borzęcicach? Zapytała o to Izaaka.

- Mam list polecający od władz w Warszawie. Wystarczy, że damy go tamtejszemu sekretarzowi partii, a on już pomoże nam we wszystkim. Powinniśmy się chyba umówić, że przedstawiając panią, nie będę podawał pani prawdziwego nazwiska. Tak będzie chyba bezpieczniej. Niech pani wymyśli sobie pseudonim - powiedział Bernstein.

- Joanna Perczyńska - zaproponowała.

- Słucham...? Błagam, proszę wymyślić coś łatwiejszego, bo wymawianie polskich nazwisk to prawdziwa katorga.

- Dobrze, może w takim razie Joanna Bela.

- Bela - powtórzył. - Może być.

Gdy dojechali do Borzęcic, miejscowi skierowali ich do lokalnej partyjnej szczy, Wiesława Kruczka. Zostali przewiezieni do opustoszałego dworu, gdzie zaproponowano im nocleg. Anna nie chciała nic jeść. Od razu poszła do swojego pokoju. Za to Izaak chodził po okolicy, obmyślając plan działania.

Następnego dnia udali się do Kruczka. Rozmawiał niechętnie, ale ostatecznie zgodził się udać z nimi do komendanta obozu.

Zajechali przed szarą bramę, przed którą stała budka wartownicza. Obóz był otoczony wysokim murem zwieńczonym drutem kolczastym. Nie mogli niczego dojrzeć, bo za murem znajdowało się jeszcze jedno ogrodzenie. A biuro komendanta mieściło się tuż przy bramie. Weszli do środka. Brudne, odrapane ściany, skromne meble i małe okna, niedające zbyt wiele światła. Kruczek zostawił ich z komendantem sam na sam.

Komendant Wiktor Skorupka miał chytre małe oczka i spocone dłonie. Wpatrywał się w przybyłych intensywnie, jakby chciał zgadnąć, po co przyszli. W Annie wzbudził odrazę. Bernstein od razu przystąpił do rzeczy.

- Mam tu pełnomocnictwa od ważnych osób w Warszawie - powiedział, pokazując jakieś papiery. - To sprawa ściśle tajna, dlatego nie mogę pana poinformować dokładnie, jaki jest cel naszej wizyty. W każdym razie potrzebujemy informacji na temat Franza Steinberga, powinien być na liście więźniów.

Komendant uśmiechnął się krzywo.

- Udostępnianie takich danych jest niezgodne z regulaminem. Nawet największa warszawska osobistość nie robi na mnie wrażenia - oświadczył.

Bernstein poprosił Annę, aby wyszła na chwilę z pokoju. Spojrzała zdziwiona, ale posłusznie zabrała torebkę i wyszła. Tymczasem on wyjął pokaźny plik banknotów i położył przed Skorupką. Komendant znów uśmiechnął się krzywo i zgarnął pieniądze. Wstał, a

następnie obciągnął mundur. Otworzył drzwi gabinetu i krzyknął:

Majchrzak, przynieście mi tu natychmiast listę więźniów! - A do stojącej obok Anny powiedział: Proszę, niech pani wejdzie.

Rzeczony Majchrzak po chwili był już z powrotem, zasalutował i oddał listę dowódcy. Skorupka usiadł za biurkiem i zaczął ją przeglądać, wodząc brudnym palcem po kartce. Izaak i Anna czekali w napięciu, ale Skorupka wydawał się nie spieszyć, jakby niecierpliwość obojga gości sprawiała mu jakąś sadystyczną przyjemność. Przerzucał papiery w tę i z powrotem. Mruczał coś zdziwiony. W końcu wziął jedną z kartek i podniósł głowę znad biurka.

- Tak, tak... Wszystko jasne. Jeniec o nazwisku Franz Steinberg nie żyje. Pochowali go jakieś dwa tygodnie temu.

W pokoju zapanowała cisza. Bernstein spojrział wyczekująco na Annę. Ona milczała wpatrzona w stół.

- Umarł - powiedziała w końcu po angielsku i nic więcej nie mogła z siebie wykrztusić.

Siedzący przed Skorupką kobieta i mężczyzna nie patrzyli na siebie: wpatrywali się w komendanta, jakby chcieli na nim wymóc, by natychmiast odwołał to, co przed chwilą powiedział. A on kręcił się na krześle, nie wiedząc, co począć z przedłużającym się milczeniem gości.

- Jest pan pewien? - odezwał się w końcu Bernstein.

Skorupka domyślił się treści pytania.

- Jestem absolutnie pewien. Wielu więźniów umiera, bo chorują - stwierdził. - Adnotacja jest wyraźna, o pomyłce nie ma mowy.

- A gdzie jest pochowany? - indagował dalej Izaak. Anna przethumaczyła odruchowo.

- A skąd ja mogę to wiedzieć? - komendant rozłożył ręce. - Przyjeżdżają miejscowi chłopci, zabierają zwłoki i gdzieś je chowają. Bardzo przepraszam, ale jestem bardzo zajęty i nie mogę już państwu poświęcić więcej czasu.

Skorupka wstał, aby ponaglić oboje do wyjścia. Bernstein usiłował coś jeszcze od niego wyciągnąć w sprawie chowania więźniów, ale niewiele wskórał.

Anna szła w stronę bramy, lekko powłócząc nogami. W chwili gdy komendant powiedział, że Franz nie żyje, czuła się tak, jakby ktoś upuścił jej na głowę olbrzymi kamień. Była ogłuszona, przerażona faktem, że ten niemiecki oficer tak wiele dla niej znaczył. Tak wiele, że teraz nie chciało się jej żyć. Wielka pustka w sercu. Nagle poczuła jego zapach, wydawało jej się, że czuje jego dotyk. Potem przed oczami stanął mały Jędrak. Minęła samochód, który ich przywiózł, i szła dalej. Bernstein podążał za nią, nic nie mówiąc.

Po przejściu dwustu metrów wziął ją delikatnie za ramię i powiedział cicho:

- Wsiądźmy do samochodu.

Zrobiła posłusznie to, o co ją prosił. Ale nie chciała mu spojrzeć w oczy. Samochód dojechał do wsi. Zaczęli

chodzić od domu do domu, próbując się czegoś dowiedzieć o miejscu pochówku. Okazało się, że przy chowaniu zwłok zatrudnieni są chłopcy z sąsiedniej wsi. Pojechali więc tam zasięgnąć języka. W końcu dotarli do niewielkich kopców pod lasem, zbiorowej mogiły jeńców. Postawiono tam trzy brzozowe krzyże bez żadnej tabliczki. Izaak odczuwał piekący żal. „Spóźniliśmy się tylko o dwa tygodnie” - myślał. Te „dwa tygodnie” dręczyły też Annę. Wciąż bali się spojrzeć na siebie. Izaak postanowił dokładnie zapamiętać lokalizację tej zbiorowej mogiły i po jakimś czasie wrócić, by zostawić choć ślad po Franzu. Anna uklękła i zaczęła się modlić. Po chwili oboje wrócili do samochodu.

Doktor Jankowski wszedł na salę prowizorycznego, obozowego szpitala. Zacierał ręce z zimna, choć jak na tę porę roku pogoda była całkiem znośna: plus dwanaście stopni. Jednak obozowe pomieszczenia nie były ogrzewane. Na pryczach leżeli chorzy. Jankowskiego co jakiś czas ściągano z sąsiedniego miasteczka, by zrobić obchód.

- Panie doktorze, ten nie rusza się już od dłuższego czasu - odezwała się pielęgniarka.

Jankowski podszedł do pryczy i wziął jeńca za rękę. Nachylił się i podniósł powiekę leżącego nieruchomo człowieka.

- Nie żyje, proszę zgłosić zgon i dołączyć do transportu zwłok - orzekł.

- Tak jest - padła odpowiedź.

- Zapisaliście jego nazwisko? Żeby mi potem pomyłek nie było. - Doktor pogroził palcem.

- Nie, nie. Nie ma pomyłki. Nazwisko więźnia Steinberg - powiedziała pielęgniarka.

Tego samego dnia do obozu przyjechało dwóch chłopów ze wsi, żeby załadować zmarłych na wóz i pochować ich pod lasem. Stanisław Kurpiok i jego syn Jan z mozołem dźwigali ciała. Strażnicy sprawdzili, czy wszystko jest zgodne z dokumentami, a następnie otworzyli bramy obozu.

Koń Kurpioków, a właściwie wychudła szkapa, szedł leniwie, potykając się co chwila.

- Wio, stara! - wołał stary Kurpiok.

Młody szedł za wozem.

- Ociec, ociec! - krzyknął nagle Jasiek. Jeden z umarłaków się rusza.

- Głupiś - rzekł Kurpiok. - Tak czasami jest, że coś się poruszy, jakby resztką życia w którymś była. Nieżywe wszystkie są i tyła.

Jasiek zamilkł, ale nadal pilnie przyglądał się jednemu ze zmarłych.

- O Jezu - krzyknął znów po piętnastu minutach.

- Ociec, on naprawdę się rusza, on żyw jest. jak Boga Kocham.

Stanisław zatrzymał konia i odwrócił się, by spojrzeć na wóz. Jasiek mówił prawdę. Jeden z Niemców cicho jęczał i kręcił głową.

- Boże miłosierny, co my teraz zrobimy? - zmartwił

się stary. - Przecież ja żywego nie będę zakopywał, nawet jeśli to Szwab.

- Odwieźmy go z powrotem.

- Głupiś, przecież płacą nam od umarlaka, jak go oddamy, to mniej zapłacą.

- Racja... - zasepił się Jasiek. - To może pojedziem do lasu i zrzucim przy drodze?

- Kto przejdzie obok, zaraz pozna, że w obozowych szmatach i na nas doniosą, żeśmy go z powrotem nie zawieźli...

Przez chwilę jechali w milczeniu. W końcu Kurpiok powiedział:

- Skocz no, Jasiek, do chałupy, wyciąg swoje najgorsze łachy, to go przebierzem i zostawim. Niech tam już Pan Bóg sobie sam zdecyduje.

Żeby jednak nie ryzykować, wywieźli jeńca jeszcze dwie wsie dalej. I tam, rozglądając się lękliwie, wyrzucili przy drodze, a następnie odjechali w popłochu.

Franz próbował otworzyć oczy. Ale nie dał rady w pierwszej chwili. Wydawało mu się, że ma sklezione powieki. Spróbował jeszcze raz. Wszystko wokół spowijała mgła. Zamknął oczy z powrotem. Spróbował poruszyć ręką, ale była bardzo ciężka. Nogi także. W końcu otworzył szeroko oczy. Leżał w jakiejś wiejskiej izbie przykryty pierzyną.

Usiłował sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Pamiętał obóz jeniecki, obozowy szpital, i to wszystko. Chciał trochę unieść głowę, ale poczuł ból, więc

zaprzeszał tych prób.

Izba była skromna, stało tu drewniane krzesło, a na bielonych ścianach wisiały święte obrazy. Nagle w drzwiach stanęła kobieta. Miała około pięćdziesiątki. Była dość tęga, posiwiałe włosy uczesała w kok. Zobaczyła, że Franz otworzył oczy i odwrócił głowę w jej stronę.

- Władziu, ocknął się! - krzyknęła.

- Ocknął się? - z drugiego pomieszczenia słychać było męski głos.

- No, chodź, zobacz - ponaglała kobieta.

Zwalisty Władysław Pielą wszedł do izby. Przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Skąd jesteście i co się z wami działo? Dlaczegoście przy drodze leżeli bez ducha? - zapytał.

Franz chciał odpowiedzieć, że nic nie rozumie, otworzył usta, ale zamiast swoich słów usłyszał tylko dziwny bełkot.

- Leżcie, leżcie, musicie odpocząć, nabrać sił, to potem porozmawiamy - powiedział Władysław.

Steinberg, zaskoczony swoją niemocą, zaczął powoli ruszać językiem i szczęką, jakby chciał sprawdzić, dlaczego te części jego ciała przestały działać.

- Jadzia, dajże mu coś do jedzenia, może jakiejś kaszy na początek i trochę mleka - krzyknął Pielą do kobiety. Potem wziął Franza pod ramiona i podciągnął go trochę do góry.

Tymczasem Jadwiga przyniosła jedzenie i zaczęła karmić chorego.

Leżycie tak bez czucia już długo, nawet lekarza wołali my, ale nic nie poradził - mówił Władysław.

Franz powoli dochodził do siebie. Domyślał się, że jego wybawcy mówią po polsku. I nagle zrozumiał, że jego pierwszy bełkot był błogosławieństwem, bo oni nie wiedzą, kim jest. Postanowił, że będzie mówił do nich po angielsku. Może gdzieś znajdą kogoś, kto zna ten język i uda mu się z nimi porozumieć. Ale co powie? Skąd Anglik miałby się tu znaleźć? Franz przecież wiedział, że do Polski weszła Armia Czerwona, a nie wojska alianckie. Każda wymyślona przez niego historia może wydać się niewiarygodna, tym bardziej że nie ma zielonego pojęcia, gdzie się teraz znajduje i jak daleko jest obóz jeniecki, w którym był wcześniej.

Ale dzień po dniu odzyskiwał siły. W końcu odezwał się do nich po angielsku.

- Po jakimu on gada? - dziwił się Władysław. - Jak nic, trzeba wezwać księdza proboszcza, bo on obcymi językami gada, to i może coś wyrozumie - stwierdziła Jadwiga. - Poślij no na plebanię Witka - dodała.

- Nie, sam pójde. Nie wypada księdza proboszcza tak wzywać. Pójde i wszystko wyjaśnie - powiedział Piel.

Ubrał się ciepło i ruszył w stronę kościoła.

Proboszcz Boruszkowski był opowieścią Władysława zaskoczony.

- Jak dawno go znaleźliście? - spytał.

- Będzie już ze dwa tygodnie, a może mniej... Leżał tak u nas w izbie bez ducha, ale jednak żyw. Teraz się

ocknął. Gdyby gadał po naszymu, to byśmy coś sami uradzili i potem by se poszedł. Ale jak on ani me, ani be...

Ksiądz, zaciekawiony, poszedł do domu Piełów.

- Pochwalony Jezus Chrystus rzekł na progu.

- Na wieki wieków - odrzekła Jadwiga. Ja księdza dobrodzieja zaraz poprowadzę, tam gdzie nasz nieszczęśnik leży.

- Bardzo to ładnie, żeście chorego w dom przyjęli, to tak jakbyście samego Pana Jezusa do siebie zaprosili - pochwalił proboszcz, składając kościste dłonie jak do modlitwy. - Tylko lepiej byłoby wiedzieć, skąd on jest - dodał. Wszedł do izby, w której leżał Steinberg. Mówi pan po niemiecku? - zagadnął ksiądz w ojczystym języku Franza.

- Nie rozumiem - odpowiedział Franz po angielsku.

- Hm, to chyba angielski - stwierdził proboszcz do Władysława.

- A tego języka ksiądz dobrodziej nie rozumie? - spytał Piel.

- Nie bardzo. Ale wiecie co, przyjechał właśnie panicz Korczyński, bo chce jeszcze coś uratować z dobytku rodziców z dworu. A on zna angielski. Ja go tu sprowadzę - powiedział proboszcz. - Ale, ale... czy ktoś was widział z tym człowiekiem albo zachodził tu do was?

- Nie. Znaleźlim go, jak się zmierzchało. A przychodzić nie było komu. Chałupa na skraju wsi, to tu nikt nie zagląda - odparł Władysław.

- A wasz Stasiek ciągle z wojny nie wrócił?

- Ano, nie wrócił, ale wróci, wróci...

- Pewno, pewno... przytaknął ksiądz. - No nic, to wam nikomu o tym człowieku nie rozpowiadajcie, żeby sobie biedy nie napytać, szczególnie jakby komuniści się zwiedzieli, to nie wiadomo, czego się będą czepiać. A ja tu wrócę z Korczyńskim.

Proboszcz wyszedł pospiesznie i zaraz skierował się w stronę dworu, gdzie mógł się kręcić syn dawnego dziedzica. Sprawa tego cudzoziemca wydała mu się bardzo dziwna. Lubił bardzo Piełów i bał się, że trzymając tego przybysza, narażają siebie na niebezpieczeństwo, dlatego uważał, że całą sprawę należy wyjaśnić jak najszybciej. Ale Korczyńskiego koło dworu nie było, poszedł więc szukać go u miejscowego lekarza Paszyńskiego. I tam też go zastał.

- Witam, witam. Pochwalony Jezus Chrystus. Panie Korczyński, mam do pana pilną sprawę. Czy mógłby pan ze mną pójść w jedno miejsce? - spytał.

- Witam księdza proboszcza zakrzyknął Stefan Korczyński, trzydziestoletni szczupły mężczyzna - Jak się wie, co słyszeć?

- Dobrze, na ile to możliwe odparł proboszcz - ale mam taką pilną sprawę...

- O co chodzi?

- Nie chciałbym o tym mówić. Proszę pójść ze mną.

Stefan zrobił zdumioną minę, mrugnął porozumiewawczo do Paszyńskiego. Proboszcz był uważany bowiem za dziwaka, który absorbował innych

swoimi wydumanymi problemami. Ale dziwaka dobrotliwego. Wszyscy go w okolicy lubili.

- Jak matka pańska wszystko to znosi? - spytał ksiądz, gdy już wyszli na drogę.

- Źle, źle. Czeka na mnie w Krakowie. Chciałem coś zabrać z domu, ale niewiele pozwolili mi wziąć. Bardzo ksiądz tajemniczy, gdzie idziemy?

- Zaraz wszystko wyjaśnię.

Obaj przyspieszyli kroku, bo na dworze zrobiło się zimno, i choć to dopiero listopad, spadł już śnieg. Korczyński naciągnął starą futrzaną czapę na uszy. Gdy doszli na skraj wsi, ksiądz wskazał dom Piełów i powiedział:

- To już tu.

Weszli do środka.

Pielowie znaleźli na drodze jakiegoś człowieka. Wykurowali go, ale on zdaje się mówi tylko po angielsku. Pomyślałem, że pan się z nim porozumie.

Korczyński otworzył ze zdumienia oczy, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo proboszcz lekko popchnął go w stronę izby, w której leżał Franz.

Stefan zbliżył się do łóżka. Franz też przyglądał mu się niepewnie. Podciągnął się na rękach do pozycji półsiedzącej.

- Dzień dobry - odezwał się Stefan po angielsku.

- Dzięki Bogu, mówi pan po angielsku! - zawołał z ulgą Franz.

- Tak, gospodarze i ksiądz proboszcz poprosili mnie,

abym był tłumaczem. Kim pan jest i skąd się pan tu wziął?

- W tym właśnie rzecz, że nie wiem, usiłuję sobie przypomnieć, kim jestem i co tu robię, ale nic nie pamiętam. Kiedy ocknąłem się w tej izbie, zobaczyłem tych ludzi, którzy mnie pielęgnują. To wszystko. Straciłem pamięć.

Stefan przetłumaczył słowa cudzoziemca. Na twarzach obecnych w pokoju Pielów i księdza widać było bezbrzeżne zdumienie.

- Jak to nic nie pamięta? - nie mogła pojąć Jadwiga.

- Jest coś takiego jak utrata pamięci w wyniku choroby, uderzenia w głowę czy coś takiego powiedział wolno Korczyński.

Franz z napięciem wpatrywał się w twarze Polaków, jakby chciał odgadnąć, czy uwierzyli w jego amnezję. To jedyny pomysł, jaki przyszedł mu do głowy.

- Nic, zupełnie nic pan nie pamięta? Nawet imienia, nawet swojej narodowości? - dopytywał się Korczyński.

Mam w pamięci różne obrazy i twarze, ale nie potrafię nic na ich temat powiedzieć odparł Franz. - Niech mi pan powie, gdzie jestem i kim są ci ludzie?

Z pomocą Pielów Stefan wszystko zrelacjonował mu szczegółowo.

- W co byłem ubrany? - pytał dalej Franz.

- W jakieś łachy, parciane portki, lniana koszula. Gdyby Pielowie pana nie znaleźli, szybko by się pan wyziębził i umarł. Szczęście, że wtedy nie było mrozu

odpowiedział Stefan.

Franz kręcił głową z niedowierzaniem. Opadł na poduchę zmęczony. Nie mógł pojąć, jak znalazł się przy drodze w tej wsi. Nie zamierzał wypytywać, jak daleko stąd jest obóz jeniecki, ale liczył, że przy jakiejś okazji tego się dowie.

- Chodźmy już, jest zmęczony, niech odpocznie - rzekł ksiądz.

- Niech pan odpoczywa - powiedział Franzowi Stefan i wszyscy wyszli z izby.

Piela podstawił gościom krzesła w drugim pomieszczeniu.

- Cóż to za dziwna historia... - Proboszcz kręcił głową zadziwiony.

- Nie wiem, nie wiem... - Stefan marszczył brwi.

- No, nic tu nie wymyślimy, najlepiej zabrać go do Krakowa, odstawić do Czerwonego Krzyża i niech oni się już martwią - orzekł ksiądz.

- Chyba nie myśli ksiądz...

- Panie Stefanie, miej pan litość w sercu. Przecież ktoś musi go do tego Krakowa zawieźć, akurat pan tam jedzie...

- Kochany księżu proboszczu, ja naprawdę mam inne problemy na głowie...

- Ciekawe, skąd on mógł się tu wziąć? - Ksiądz zdawał się nie słyszeć protestów Korczyńskiego. Może to jakiś więzień z obozu niemieckiego, tam ściągali wielu obcokrajowców z całej Europy.

- I co, prawie rok by się tułał po okolicy?

- Może on wcześniej stracił pamięć, a potem zachorował?

Pielowie przysłuchiwali się tym rozważaniom w milczeniu, sami nie wiedzieli, co o tym myśleć.

- No, robi się późno, niech wasz gość w tydzień nabierze sił, to pan Korczyński go zabierze - oświadczył proboszcz, zwracając się do Piełów.

Stefan się skrzywił.

Kiedy wyszli z chałupy, powiedział:

- Nie chciałem przy nich tego mówić, ale wie ksiądz przecież, że niedaleko jest obóz jeniecki. Skąd możemy mieć pewność, że to nie jeniec niemiecki, który się podszywa pod Anglika? Dobrze mówi po angielsku, ale żeby miał taki typowy angielski akcent, to nie powiem...

- Co też pan opowiada?

- Nie było wieści, że ścigają zbiega?

- Nie, nic zupełnie, ale wie pan co, żeby pana uspokoić, jutro podjadę na plebanię w Borzęcicach i delikatnie się wypytam. Bo gdyby coś takiego się zdarzyło, to we wsi na pewno by o tym wiedzieli.

- Dobrze, tak będzie bezpieczniej. Ja nie chcę w każdym razie afiszować się z jakimś Szwabem.

Następnego dnia proboszcz wyruszył do Borzęcic, ale tam nikt nic nie słyszał o żadnej udanej ucieczce.

- Owszem, dwóch próbowało, ale szybko ich złapano, a tak nic więcej nie było - zapewniał miejscowy wikary.

Ksiądz więc uspokoił Stefana, że cudzoziemiec nie

może być niemieckim żołnierzem, bo trudno uciec z obozu przez nikogo niezauważonym.

Ustalono zatem, że w sobotę ksiądz ze Stefanem podjadą do Pielów bryczką, zabiorą cudzoziemca i pojedą na stację.

Korczyński wziął jakieś swoje stare rzeczy, aby ubrać Franza. W stroju, który zapewnili mu Pielowie, zbyt rzuciłby się w oczy. Na szczęście Steinberg, troskliwie pielęgnowany przez Pielową, nabrał trochę ciała, choć nadal daleko mu było do wagi z dawnych czasów. Jednak rzeczy Stefana były na niego akurat.

Przed odjazdem poprosił Korczyńskiego, by na karteczce spisał nazwę wsi i nazwiska swoich wybawicieli.

- Chciałbym im się odwdziżyć, gdy już znajdę swoją przeszłość i dom - wyjaśnił.

- Widzisz, stara, mówiłem ci, weźmiem go, bo może coś z tego będziemy mieć, a jak nie, to przynajmniej u Pana Boga dobry uczynek zapisany powiedział Władysław, gdy już byli sami.

- Oj, Władziu, to chyba tylko to drugie, bo to gołodupiec jest, co nawet nie wie, jak się nazywa.

W czasie podróży do Krakowa Korczyński i Franz trochę ze sobą rozmawiali. Jedyne, co interesowało Franza, to to, jak Sowieci rządzą Polską, kto przejął władzę, jak funkcjonuje państwo. Stefan odpowiadał na te pytania, wylewając przy okazji całą swoją gorycz na nową władzę.

Mój przyjaciel, lekarz ze wsi, z której wyjechaliśmy, opowiadał mi, że teraz zapanuje sprawiedliwość społeczna. Bardzo szlachetny człowiek, ale niestety, trzyma z komunistami. Jeszcze się przeliczy - stwierdził Korczyński.

Gdy dotarli do miasta, Stefan dowiedział się, gdzie jest punkt Czerwonego Krzyża.

- Czy poradzi pan sobie? - spytał swego towarzysza, licząc na pozytywną odpowiedź, bo zupełnie nie chciało mu się włączyć z tym cudzoziemcem po urzędach.

- Oczywiście, że sobie poradzę, proszę się o mnie nie martwić.

Po chwili milczenia Stefan znów odwrócił się w stronę Franza.

- Pan nie stracił pamięci, prawda?

Steinberg uciekł spojrzeniem.

- Nie, ale gdybym panu powiedział prawdę, to i tak by mi pan nie uwierzył. Do widzenia.

Szybkim krokiem oddalił się w stronę biura Czerwonego Krzyża, nie czekając na reakcję Korczyńskiego. Polak patrzył jeszcze chwilę na oddalającego się cudzoziemca, po czym machnął ręką i poszedł w swoją stronę.

Steinberg tymczasem dotarł do biura, gdzie powtórzył historyjkę o utracie pamięci, ale oświadczył, że pamięta jedno imię i nazwisko i tę osobę musi odnaleźć, a wtedy na pewno uda mu się odtworzyć swoją przeszłość.

- Jakie to nazwisko? Spróbujemy odszukać tę osobę.

- Anna Lubieniecka. Prawdopodobnie mieszka w Warszawie.

10

Izaak po powrocie z Borzęcic odprowadził Annę do domu. Szczególnie teraz zależało mu na tym, aby przyjęła od niego pieniądze. Tym bardziej że był niemal pewien, iż chłopczyk, którego widział już pierwszego dnia w domu Lubienieckich, jest synem Franza. Uciekł się więc do fortelu, który zmusił Annę do wzięcia sporej sumy. Ona, po powrocie z wyprawy, zaprosiła go do środka. Jej mama była w domu. Izaak wyjął kopertę i wręczył ją matce, mówiąc:

- Anna prosiła mnie, abym honorarium za jej pracę wręczył bezpośrednio pani.

- Dziękuję bardzo. O Boże! To bardzo duża suma! - zakrzyknęła pani Lubieniecka.

Anna spojrzała zła na Bernsteina, otworzyła usta, aby coś powiedzieć. Ale ostatecznie nic nie rzekła.

W czasie podróży do Warszawy niewiele rozmawiali, więc dopiero teraz zapytała:

- Co pan dalej zamierza?

- Spędzę jeszcze kilka dni w Warszawie. Jeśli pozwoli pani, bym ją odwiedzał, chętnie skorzystam z tego zaproszenia.

- Oczywiście, jest pan zawsze mile widzianym gościem - zapewniła.

- A teraz pożegnam panie. Wszystkiego dobrego. - Izaak ukłonił się i wyszedł.

Anna patrzyła przez okno, jak wsiada do samochodu.

- Ależ on hojny, skąd to się wzięło? - dziwiła się matka.

- Nie wiem. Nie ustalałam z nim stawki - odparła Anna zmęczonym, obojętnym głosem. Wzięła Jędrka na ręce i położyła się razem nim na łóżku.

- Odpocznij, odpocznij, na pewno jesteś zmęczona - powiedziała Lubieniecka i poszła do kuchni.

Tymczasem Helena z niepokojem obserwowała siostrę.

- Co się stało? Opowiadaj - indagowała.

- On nie żyje. Umarł dwa tygodnie przed naszym przyjazdem. Gdybym coś wcześniej wiedziała, to być może bym go uratowała powiedziała Anna, leżąc wciąż odwrócona do ściany.

- Nie możesz o to winić siebie. To bez sensu. Bez tego Bernsteina nigdy byś nie znalazła obozu jenieckiego - pocieszała siostrę Helena.

- Może tak, może nie.

- Na pewno nie. Nie mieliśmy dostępu do takich informacji. Wiesz przecież dobrze.

- Teraz to już nieważne. Jak Jędrak dorośnie, powiem mu prawdę, choć nie jest ona łatwa, i powiem też, że mimo wszystkich okoliczności jego ojciec był dla mnie kimś ważnym. Nie mówmy już o tym. Daj mi побыć samej.

Helena wycofała się do kuchni, gdzie matka szykowała kolację.

- Czy nie sądzisz, że ten Jarczyński bardzo lubi Annę? Może zamierza się oświadczyć? Dobrze by było, gdyby wyszła za niego za mąż. Dziecko nie może wychowywać się bez ojca. Co myślisz? - spytała matka.

- Myślę, że mama nie powinna w żadnym razie wspominać o tym Annie, bo jest zbyt rozdrażniona i nie w głowie jej plany matrymonialne. Trzeba odczekać.

- Ale na co czekać? Aż on się rozmyśli? Ma zostać panną z dzieckiem? - zdziwiła się Lubieniecka.

- Jak się rozmyśli, to tym lepiej dla niego - odrzekła Helena. - Mamo, nie czas teraz na rozmowy o Stefanie. Musimy poważnie pomyśleć o wyjeździe z kraju. UB może znów się tu pojawić. Ale jeśli ktoś z nas wpadnie w ich ręce, to będzie prawdziwe nieszczęście. Stach już dziś nawiązał kontakt z człowiekiem, który zajmuje się przeprowadzaniem ludzi przez granicę, a potem do Berlina, do tych jego sektorów, które okupują alianci.

- Ja na pewno nigdzie nie jadę.

- Mamo, może się okazać, że nie mamy wyjścia. Komuniści polują na wszystkich: na AK, na właścicieli ziemskich, przemysłowców...

- Ja też nigdzie nie wyjadę - odezwała się Anna, która właśnie weszła do kuchni.

- Czy wy naprawdę nie rozumiecie, jak wielkie jest ryzyko?

- Przecież wezwali Annę i potem dali jej spokój. Dlaczego teraz mieliby się nami zajmować? Może nie taki diabeł straszny, jak go malują - powiedziała Lubieniecka.

- Mamo, słyszałam ostatnio, co UB robi z ludźmi. I podobno wypytywali o naszą rodzinę. To zaczyna być coraz bardziej ryzykowne.

- Dobrze, pomyślmy o tym.

Bernstein leżał w hotelowym pokoju w bezruchu. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Obwinił siebie, że za późno zjawił się w obozie. Raptem dwa tygodnie. To tak niewiele. Jednego był pewny: że musi zapewnić finansowe wsparcie Annie i dziecku, zastanawiał się tylko, jak ją do tego przekonać. Nie chciał wyjeżdżać z Warszawy, choć jego towarzysze go ponaglali. Postanowił, że będzie udawał chorobę. Obieca im, że sfinansuje dalszą ich podróż, ale będą ją kontynuować już bez niego.

Powziąwszy taki plan, wstał z łóżka i poszedł przygotować się na spotkanie ze swoimi amerykańskimi komunistami. A potem umówił się jeszcze z Kropeckim. Podczas rozmowy Izaak wyznał mu wszystko do końca.

- Nie chciałem cię w to wciągać, ale przyjaciel, o którym ci opowiadałem, to niemiecki oficer. Ten człowiek pomógł mi uciec z Rzeszy, gdy prześladowania Żydów ruszyły pełną parą. Pojechaliśmy do obozu jenieckiego, w którym miał być. Niestety, okazało się, że zmarł dwa tygodnie temu ciągnął Izaak. - Teraz muszę zadbać o jego dziecko. Bo on ma dziecko z Polką.

Kropecki kręcił głową z dezaprobatą.

- Narazasz się na wielkie niebezpieczeństwo. Co ci przyszło do głowy z tą ucieczką z obozu. Jezu, co to za

pomysł. Zorganizowanie czegoś takiego to karkołomny pomysł - mówił zmartwiony. - Jestem pewien, że ludzie z UB śledzą cię nieustannie. Jesteś cudzoziemcem, więc na pewno dali ci obstawę - stwierdził. - Niestety, walka klasowa i umacnianie ustroju wymagają takich środków i generalnie działania UB są słuszne. Nie chciałbym tylko, abyś przez pomyłkę został uznany przez nich za agenta. Na pewno odnotowali już twoją wizytę w obozie, ciekawe tylko, co sądzą na ten temat - dodał.

- Przesadzasz. Miałem mocne papiery - powiedział Bernstein.

- Nie przesadzam. To, że ten czy ów towarzysz dał ci referencje, o niczym nie świadczy. UB rządzi się swoimi regułami. I nie wiem, czy nie byłoby lepiej, zarówno dla ciebie, jak i tej dziewczyny, żebyś wyjechał jak najszybciej. Fakt, że odwołałeś swoją podróż do Moskwy, pewnie potęguje podejrzenia UB. Dziś jest poniedziałek, najpóźniej w środę powinieneś być już w drodze do domu.

Izaak poszedł spać z niewesołymi myślami. Wiedział, że Kropecki ma rację.

Anna jak co rano nakarmiła małego. Po śniadaniu, zapakowała Jędrka do rozlatującego się wózka z wielkimi kołami i wyruszyła na zakupy, a zdobycie czegokolwiek w tych czasach było zadaniem trudnym. Skręciła w ulicę prowadzącą na pobliski targ. Gdy przechodziła obok parku - a właściwie czegoś, co z tego parku pozostało - nagle poczuła, że ktoś za nią idzie. „Ubecy - pomyślała ze zgrozą. - Boże, zamkną mnie teraz z dzieckiem i nikt

nawet nie będzie wiedział, co się ze mną stało. Taki to będzie efekt naszej wyprawy do Borzęcic".

Szła coraz wolniej, aż w pewnym momencie nie wytrzymała i się odwróciła. W odległości dwustu metrów stał mężczyzna w brązowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem przysłaniającym oczy. A dolna część twarzy była zasłonięta postawionym kołnierzem płaszcza. Mężczyzna spoglądał na zegarek.

„Szpicel” - pomyślała. Ale w tej sylwetce coś ją niepokoiło. Poszła dalej, bo cóż właściwie miała począć. Zamierzała zrobić zakupy, bo tego dnia były urodziny mamy, które w dobrych starych czasach zawsze obchodzono hucznie. Cała rodzina doszła do wniosku, że nie wolno się poddawać i rezygnować z tradycji. Na wieczór zaproszono sporo gości.

Dotarła na targ i rozejrzała się jeszcze raz, ale jegomość zniknął. Po zakupach wróciła do domu i wzięły się z Heleną do szykowania skromnego przyjęcia. Wtedy zajrzał do nich Bernstein, który chciał się upewnić, że z rodziną Lubienieckich wszystko w porządku.

- Dobrze, że pana widzę. Dziś wieczorem mamy przyjęcie. Obchodzimy urodziny mamy. Będzie nam bardzo miło, jeśli pan wpadnie - powiedziała Anna.

- Dziękuję, przyjdę na pewno - odpowiedział. - Zajrzałem tylko na chwilę, ale zaraz muszę bieć, żeby zająć się moimi towarzyszami. Do zobaczenia wieczorem.

Bernstein wyszedł z mieszkania Lubienieckich i skręcił w pierwszą uliczkę w prawo. Musiał sprawdzić,

czy wszystko w porządku z Anną, bo rozmowa z Kropeckim przeraziła go nie na żarty.

Szedł zamyślony, zastanawiając się, co ma powiedzieć amerykańskim komunistom, gdy nagle usłyszał, jak ktoś tuż za nim mówi ściszym głosem:

- Izaak!

Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w brązowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Oniemiał. Przed nim stał Franz von Steinberg, zmieniony, inny, ale wciąż z tym samym kpiącym uśmiechem na twarzy.

- I cóż się tak patrzysz jakbyś zobaczył ducha? - zaśmiał się Franz. Mówił po angielsku, nie chciał, aby niemiecki przyciągnął uwagę przechodniów.

- To ty? To naprawdę ty? Mówili nam, że nie żyjesz!!

- Kto mówił?

- Komendant obozu jenieckiego!

Izaak zaczął ścisnąć Franza i potrząsać nim, jakby chciał się upewnić, że stoi przed nim żywy człowiek.

- Nic nie rozumiem. Stałem pod tym domem, gdy nagle cię zobaczyłem. Też nie mogłem uwierzyć własnym oczom - stwierdził Franz.

- Mamy sobie dużo do powiedzenia - oszołomionemu Izaakowi aż stanęły w oczach łzy. - Muszę się rozmówić z pewnymi ludźmi. Zajmie mi to chwilę. Siądź w tej kawiarni i poczekaj tu na mnie.

Bernstein wrócił do Franza po godzinie.

Siedzieli w małej knajpce i gadali bardzo długo, nie spostrzegli nawet, że zrobiło się ciemno. Gdy już

wyjaśnili sobie dokładnie, co się wydarzyło w ciągu ostatniego miesiąca, Franz odchylił się na krześle i powiedział wolno:

- Przyjechałem po nią.

- Byłeś u niej? Rozmawiałeś? No oczywiście nie, bo kiedy. Dlaczego nie poszedłeś do niej od razu? - Izaak nie krył zdumienia.

Franz milczał przez chwilę, westchnął w końcu i wyznał:

- Nie byłem pewien, jak zareaguje. Powiedz, czy może ona ma kogoś? Nie daj Boże wyszła za mąż? Widziałem, jak młody lowelas wychodził z ich kamienicy. To pytanie Steinberg chciał zadać od samego początku, ale zwlekał, bo bał się odpowiedzi.

- Kręci się tam jakiś adorator, ale nic więcej nie wiem. Nie wyglądało na to, by miała narzeczonego powiedział Izaak. Nie wspomniał o dziecku.

Franz siedział chwilę w milczeniu, pocierając skronie.

- Idioto, ona cię kocha, jest załamana po twojej śmierci - stwierdził Berstein, sięgając po filiżankę z kawą.

- Po mojej śmierci to może ona mnie kocha, ale jak mnie zobaczy żywego, to przypomni sobie kilka naszych zatargów. Nie rozstaliśmy się w pokoju, najogólniej mówiąc. A ja nie mam czasu, by czekać, aż jej przejdzie złość. Ona musi wyjechać ze mną natychmiast. Grunt pali mi się pod nogami. Wiem, że łażą za mną jakieś typki.

- O Boże, Franz, jak się czujesz, gdy nie jesteś panem sytuacji? To fatalne uczucie - kpił Izaak.

- Nie czas na żarty. Mówię serio. Musisz mi pomóc ją przekonać i wydostać się z tego przeklętego kraju.

- Co mam zrobić?

- Skoro się tu już napatoczyłeś...

- Dzięki, przyjacielu...

- ...to wejdziemy do niej razem. Wtedy nie rzuci się na mnie z pięściami. A potem może się trochę uspokoi... - ciągnął niezrażony Steinberg.

- Dziś wieczorem jest u nich przyjęcie. Zostałem zaproszony.

- Doskonale, pójdę z tobą.

- Nie, nie, ona padnie trupem, jak cię zobaczy. Trzeba ją jakoś przygotować.

- Ani mi się waż. To bardzo dobra okazja. Przedstawisz mnie jako swojego przyjaciela ze Stanów...

- Franz, to nie jest dobry pomysł. Mam wrażenie, że ty boisz się stanąć twarzą w twarz...

- Dobra, przestań.

- Tak, ty się boisz. To zupełnie do ciebie niepodobne.

- Przestań mi tu gadać bzdury. Jak nie przestaniesz, to będę cię pytał dwa razy dziennie, dlaczego tak długo czekałeś z przyjazdem, żeby zdążyli mnie wykończyć w obozie...

- To cios poniżej pasa...

- Przecież żartuję, Berni. No co ty. Czyli ustalone.

- Chodźmy do hotelu, zrobiło się późno, trzeba się przebrać, a i tobie dać jakieś ludzkie ubranie, bo wyglądasz jak łachmaniarz - zauważył Izaak.

Gdy znaleźli się w pokoju hotelowym Bernsteina, Franz poszedł do łazienki wziąć prysznic. W tym czasie Izaak napisał na kartce kilka słów. Wsadził ją do koperty i zawołał boya hotelowego. Spoglądając na drzwi łazienki, wręczył mu kopertę i trochę pieniędzy. Po czym wrócił do przeglądu garderoby, by wybrać coś dla Steinberga.

Franz, odświeżony, porządnie ubrany wyglądał już o wiele lepiej. Widać było, że powoli odzyskuje dawną werwę.

- No dobra, idziemy chwycić byka za rogi - powiedział i klepnął Izaaka po ramieniu.

Przyjęcie było już prawie gotowe. Panie Lubienieckie przebierały się. Anna wszystkie czynności wykonywała jakby machinalnie. Czesła się, ubierała, malowała, ale najwyraźniej była znużona. Wolałaby zamknąć się w pokoju, lecz nic chciała robić przykrości matce.

Nagle usłyszała dzwonek do drzwi.

- Ktoś przyszedł przed czasem mruknął Stach.

Ale w drzwiach stał kilkunastoletni chłopak z kopertą zaadresowaną do jego szwagierki. Stach wziął ją i oddał podchodzącej do drzwi Annie. Otworzyła list, idąc do dużego pokoju, i rzuciła okiem na jego treść. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie, potem niedowierzenie. Siadła na fotelu, opuściła rękę, w której trzymała kartkę, po czym znów zaczęła ją czytać. Do pokoju weszła Helena. Zobaczyła siostrę, która siedziała jak porażona. Wyjęła jej z rąk kartkę i przeczytała: He is alive! IB. Siostry spojrzały na siebie, ale nie zdążyły nic

powiedzieć, bo do pokoju weszła matka.

- Co się stało, dziewczyny? Dlaczego tak na siebie patrzycie? - zapytała z niepokojem.

- Nic, mammo. Po prostu uważam, że Helena ubrała się beznadziejnie.

- Dzięki, siostro!

- Jeżeli znowu szykujecie mi jakieś niespodzianki, to ostrzegam, zemsta będzie straszna - oświadczyła matka, jakby przeczuwała, że dzieje się coś, o czym ona nie ma pojęcia. - I nie życzę sobie żadnych złych wiadomości - dodała.

- Nie ma żadnych złych wiadomości, mammo uspokoiła ją Helena.

Goście zaczęli się powoli schodzić. Jubilatka przyjmowała życzenia, gawędziła z nowo przybyłymi. Helena krzątała się w kuchni, a Anna nie mogła sobie znaleźć miejsca. Co chwila spoglądała na drzwi, sprawdzając, czy kolejnym gościem jest Izaak. Wydawało jej się, że przesłanie liściku jest jasne: Franz żyje. Ale dlaczego tego nie powiedział, gdy był tu rano, albo dlaczego sam nie przybiegł od razu, by to zakomunikować? Te wątpliwości powodowały, że Anna zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko nie jest jakąś pomyłką, czy te nadzieje, że jednak Franz żyje, nie są płonne. Poszła sprawdzić, co dzieje się z Jędrkiem. Na szczęście spał w najlepsze. Wróciła do gości. Gdy znów usłyszała dzwonek, w napięciu patrzyła na drzwi wejściowe. Stach otworzył, w drzwiach pojawił się

Bernstein. Za jego plecami stał ktoś jeszcze, ale Anna nie mogła dostrzec kto.

Izaak przywitał się ze Stachem i powiedział:

- Mam nadzieję, że nie nadużyję państwa gościnności, ale pozwoliłem sobie przyprowadzić starego serdecznego przyjaciela, którego spotkałem przypadkowo.

Izaak odsunął się i pozwolił wejść drugiemu mężczyźnie.

Annie serce zaczęło walić jak szalone. „Franz!”.

- To James Garwood. Izaak przedstawił swojego towarzysza.

- Dobry wieczór - przywitał się Franz.

- Witam, witam, będzie nam bardzo miło. - Stach zapraszał gości do środka.

- Oczywiście, to wspaniale, że przyprowadził pan swojego przyjaciela wtórowała matka.

Izaak i Franz weszli do pokoju. Steinberg teraz dopiero zobaczył Annę i nie spuszczał z niej oczu, jakby starał się odgadnąć, jaka będzie reakcja na to spotkanie. Ona także patrzyła na niego, miała wilgotne oczy, co Franz skonstatował z ulgą. Ale po chwili zreflektowała się i odwróciła twarz. Ktoś mógłby zauważyć, że coś się dzieje między nimi. Myśli kołatały Annie w głowie. Cieszyła się, w duchu wręcz szalała z radości, że on tu jest, ale jednocześnie jakiś niepokój szarpał jej serce. Co teraz będzie? Co z tego wyniknie?

Izaak najpierw przedstawił Franza całej rodzinie, a na koniec podszedł z nim do Anny.

- Pani Anno, to mój przyjaciel James Garwood. James to moja przemiła tłumaczka Anna Lubieniecka.

- Dobry wieczór, miło mi pana poznać. - Głos Anny drżał, choć starała się opanować.

Podawała mu dłoń. Gdy jej dotknął, przeszedł ją dreszcz. Franz trzymał rękę Anny i nie chciał puścić.

- Wiele o pani słyszałem - powiedział, bo nic mądrego nie przychodziło mu akurat do głowy. - Podobno jest pani świetną tłumaczką.

Helena obserwowała tę scenę uważnie. I bała się, że reszta rodziny coś zauważy. Postanowiła więc asekurować oboje, lustrując innych, czy przypadkiem nie zwracają uwagi na Annę i nowego gościa.

Tymczasem Anna i Franz stali obok siebie przy oknie, odwróceny tyłem do reszty gości.

- Co się z tobą działo? - spytała.

- Nie wiem, zdarzył się cud. Chorowałem w obozie, straciłem przytomność, chyba zapadłem w coś w rodzaju śpiączki. A potem ocknąłem się w chłopskiej chałupie. I zacząłem udawać Anglika. Tak naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. Moi wybawcy też nie wiedzą. Znaleźli mnie na drodze pod lasem.

- Co teraz zamierzasz? - dociekała, patrząc w okno.

- Muszę stąd uciekać. Przyjechałem tu, bo miałem zorientować się co do szans swojej przeprawy przez granicę. Poza tym miałem jeszcze pozałatwiać jakieś papiery z Czerwonego Krzyża. Spotkałem przypadkiem Izaaka i dowiedziałem się, że znalazł cię i by i u ciebie.

Przy okazji postanowiłem więc sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku - wyjaśnił i zamilkł.

„A więc nie szukał mnie, przyjechał przy okazji. No tak, w końcu minęło trochę czasu. Może kiedyś mu na mnie zależało, ale teraz to już przeszłość” - pomyślała. I serce ścisnęło jej się z bólu.

Stali chwilę w milczeniu.

- No dobrze. Bernstein na pewno ci pomoże. Życzę wszystkiego dobrego mimo wszystko. Nie ma co pamiętać o urazach. Jesteśmy kwita - powiedziała.

- A u ciebie wszystko dobrze? - spytał.

- Tak, w najlepszym porządku - odparła, unikając jego wzroku.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, to zawsze...

- Nie, niczego nie potrzebuję - przerwała opryskliwie.

- Może chcesz mi zapłacić za usługi erotyczne w Gross Born? - wykrzywiła usta.

Narastała w niej złość, gorycz... Czuła się zła i nieszczęśliwa. Czego się spodziewała po tym Niemcu? Przecież wiedziała, że nie jest zdolny do żadnych głębszych uczuć.

- Przepraszam, muszę się zająć innymi gośćmi - powiedziała i szybko odeszła.

Franz zamknął oczy i zacisnął pięści. Zaklął pod nosem. Nie mógł zdobyć się na szczerą, teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Nie był już panem jej życia i śmierci. Był zły na siebie, bo stracił sporo czasu, a może w ogóle stracił szansę na to, by namówić ją na wyjazd.

Anna poszła do łazienki. Ręce jej się trzęsły. Potrzebowała kilku chwil, by się uspokoić.

„Czego się spodziewałam, no czego?” - powtarzała sobie w duchu.

Spryskała twarz zimną wodą, żeby ochłonać. Wyszła z łazienki i wróciła do gości. Uśmiechała się, rozmawiała z nimi, częstowała kanapkami. Franz obserwował ją z kąta, gdzie stał samotnie. Wydawało mu się, że jednak jego przyjazd nie zrobił na niej zbyt dużego wrażenia. Przecież myślała, że on nie żyje. Powinna była zareagować jakoś żywiej. Na to liczył. A tu nic.

Nagle wstąpiła w niego złość.

- Chciałbym już wyjść - oznajmił Izaakowi.

- Porozmawialiście już? - Izaak był zdziwiony.

- Tak, chodźmy...

- Ale...

- Wychodzimy - powiedział twardo Franz.

Pożegnali się szybko i wyszli.

Anna widziała to kątem oka. W chwili gdy Franz wyszedł, poczuła, że jej świat nagle się zawalił. Przyjęcie trwało jeszcze ponad dwie godziny, a ona snuła się bez celu i przestała już udawać zadowoloną z siebie panią domu. Próbowwała uwolnić się od towarzystwa Stefana chodzącego za nią krok w krok.

Gdy wszyscy wyszli, Helena spytała, co się stało.

- Bo to był on, prawda? - upewniła się.

- Tak, to był on.

- No i co?

- Nic, on przyjechał tu przypadkiem, jutro wyjeżdża.
Mam nadzieję, że się już nie zobaczymy.

- Nie wygłupiaj się, co ty mówisz. Przecież...

- Nie ma o czym mówić.

- Powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Bo on tak naprawdę nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Był tu przypadkiem, prawie że o mnie zapomniał, więc nie będę zasłaniać się dzieckiem. Niech jedzie w swoją stronę. Kiedyś mu powiem oczywiście, bo ma prawo do tej wiedzy. Warto też, by Jędrrek wiedział, kim jest jego ojciec i kiedyś go poznał. Ale nie teraz. Żeby nie myślał, że łowię go na dziecko.

- Chyba zwariowałaś, masz mu natychmiast powiedzieć. Jeśli nie ty, to ja to zrobię.

- Ani mi się waż!

- Masz mu powiedzieć, i to, że niczego od niego nie oczekujesz. To nie jest żadne łowienie.

- Nie i koniec. Nie chcę go teraz widzieć! - Anna prawie krzyczała.

- Co tu się dzieje? - w drzwiach stała matka. - Tym razem tak łatwo mnie się nie pozbędziecie. Widzę, że coś się dzieje i muszę wiedzieć co - oświadczyła stanowczo.

Siostry popatrzyły na nią ponuro.

- No, dalej - popędzała.

Helena opowiedziała jej o wszystkim.

- Dlaczego to przede mną ukrywałyście? - spytała z

wyrzutem.

- Nie chciałyśmy cię martwić - odparła Helena.

Matka kręciła z niedowierzaniem głową. Po czym stwierdziła, że w tym sporze Helena ma rację.

- Nie, nie, nie! - powtórzyła Anna. - Nie będziecie decydować o moim życiu powiedziała z naciskiem.

Matka chciała coś jeszcze dodać, ale Anna ucięła:

- Idę spać. Jutro jeszcze porozmawiamy. Teraz nie mam siły.

- Na razie nie mówmy o tym ojcu - zdecydowała na koniec Lubieniecka.

Gdy Anna położyła się do łóżka, nie mogła zasnąć. Jeszcze raz. klatka po klatce analizowała wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru. Gubiła się w interpretacjach, każdy gest Franza rozkładała na części pierwsze. W końcu znużona zasnęła.

Gdy wyszli już na dwór. Izaak zwrócił się do Franza:

- Spytałeś, czy z tobą wyjedzie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wiedziałem, że odmówi.

- Jak to wiedziałeś? A co jej powiedziałeś? Powiedziałeś, że stałeś pod jej domem cały dzień? Powiedziałeś, że przyjechałeś specjalnie do Warszawy po nią?

- Powiedziałem tylko, że znalazłem się tu przypadkiem.

- Jesteś kretynem.

- Nie pytałem cię o zdanie. - Franz był zły, że dał się wciągnąć w tę rozmowę.

- Masz jutro tam pójść i z nią porozmawiać.

- Zrobię, co zechcę.

Szli w milczeniu. Nie rozmawiali także w hotelu. Bernstein uznał, że nie ma co już drażnić tematu i do sprawy trzeba wrócić następnego dnia, kiedy Franzowi minie złość.

Izaak obudził się i zerwał z łóżka, by sprawdzić, co dzieje się z Franzem. Zobaczył, że już dziewiąta. Boże. tak długo spałem? - zdziwił się. Ubrał się szybko. I pobiegł do pokoju przyjaciela. Zapukał do drzwi, ale nikt nie odpowiadał.

- Franz, wstałeś już? - zawołał przez drzwi.

- Ten pan już wyszedł - poinformowała go uprzejmie pokojówka.

Zbiegł do restauracji, licząc na to, że tam go znajdzie, ale Franza nie było.

„No ładnie, pytanie, co teraz strzeliło mu go głowy” - pomyślał.

W tym czasie Anna jadła śniadanie i aby uniknąć kolejnych trudnych rozmów z matką i Heleną, oświadczyła, że zabiera Jędrka na spacer. Helena skinęła głową. Potem szepnęła do matki:

Niech idzie, może wszystko spokojnie przemyśli.

Anna wytaszczyła ciężki wózek na dwór i wolnym krokiem ruszyła w stronę parku. Zastanawiała się, jak powstrzymać mamę i Helenę przed poinformowaniem

Franza o dziecku. Żal, który czuła, nie ustępował. Miała poczucie, że połowa jej duszy umarła. Powtarzała sobie, żeby się nie poddawać, że świat nie kończy się na Franzu. Chciała zacząć myśleć o czymś innym, ale jej się to nie udawało.

Skręciła w stronę parku. Pochyliła się nad wózkiem, żeby poprawić kocyk. Gdy podniosła głowę, on stał przed nią.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez krótką chwilę, która Annie wydawała się wiecznością.

- Cześć, zapomniałeś o czymś? Jeszcze nie wyjechałeś? - zapytała z udawaną obojętnością.

- Tak, o czymś zapomniałem... powiedział powoli, uśmiechając się.

I znów stali chwilę, nie odzywając się do siebie.

- O Boże, nie stójmy tak na środku ulicy - zaproponował.

- Dobrze, chodźmy.

- No to o czym zapomniałeś i kiedy wyjeżdżasz? - powtórzyła pytanie.

- Wyjeżdżam dziś albo jutro. A ty wyjedziesz ze mną i właśnie o tym zapomniałem ci powiedzieć. A przecież powinnaś mieć trochę czasu na spakowanie rzeczy - wyjaśnił, patrząc w niebo.

Anna czuła, że się czerwieni. Serce znów biło jej mocno.

Nagle przysiadła na ławce i wybuchła płaczem. Jakby wszystkie wojenne stresy, upokorzenia, strachy teraz

nagle ożyły. Zanosiła się od płaczu, przyciągając tym uwagę przechodniów.

- Mówiłem, że znajdę cię w ciągu roku - przypomniał Franz.

Ten wybuch płaczu po tym, jak Anna wyglądała na zimną i obojętną, go zaskoczył. Usiadł obok i wziął ją za rękę. Patrzyła na niego tak, jakby nie mogła wciąż uwierzyć, że widzi Franza. A on przytulił Annę do siebie, z ulgą konstatając, że go nie odepchnęła.

- Kocham cię, stanę na głowie, żebyś była ze mną - oświadczył.

Anna nie była w stanie nic mówić. Całowali się, nie zwracając uwagi na przechodniów. Teraz Jędrak, zniecierpliwiony zbyt długim postojem, zaczął się kręcić i zapłakał. Odruchowo zaczęła bujać wózkiem. Steinberg nie zwrócił na to uwagi.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jestem najlepszą partią akurat w tej chwili. Oprócz tego starego płaszcza i ubrań od Izaaka nie mam nic, a raczej mam same kłopoty, bo nie wiem, jak wydostać się z Polski. No i jest jeszcze parę innych powodów, dla których mogłabyś wysłać mnie do diabła - stwierdził.

Jędrak już się uspokoił.

- Franz, to twój syn - powiedziała Anna.

- Syn...? - powtórzył i zaczął się śmiać. To był dziwny śmiech, trochę nerwowy, tuszujący zaskoczenie i zakłopotanie, ale też zadowolenie. - Syn...? powtórzył raz jeszcze.

Pochylił się nad wózkiem, prawie schował głowę pod budkę, pewnie po to, by nikt nie zauważył, że oczy mu zwilgotniały. Był zły na siebie za te łzy. Nie pamiętał, kiedy płakał ostatni raz, o ile w ogóle płakał w dorosłym życiu. Nie lubił okazywać uczuć. U Anny pierwsza euforia wywołana pojawieniem się Franza ustąpiła dawnym uczuciom.

- Nie jesteś w stanie powiedzieć nic sensownego i tylko martwisz się, żebym nie zobaczyła, jak się wzruszyłeś.

- Przestań! - Franz wyprostował się i przygarnął ją do siebie. - Nie wstydzę się. Jestem szczęśliwy - oznajmił po chwili. - To kolejny powód, abyśmy byli razem - dodał.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała.

- Zaraz ci wszystko opowiem. Jak dałaś na imię mojemu synowi?

- Mojemu synowi! Oczywiście. Matka stanowi tylko skromny dodatek. Ma na imię Andrzej.

- Andrea...

- Andrzej, mówię wyraźnie.

- Nie umiem tego wymówić.

- Trudno, będziesz musiał się nauczyć. Poza tym nasz syn nie będzie mówił po niemiecku.

Franz przez chwilę milczał, po czym cicho powiedział:

- Dobrze. Ale nasze życie nie może polegać na ciągłym wypominaniu, bo oszalejemy.

- Jak śmiałeś przeczytać moje pamiętniki? Zostałam

poniżona w oczach całego oflagu! - Anna przypomniała sobie upokorzenie z Gross Born.

- Tłumaczyłem ci to już. Ile razy można wracać do tego samego?

- Franz, nie wiem, jak my będziemy mogli żyć wspólnie po tym wszystkim...

Nie dokończyła, bo Franz przytulił ją i zaczął całować.

- Kiedyś mi wybaczysz - stwierdził po chwili.

Chodzili po parku ze trzy godziny. Mieli sobie dużo do powiedzenia.

- Boże, zrobiło się tak późno. Moja mama będzie się niepokoić. Wrócę do domu. Ty poczekaś na mnie na dole. Zostawię małego i pójdziemy razem odszukać Bernsteina. Nie jestem gotowa na to, by przedstawić cię rodzicom - stwierdziła.

- Dobrze, później zastanowimy się, co dalej i kiedy weźmiemy ślub.

- Nie powiedziałam, że wyjdę za ciebie za męża. Szczególnie po tym wszystkim...

- Nie zaczynaj znowu...

Władysław Kropecki włożył swój najlepszy garnitur. W końcu przyjęcie u szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego generała Stanisława Radkiewicza to nie była jaka okazja. Tym bardziej że Ministerstwo nazwę ostatecznie zyskało 1 stycznia. I Radkiewicz z dumą obnosił się ze swoją nową funkcją. Nieobecność

Kropeckiego mógłby odebrać jako afront.

Przyjęcie odbywało się w gmachu resortu. Na sali było już trochę ludzi. Kropecki obserwował gości tłoczących się przy bufecie. Wziął kieliszek wódki z tacy kelnera i zastanawiał się, jak ominąć kolejkę po zakąskę. Mimochodem zaczął słuchać rozmowy dwóch osobników odwróconych do niego tyłem.

- Wyobraź sobie, że ci młodzi funkcjonariusze w ogóle nic mają zmysłu do ścigania kontrrewolucjonistów i agentów - odezwał się pierwszy z gości. Jakiś czas temu przyjechała delegacja amerykańskich komunistów, ale jeden z nich - jak doniósł nasz funkcjonariusz - zajmuje się dziwnymi rzeczami. Pojechał do obozu jenieckiego dla Niemców i wypytywał o jakiegoś człowieka, nieżyjącego zresztą. Prowadzał się przy tym z pewną pannicą, która kiedyś była w AK, póki nie zadała się z jakimś hitlerowcem. Ów Amerykanin miał jechać do Moskwy, dalej poznawać nową rzeczywistość w krajach komunistycznych, no i nagle mu się odechciało. A do tego przyplątał się tam jeszcze jakiś inny cudzoziemiec. I te chłopaki po tym wszystkim, zamiast całą tę czeredę zamknąć natychmiast i wziąć na przesłuchanie, to tylko chodzą za nimi i notują. Wezwałem wszystkich do raportu. Zaraz mi tu - mówię - zamknąć tych agentów imperialistycznych, bo to gołym okiem widać, że to wrogowie nowego ustroju są. Tak jest, towarzyszu majorze - rzecze ten niedojda i już chce lecieć wykonać rozkaz. A ja mu mówię: Stój, debilu. Zatrzymasz ich

dopiero jutro nad ranem, bo tak któregoś nie zastaniesz i się zaczną ostrzegać nawzajem. Widzisz sam, z kim to przychodzi mi pracować. Jak człowiek...

Kropeckiego nie interesowały już zale towarzysza majora. Odstawił wódkę i pospiesznie wyszedł.

Dwie ulice od hotelu, w którym mieszkał Bernstein, złapał jakiegoś chłopaka wałęsającego się bez celu. Dał mu banknot i napisany w pośpiechu liścik, pokazując hotel. Chłopak skinął głową i pobiegł we wskazanym kierunku.

Kiedy Izaak otrzymał ów liścik, właśnie witał się z Anną i Franzem. Kropecki napisał, aby spróbował zmylić ubeków i wyszedł z hotelu niepostrzeżenie i że będzie czekał obok Cafe Fogg.

- Co się stało? - spytała Izaaka Anna.

- Mój krewniak chce, abym pilnie się z nim spotkał. To musi być coś ważnego powiedział Bernstein. - Poczekajcie tutaj, niedługo wrócę - dodał.

Nie chciał nic wspominać o ubekach, żeby nie denerwować Anny. Wyszedł z pokoju i zastanawiał się, jak wymknąć się niepostrzeżenie z hotelu. Zszedł na dół. pokręcił się w barze, wypił coś i ruszył do łazienki. „Nie ma to jak stare sprawdzone sposoby” - pomyślał. Jedną z kabin zamknął od środka, po czym wyszedł górą. I wyskoczył przez okno na podwórze, znajdujące się na tyłach hotelu. Potem pobiegł w stronę miejsca wskazanego przez Kropeckiego.

- Coś się stało? - spytał zdyszany.

- I owszem - przytaknął Władysław i pokrótce zrelacjonował mu podsłuchaną rozmowę. - Musicie uciekać już, a jeszcze na dodatek nie możecie robić żadnych gwałtownych ruchów, aby nie wzbudzić podejrzeń śledzących was ubeków. Musisz powiadomić tę kobietę. Idź już, spiesz się - dodał.

- Nie wiem, jak się odwdzięczyć...

- Idź już, to nieważne, kiedyś na pewno będzie okazja. Od tej chwili nie znamy się, a ja w ogóle cię nie widziałem - rzekł Kropecki i szybko odszedł.

Bernstein tą samą drogą wrócił do hotelu. W pokoju zrelacjonował wszystko Annie i Franzowi.

Przerażona Anna powiedziała im, że Helena i Stach mają kogoś, kto przeprowadza ludzi przez granicę. Ale dodała, że takie przygotowania trwają jakiś czas i nie da się tego zorganizować w jednej chwili.

- Powiedz mu, że dostanie dużo pieniędzy. Ja zapłacę za wszystko - oznajmił Izaak.

- Musimy uciekać wszyscy natychmiast. Ty też i cała twoja rodzina. Może nic mówmy im na razie, kim jestem, po prostu szybko trzeba się zbierać - stwierdził Franz.

Postanowili, że Anna wróci do domu i powiadomi resztę o niebezpieczeństwie, a następnie zacznie się pakować. Gdy Stach usłyszał o wszystkim, natychmiast odszukał wspomnianego przewodnika. Po godzinie wrócił do domu. Dobra praktyka w konspiracji pozwoliła mu sprawnie zorganizować całą wyprawę.

Tak nagły zwrot w ich życiu sprawił, że właściwie nie

mieli czasu na rozważania, co robić. Wszystko było jasne. Tylko rodzice stawili zdecydowany opór.

- Nigdzie nie jadę, nam nic nie zrobią. Dziś wieczorem pojedziemy do ciotki Aldony. Nie martwcie się o nas - powiedziała kategorycznie matka, a ojciec - choć miał wątpliwości - zgodził się z nią. Nigdy nie wyjechałby bez żony.

Na próżno Helena starała się ich przekonać.

- Jestem na to za stara - powtarzała matka - przyjedziemy do was później. Poza tym im więcej ludzi, tym większe ryzyko wpadki - dodała.

- Nie możemy już zwlekać, musimy iść ponagłać Stach, odrywając obie kobiety i Jasia od rodziców.

Nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Ojciec nawet nie zdawał sobie sprawy, że przyjaciel Bernsteina to ów niemiecki oficer, z którym była Anna. I że jego córka ucieka z kraju z Niemcem.

Dwa samochody z kierowcami miały czekać dwie przecznice dalej. Wszyscy mieli spakować tylko niezbędne rzeczy i kosztowności.

Z kamienicy wychodzili po kolei w odstępach piętnastu minut, tylnym wyjściem przez podwórze.

W umówionym miejscu czekał już Franz i Izaak. Siedząc w samochodzie, Anna odwróciła się, aby popatrzeć na ruiny Warszawy.

- Nie żałuj. To już nie jest twoja Polska.

- Wciąż jest, nawet z komunistami. I jedno

zapomniałam ci powiedzieć. Na pewno nie będziemy mieszkać w Niemczech.

- Będziemy mieszkać tam, gdzie zechcesz.

- I wrócimy tu, jak tylko to będzie możliwe.

- Wrócimy, i ja mam tu pewne długi wdzięczności do spłacenia...

Do granicy dotarli po wielogodzinnej podróży. Plan był taki, by przejść zieloną granicę, a potem kierować się do Berlina. Tam przedostać się do Berlina Zachodniego i to już oznaczało wyrwanie się z rąk Sowietów i przejście do strefy aliantów. Stach wiedział od przewodników, że dostanie się do Berlina Zachodniego jest dość proste. Nikt nie pilnuje granic oddzielających strefy wpływu. W czasie całej wyprawy prawie wcale nie spali. I Jaś, i Jędrzek często płakali. Ale pieniądze Bernsteina pomogły im zrealizować plan bez większego trudu. Wyczerpani tak długą podróżą zatrzymali się w pierwszym lepszym hotelu w Berlinie Zachodnim.

Anna z emocji nie mogła jednak zasnąć, stała przy oknie, oparta rękami o parapet. Franz podszedł do niej, trzymając chłopca na rękach.

- Teraz będziemy mogli znowu spokojnie się kłócić powiedział i pocałował jej włosy.

Anna uśmiechnęła się.